

# MATS STRANDBERG PÓŁ ŻYCIA

Przełożyła JUSTYNA CZECHOWSKA

MARGINESY



MATS  
STRANDBERG  
PÓŁ ŻYCIA

Przełożyła JUSTYNA CZECHOWSKA

MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

**PROLOG. MEŹCZYŻNA, KTÓRY ZNIKNAŁ**

## **I. JESSICA**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

## **II. JESSICA I VIOLA**

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

### **III. JESSICA I JAKOB**

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

### **EPILOG. KOBIETA, KTÓRA ZNIKNEŁA**

Przypisy

Tytuł oryginału HALVA LIV  
Przekład JUSTYNA CZECHOWSKA

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja MAGDALENA TYTUŁA  
Korekta ANNA SIDOREK, BEATA WÓJCIK  
Projekt okładki ANDERS TIMREN  
Adaptacja projektu okładki AGNIESZKA WRZOSEK  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Wnętrze Dorothy Parker ([s. 5](#)) w przekładzie Adama Pluszki

*Half Lives*

Copyright © Mats Strandberg 2009 by Agreement with Grand Agency, Sweden and BookLab, Poland

Copyright © for the translation by Justyna Czechowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Warszawa 2018

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65973-58-0

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.

ul. Mierosławskiego 11A

01-527 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

## WNEȚRZE

Jej umysł mieszka w cichym pokoju,  
Wąskim pokoju, wysokim,  
Na ścianach makatek kilka wzorów,  
Lampy gaszą mrok głęboki.

Jej umysł żyje ostrożnie, cierpień  
Unika, bólu, złych gestów,  
I rygluje też drzwi przed jej sercem,  
Zapłakany w strugach deszczu.

Dorothy Parker

## PROLOG

Mężczyzna, który zniknął



Czasem wydaje jej się, że go widzi. Jakiś kark w zatłoczonym metrze wygląda znajomo, podobny półprofil w ciasnocie imprezy, wtedy jej serce rozpędza się, chce ruszyć. Ale to nigdy nie jest on, lecz tylko duch przeszłości, życzenie buzujące w podświadomości. To zdarza się coraz rzadziej.

Targi książki w deszczowym Göteborgu. Wydawnictwo zarezerwowało jej pokój w tym samym budynku, w którym znajduje się hala. Przy takiej potwornej pogodzie i wypełnionym kalendarzu i tak nie miałyby szansy na zwiedzanie miasta. Szum w przestrzeni targowej był jak masywna ściana, usypiający i podniecający jednocześnie. Siedziała przy stoisku wydawnictwa, podpisując swoją pierwszą książkę, tak naprawdę to tylko zbiór felietonów z popołudniówki. Nie skończyła jeszcze trzydziestu lat, wciąż uważała się za młodą i obiecującą.

Każdego wieczora gdzieś na terenie targów odbywało się przyjęcie koktajlowe, potem szła z resztą na jakąś wydawniczą imprezę, a koło północy wszyscy trafiali do baru w hotelu Park. Kompletnie się upijała, zasypiała zbyt późno, a rano wszystko zaczynało się od nowa. Uwielbiała to.

W ostatni wieczór po raz pierwszy wymknęła się z targów. Jeden z jej idoli, dwukrotny laureat Nagrody Augusta, zaprosił ją na kolację. Wyznaczył miejsce: mało popularną restaurację, gdzie z pewnością nie natkną się na nikogo znajomego. Szybko się okazało, że dwukrotny laureat nagrody był naiwnym egocentrykiem i parodią samego siebie. Kiedy z poważną miną wyznał, że kobiety czytają jedynie białą serię, zrozumiała nie tylko, jak bardzo jest stary, ale również, że powinna już wyjść. Zapłaciła swój rachunek i poprosiła, żeby zniknął, zanim ona wyjdzie z toalety.

W łazience została na tyle długo, by mieć pewność, że zdążył się zabrać z restauracji.

Barman spojrzał na nią ze zrozumieniem, gdy w końcu, uchyliwszy drzwi, wyjrzała z toalety. Zanim zamówiła, sam nalał jej lampkę czerwonego wina

i przesunął kieliszek w jej stronę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Co za idiota! – odezwała się.

Tych kilka słów stało się początkiem ich relacji.

Posmakowało jej wino, poprosiła, by zapisał na kartce jego nazwę. Jego kulfoniaste wersaliki wyglądały tak samo na liście, który napisał zaledwie pół roku później: „Wybacz mi. Nie mogę powiedzieć dlaczego. Nie szukaj mnie. Nie nienawidź mnie”.

Oczywiście znienawidziła Jakoba. I oczywiście go szukała.

Jakob nie był idealny, w sposób, który bardzo jej odpowiadał. Włosy opadały mu ciemnymi falami bez ładu. Wewnętrzne kąciaki oczu skierowane były nieznacznie w dół, ukośnie ku nosowi, a tęczęwki miał czarne jak węgielki. Potem się dowiedziała, że to przez samskie korzenie.

Kiedy mówił, jego mocno wypukłe jabłko Adama podskakiwało. Miał fantastyczny uśmiech, za każdym razem, gdy udało jej się go wywołać, brała to za zwycięstwo. Siedziała przy barze z drugim kieliszkiem wina, podczas gdy personel zamykał restaurację, została tam także, gdy on już liczył kasę.

To ona zaproponowała, żeby poszedł z nią do hotelu. Następnego dnia miała wracać do domu, nie chciała stracić okazji. Wzięła za pewnik, że to tylko jednorazowa przygoda.

Nie był to porywający seks, nie ten pierwszej nocy. Ale podobało jej się spanie z nim. Obejmował ją, jakby chciał wchłonąć jej ciało. A ona po raz pierwszy nie zamierzała uciec.

Przez całą jesień spotykali się u niej w domu, gdy tylko on mógł przyjechać do Sztokholmu. Rzadko wychodzili, nigdy z nikim się nie widywali. Byli całkowicie zajęci sobą, żyli jak w próżni. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek nasyci się jego ciałem, zapachem jego skóry w dołku tuż nad obojczykiem.

Był od niej o trzy lata starszy, ale dopiero zaczął studiować dziennikarstwo, a w barze pracował dorywczo, by móc się utrzymać. Dorastał w Landsån, wiosce pod Överkalix. Na zachodnie wybrzeże

przeniósł się, gdy skończył dziewiętnaście lat.

Miał fobię na punkcie klaunów. Był oddanym mięsożercą, ale nie protestował, gdy serwowała wegetariańskie dania. Wierzył w Boga, ale nie w religię. Wieczorami rozwiązywał krzyżówki, z rozbawieniem śledziła jego spontaniczną mimikę, od głębokiej koncentracji po zadowolone uśmieški.

Dotarło do niej, że go kocha. Naprawdę go kocha. Zdawało jej się, że ktoś wreszcie ją dostrzega. Tę prawdziwą Jessicę, którą zawsze chciała być, czuła, że właściwie mogłaby nią zostać. Nigdy na poważnie nie planowała swojej przyszłości z kimś, ale coraz trudniej było wytrzymać tygodnie bez jego odwiedzin. Wszystko stało się jednym długim czekaniem. Zaczął napomykać, że może postara się o miejsce na uniwersytecie w Sztokholmie.

Przyjaciele radzili jej być ostrożną, nie spieszyć się. Wmawiała sobie, że on jest zbyt wspaniały, by był prawdziwy. Trudno było się powstrzymać, najchętniej rzuciłaby się prosto w przyszłość, bo nigdy nie przeżyła nic podobnego.

Dawniej postrzegała okres zakochania, o którym wszyscy mówili z takim rozmarzeniem, jako najgorszą formę psychologicznej tortury. Nie znosiła niewiedzy i paranoidalnych spirali myśli, które ten stan wywoływał. Pragnęła jasnych przekazów, pisemnych gwarancji, wyraźnych ram od samego początku. Ale z Jakobem było inaczej. Pozwoliła sobie na euforię, śmieszność, stereotypowe zakochanie w sposób dla niej całkowicie nowy. W połowie stycznia postanowili pomieszkać razem na próbę, do wiosny. Wypowiedział swoje mieszkanie. Miał się do niej przenieść. Kochał ją.

A pięć tygodni później zniknął.

Po kilku dniach przyszedł list.

Niewiedza doprowadzała ją do szaleństwa, spędzała sen z powiek, a brak snu skutkował jeszcze większym szaleństwem. Nie miała pojęcia, jak w tej sytuacji ma się zachować, jak przeanalizować wszystkie uczucia, strach, niepewność, smutek i kompletną bezradność. A potem poroniła w dziesiątym tygodniu. W tym chaosie nie zorientowała się nawet, że jest w ciąży. Porwała list i wyrzuciła go. Nie chciała ponownie widzieć jego słów, jednak tkwiły w niej nadal, tuż pod powierzchnią.

„Wybacz mi. Nie mogę powiedzieć dlaczego. Nie szukaj mnie. Nie nienawidź mnie”.

I

Jessica

Jessica gapi się w srebrny blister z białymi tabletkami, jakby miał jej dać odpowiedź. Próbuje policzyć, ile tabletek zolofu powinno jej zostać, jeśli rzeczywiście zapomniała wziąć jedną.

Nie pamięta, żeby rano wkładała pastylkę do ust, żeby poczuła chemiczny smak, a potem spłukała go szklanką wody. Z drugiej strony dlaczego miałyby zapamiętać coś tak powszedniego? To tak samo niemożliwe jak odnotowanie, czy się rano sikało, czy nie. *A może nie? Czy ludzie zapamiętują takie rzeczy?*

Powinna była skapitulować już kilka lat temu i kupić sobie pojemniczek z przegródkami. Nie musiałyby się zastanawiać. Ciągle. Ale coś ją drażni w myśli o tabletkach czekających w małych przegródkach.

Jessica odkłada blister leków na umywalkę. Doktor w Klinice Zofii, ten o wilgotnych oczach i suchych dłoniach, powiedział, że jeśli nie będzie pewna, czy wzięła, ma nie brać. Fakt, że jednego dnia nie weźmie tabletki, nie wpływa na samopoczucie, widocznie lek jakoś kumuluje się w organizmie, natomiast podwójna dawka może spowodować efekt uboczny przypominający dawne ataki paniki. Wierzy mu, wciąż pamięta powolny proces przyzwyczajania, kiedy nie mogła spać ani jeść, miała wrażenie, że oczy wyskoczą jej z orbit. Potrafi sobie wyobrazić, jak podwójna dawka zapala jej mózg.

Powinna zatem zignorować to teraz, po prostu nie brać żadnych tabletek w bezpiecznym przekonaniu, że to naprawdę bez znaczenia. Ale trudno jej wyjść z łazienki i zacząć szykować się na wieczór.

A może weźmie tylko pół tabletki? Pół raczej nie zaszkodzi, to taki sam skok jak przy podwyższaniu dawki na początku, a jeśli zapomniała dziś o tabletkę, to pół jest lepsze niż nic.

Jessica przeklina samą siebie. Gdyby tylko potrafiła przestać myśleć

o tym, że być może nie wzięła tabletki. Teraz, kiedy wie, że prawdopodobnie nie zażyła leku, logika nie ma żadnego znaczenia. Znajome mrowienie rozchodzi się pod czaszką, ma wrażenie, jakby kora mózgowa się kurczyła, a na czole i skroniach odczuwa zimne ukłucia. Wie, że to tylko wyobraźnia, ale czuje to, więc co za różnica? Jasne, być może jest hipochondryczką, ale sytuacja ją stresuje, a to właśnie stres sprawił, że kilka lat temu się rozchorowała. Najbardziej boi się tego, że strach przed chorobą sprawi, że naprawdę na nią zapadnie.

Przez pierwszy rok od zniknięcia Jakoba zaciskała zęby tak mocno, że budziła się rano z bólem szczęki. Nikomu nie powiedziała o poronieniu. Łatwiej było zanurzyć się w cudzych problemach. Dużo łatwiej. Praca nad felietonami i artykułami na temat relacji stała się jej ucieczką, ale w końcu także ona ją przerosła.

Najgorsze w dojściu do tej słynnej ściany czy raczej rzuceniu się na nią było to, że uderzenie okazało się tak silne: całkowicie zabrało jej powietrze i nie potrafiła się potem odnaleźć. Nie umiała już zaufać sobie ani swojej kontroli.

Później dużo łatwiej było dostrzec, gdzie wszystko zaczęło się rozsypywać. Był najwyższy czas.

Jessica potrząsa przecząco głową, jednocześnie patrząc na siebie w lustrze i wypowiadając listę argumentów przemawiających przeciwko temu, jakoby miała się znów rozchorować.

*Wiele* się o sobie dowiedziała dzięki mojej TPB i terapeutce. Mam lepszą samoocenę. Przepracowałam wszystko, co dotyczy Jakoba, najlepiej jak się da. Pracuję dużo mniej. Nauczyłam się odmawiać, przynajmniej czasami. Pozbyłam się przeświadczenia, że zawsze muszę być idealna. Mam odwagę być sama. Uprawiam jogę, biegam, leżałam na poduszce z igieł na brudnej leżance u najczęściej polecanego specjalisty od akupunktury w Sztokholmie. Na szczęście w końcu zaczęłam jeść tabletki szczęścia. Piję mniej kawy. I jeśli mimo to, wbrew wszelkim oczekiwaniom, i tak się rozchoruję, tym

razem rozpoznam znaki ostrzegawcze, pociągnę za hamulec bezpieczeństwa, zanim wypadnę z toru. Wszystko się ułoży.

Zresztą nigdy nie chorowała. Miała tylko takie wrażenie. Wrażenie, że zaraz umrze. Tak naprawdę paniczny strach, który zamknął ją w mieszkaniu, był tylko zdrową reakcją na sytuację nie do wytrzymania. Przynajmniej tak twierdzi jej terapeuta.

Dzwonek do drzwi. Jessica wkłada tabletki do szafki w łazience i zamyka ją zdecydowanym trzaśnięciem. Przecina duży pokój, kątem oka widzi, jak zdjęcia na ścianie poruszają się: Petra i Enzo (razem gdzieś na archipelagu), mama i tata (nigdy razem), babcia, dziadek i Viktor (zbyt długo ich już nie widziała). Bose stopy stąpają bezdźwięcznie po miękkiej, pobielonej podłodze, którą tak uwielbia. Mimo że tak źle się czuła w tym mieszkaniu, zawsze miała wrażenie, jakby strach nigdy nie zagościł w tych ścianach.

Otwarcie drzwi wywołuje przeciąg. Okna na północnej ścianie wychodzące na Tjärnhovsgatan są uchylone, powietrze, które przelatuje obok niej, wydaje się jasne, pachnie letnim wieczorem.

Sean, fryzjer, stoi na klatce ze spoconą twarzą. Wysunął dolną wargę, żeby zdmuchnąć kosmyk, który spadł mu na oczy. Ręce ma zajęte dwiema ciężkimi skrzynkami, dzięki ich zawartości ma ją upiększyć na dzisiejszy wieczór.

– Czy Micke denerwował się przed wyjściem?

Sean masuje jej nasadę włosów. Jessica właśnie zamknęła oczy i wtuliła się w szlafrok. Najchętniej nie myślałaby o tym wernisażu. To, że za niecałą godzinę będzie pić tanie białe wino z elitą medialną w Kulturhuset, wydaje jej się wciąż przyjemnie odległe.

Ale palce Seana opuszczają jej napięte mięśnie głowy. Włącza się suszarka i zaczyna szumieć. Ciepły wiatr owiewa jej kark, wciąż nieprzyzwyczajony do swojej nagości. Otwiera oczy, jednak zaraz ucieka wzrokiem od nieumalowanej twarzy w lustrze. Zdążyła jedynie dostrzec swoje oczy, nie chce napotkać rosnącej w nich paniki. Jest ciekawa, czy inni też to widzą. Sean raczej niczego nie zauważył.



– Tak mi się wydaje – odpowiada.

Tak naprawdę chciałaby, żeby ktoś się nią zajmował przez kolejną godzinę, a potem by mogła się położyć. Wzięłaby atarax dla pewności, że prześpi całą noc. Ale nie może tego zrobić Mickemu, od dawna mężczy go to, że ona nie chce z nim nigdzie wychodzić. Uważa, że ludzie zaczną niebawem podejrzewać, że kłamię, mówiąc, że są parą.

– Dzięki, że mogłeś przyjść – zwraca się do Seana, żeby zmienić temat.

Ten macha niecierpliwie ręką.

– Ależ kochanie. Od kiedy obciąłem cię na krótko, mam mnóstwo nowych klientek. Tym razem na koszt firmy.

Jessica się uśmiecha, z niewielkim wysiłkiem. Nigdy nie przyzwyczała się do tego, że ma rozpoznawalną twarz, a jeszcze mniej do tego, że ktoś chciałby się do niej upodobnić. Sean wciera w ręce miękki żel i zaczyna układać jej krótkie kosmyki.

Mózg Jessiki zaczyna się gotować, gdy przecina plac Sergela. Przez wielkie panoramiczne okna Kulturhuset widzi mnóstwo ludzi na trzecim piętrze. Gdzieś tam na górze jest Micke, w centrum zainteresowania.

Kiedy Sean skończył, zmusiła go, żeby został i wypił z nią butelkę szampana. Spytała go nawet, czy nie zechciałby być jej „osobą towarzyszącą” – zawstydzła ją ewidentny brak przyjaciół. Jedyłą wciąż bliską jej osobą jest Petra, ale właśnie ten wieczór spędza z synem i nie może z nią pójść.

Plecy Jessiki zdążyły się spocić, zanim podeszła do grupy palących przed wejściem gości. Są chłodni i piękni, całkiem wyzwoleni od podskórnego tłuszczu. Rozpoznaje redaktorkę mody z „Elle”, która dotrzymuje innym towarzystwa, i modelkę z ostatniej okładki. Jessica odchrząkuje i wykonuje skinienie głową, mijając ich. Czuje, że jej uśmiech jest nieco służalczy.

Kiedy Jessica schodzi z ruchomych schodów, porywa plastikowy kubek z winem, który ktoś jej serwuje na tacy, i wypija całą zawartość, idąc w kierunku Mickego.

Nagle zastępuje jej drogę dwumetrowy dziennikarz o wyjątkowo tłustych włosach i ze zbyt pomarańczową opalenizną.

– No proszę, kogo my tu mamy?

Zatrzymuje się w pół kroku, tuż przed nim. Natychmiast tego żałuje, powinna była wyminąć go z uprzejmym uśmiechem.

– Jessica Wilcox – mówi dziennikarz z ironią w głosie.

Po co ta ironia?

– Cześć – odpowiada, najbardziej neutralnie jak potrafi.

– Jessica Wilcox – powtarza tamten, głośniejszym głosem niż wcześniej.

nabija się ze mnie, chce, żeby wszyscy dookoła usłyszeli, ponieważ oni wiedzą, o co chodzi, może zobaczyli mnie przez okno i rozmawiali o tym, jak

– Idę przywitać się z Mickem – mruczy. – U ciebie wszystko w porządku?

– Tak, tak. O, cholera.

Uśmiecha się do niej zbyt wymownie. Jessica ma wrażenie, że rozmowy wokół nich cichną. Odruchowo prostuje plecy.

– Miło cię widzieć – mówi i wymija go.

– To ciebie miło widzieć, Jessico Wilcox! – krzyczy za nią, a ona jeszcze bardziej napina plecy.

Twarz Mickego rozjaśnia się na jej widok. Wzrusza ją to.

– Nareszcie! – woła on, a ona nastawia policzek do pocałunku.

– Oprowadzisz mnie? – pyta.

Micke uśmiecha się przepraszająco do zgromadzonych wokół niego, a ona jest szczęśliwa, że nie zna nikogo i nikt nie wymaga od niej zimnej, bezosobowej rozmowy.

Micke bierze ją pod ramię i prowadzi do ściany naprzeciw okien.

– Wszystko dobrze poszło? – szepcze mu do ucha.

– Chyba tak. Przyszłaś sama?

Przytakuje. Przystają przy jakimś portrecie, Jessica dusi w sobie ziewnięcie.

Micke jest jednym z najbardziej rozchwytywanych fotografów mody i reklamowych w kraju, zalicza się do tych postaci w branży, które stać na pokazywanie się w towarzystwie w zniszczonych džinsach i z porządną dawką tytoniu pod górną wargą, a mimo to, a może właśnie dlatego, jest uwielbiany przez każdego modowego führera i każdą drażliwą modelkę. Nad prezentowaną tu kolekcją portretów pracował z doskoku przez kilka lat, a jednak zdjęcia wyglądają, jakby je zrobił podczas jednej sesji. Realizując zlecenia dla magazynów i biur reklamowych, przekonał modelki i sławne osoby, by po zmyciu makijażu i odłożeniu rekwizytów ponownie stanęły przed aparatem. Prowokował fotografowanych do ziewania i robił zbliżenie

w momencie, gdy ziewnięcie osiąga kulminację, kiedy oczy automatycznie się zamykają, a mięśnie szyi spinają się maksymalnie.

Rezultat jest zaskakujący. Dobrze znane twarze na zdjęciach wreszcie nie są wyreżyserowane, są wręcz bezbronne. Ponadto ziewanie z jednowymiarowych zdjęć zaraża: ludzie w galerii ziewają dyskretnie, zasłaniając usta dłońmi, a jednocześnie wymieniają rozbawione spojrzenia. Jessica powstrzymuje kolejne ziewnięcie, zarażona zarówno zdjęciami, jak i reakcjami reszty gości. Ma wrażenie, że mogłaby tu wybuchnąć totalna psychoza ziewania.

– To działa, nie? – szepcze Micke niecierpliwie, a potem prowadzi ją dalej po galerii.

– Właśnie tak, jak zaplanowałeś – mówi.

W kieszeni Jessiki dzwoni telefon, wyjmuje go. Wyświetla się numer jej ojca. Nie odbiera. Micke patrzy na nią przelotnie, ale o nic nie pyta.

Micke znika w tłumie. Jakaś dziennikarka z „Metra” wyglądająca na czternaście lat chce zrobić z nim wywiad, w kolejce stoi reporter z lokalnej telewizji. Jessica przechadza się wzdłuż ścian, uważnie przygląda się portretom. Wychwytuje fragmenty rozmów wokół siebie, obserwuje twarze innych gości, ale gdy ktoś stara się złowić jej spojrzenie, odwraca wzrok. Pospiesznie się uśmiecha i odchodzi, mając nadzieję, że nie wezmą jej za gwiazdę.

Jessica ma wrażenie, że Micke ją zdradził z kilkoma kobietami z portretów, jednak dopóki nie zna konkretów, nie przejmuje się tym. Dopóki nie musi podjąć żadnej decyzji, wszystko jest w porządku. Też mi ekspertka od seksu i współżycia – myśli nie pierwszy raz. To jest, faktycznie, dość ironiczne.

W liceum Jessica uczyła się w klasie o profilu ścisłym, chociaż miała poczucie, że w ten sposób tylko kontynuuje to, czego tak nienawidziła w gimnazjum. Tak naprawdę w ogóle nie chciała się uczyć, ale trudno byłoby wyjaśnić rezygnację ze szkoły, skoro była taka zdolna. Wszystkie oceny

Jessiki były wysokie, jej tata liczył na to, że także ona zostanie lekarzem. On, który podczas studiów medycznych rozwinął w sobie silną hipochondrię i obawiał się, że dolega mu każda choroba, o której czytał. To przeszkadzało w pracy, dlatego zrobił specjalizację z ginekologii, idealna ścieżka dla hipochondryka bez waginy. Jego zawód był dla Jessiki nieprzerwanym powodem zażenowania, szczególnie wówczas, gdy niektóre koleżanki z jej klasy trafiały do niego po antykoncepcję lub by zbadać upławy. W tym czasie rodzice Jessiki byli już po rozwodzie, a niektóre z koleżanek spotykały jej ojca częściej niż ona.

Sama niespecjalnie interesowała się seksem. Nieco nawet brzydziła ją myśl o nim. Kiedy jej koleżanki, jedna za drugą, traciły cnotę, Jessica była tą, do której mogły przyjść z pytaniami. Wczytywała się w felietony o seksie w popołudniówkach i tygodnikach, sprawdzała medyczne fakty w podręcznikach taty. Im więcej informacji przyswajała, tym bardziej czuła, że seks nie jest czymś, czemu chciałaby się poświęcić. Seks stał się jej obsesją, choć nie chciała go uprawiać. Ekspertka w teorii, niepraktykująca.

Oczywiście nie jest już dziewicą. I lubi seks, czasami, chociaż zoloft rozdmuchuje orgazmy jak napełnione helem balony, niemożliwe do schwytania. Zanim spotkała Mickego, przez trzy lata nie chodziła z nikim do łóżka. Wciąż jest dla niej zagadką, jak seks, ciała i ich zawartość mogą być tak niezwykle piękne i podniecające, skoro czasem są najobrzydliwszą rzeczą, jaką można sobie wyobrazić.

Jessica spogląda dyskretnie na wyświetlacz telefonu. Symbol koperty wskazuje, że tata zostawił wiadomość, ale ją interesuje godzina. Jest tu już wystarczająco długo, niemal trzy kwadransy, nawet porozmawiała z kilkorgiem gości. Micke nic nie powie, jeśli pójdzie już do domu.

Znajduje się w głębokiej przepaści ataraksu, kiedy Micke wślizguje się do łóżka. Z daleka czuje jego oddech, kwaśny od alkoholu, i stary dym z papierosów, szepcze jej coś do ucha, zbyt blisko. Łaskocze ją to nieprzyjemnie, więc wynurza się niechętnie na powierzchnię, żeby go odgonić.

– Myślałam, że śpisz dzisiaj w domu – mruczy.

– Stęskniłem się za moim kotkiem – szepcze, przysuwając się bliżej.

Jego ręka zanurza się pod kołdrę, robi kilka niezdarnych prób pieszczona jej prawej piersi.

– To nie piłka odstresowująca – mówi Jessica.

Micke chichocze pijacko, po czym upada z głuchym hukiem na swoją część łóżka. Jest wdzięczna, że się na nią nie złości i nie nazywa jej znów oziębłą. Ręka nadal ciężko spoczywa na jej piersiach.

Już zasnął.

Ona jest całkowicie rozbudzona.

Za oknem kuchni ptaki obudziły się do życia. Jessica uchyla okno. Poćwierkiwanie dobiega ją wraz ze świeżym porannym powietrzem. Jest ona i ptaki, reszta Sztokholmu jeszcze śpi.

Myjąc zęby, Jessica wygląda na dwór, stara się wybadać, czy jest zimno. W drodze do łazienki idzie śladem nocnego powrotu Mickego. Wpadł jak tsunami, pozostawiając na drodze resztki wraku. Szpicfrajerki stoją na środku przedpokoju, zrzucone w przelocie. Zniszczona kurtka dżinsowa ciśnięta na fotel. Zgnieciona kulka z folii na kanapie, na stoliku obok zatłuszczona torebka z kiosku Sibylli.

Wypluwa pianę z pasty do zlewu, kilka razy pociąga szczoteczką po języku, a potem wypłukuje usta lodowatą wodą, która podrażnia jej zęby. Kiedy wciąga trampki, Micke wciąż chrapie w jej łóżku. Wychodząc z mieszkania, Jessica ostrożnie zamyka drzwi.

Rozpędza się na Götgatan, przechodzi na drugą stronę Ringvägen i schodzi w stronę wody przy Eriksdalsbadet. Potem idzie brzegiem do Hornstull, dalej wzdłuż Söder Mälarstrand do Slussen, a potem znów Götgatan, aż wraca do swojej ulicy, czerwona z wysiłku, ale spokojniejsza. Spogląda w górę na okno sypialni. Powinna była zasunąć rolety, żeby słońce nie obudziło Mickego. O tej porze na pewno ma potwornego kaca.

Zastanawia się, czyby nie wbiec na górę i jednak nie zasłonić okien. Ale wchodzi do jadalni hotelu Malmen, z bufetu śniadaniowego bierze croissanta, paczuszkę nutelli i kilka plasterów arbuza. Potem postanawia, że najwyższa pora odsłuchać wiadomości od taty.

Ostrożnie przełyka gorącą kawę, podczas gdy w słuchawce słychać rozwlekłą, nagraną gadkę: – Witamy w Eurovoice... masz... jedną... nową wiadomość... odebrana o... dziewiętnastej... zero... siedem – wtedy słyszy znajome chrząknięcie. Tata. Od jak dawna nie rozmawiali? Ostatnio

dzwoniła do niego, żeby wytłumaczyć, dlaczego nie może przyjść na jego ślub z Glorią. Boże. W takim razie nie widzieli się od strasznie dawna.

Patrzy na Götgatan, ruch uliczny na dobre się rozkręcił.

– Halo. Cześć, Jessico, tu tata. Mam dla ciebie smutną wiadomość, przykro mi...

Przestaje żuć croissanta. Ten puchnie w ustach jak gąbka. Czy coś się stało mamie? Nie. Wtedy ona wiedziałaaby pierwsza.

*o ile nadal* nie figurują jako małżeństwo w jakimś starym rejestrze szpitalnym, ale to raczej niemożliwe

– ...chodzi o mamę. To jest, twoją babcię. Umarła dziś w nocy. Jutro jadę z Glorią do Skanii, żeby pomóc dziadkowi. Oczywiście możesz jechać z nami, jeśli chcesz, ale nie czuj się zmuszona. Obawiam się, że niewiele możesz już zrobić.

Jessica przełyka gąbkę. Serce zaczęło mocno walić, ma wrażenie, że spada. Instynktownie chwyta się brzegu stołu.

Babcia? Nie żyje?

Tata kończy wiadomość, ale ledwo go słyszy. Wyłącza telefon i ostrożnie odkłada go na stół.

Babcia Viola, z długim białym grubym warkoczem, ta, która na zmianę była miła i surowa.

Jessica zauważa, że już zaczęła myśleć o niej w czasie przeszłym. Ale czy to dziwne? Od dawna nie widziała babci, od zbyt dawna. Gdyby poszła na ślub taty i Glorii, pewnie by się zobaczyły.

Tęsknota już ją przewierca, nie pojmuje, jak mogła pozwolić na to, by czas tak po prostu odpłynął. Kiedyś babcia była najważniejszą osobą w jej życiu, przez te lata, zanim mama i tata się rozwiedli. A potem Jessica nagle znalazła się w wieku cielęcym i świat się wywrócił do góry nogami, nie potrafiła się w nim znaleźć. Wówczas babcia pozostała niezmienną, zawsze czekała z otwartymi ramionami. Przy niej Jessica mogła sobie pozwolić na bycie małą dziewczynką. A teraz czuje się mniejsza niż kiedykolwiek. Chce, żeby babcia przytuliła ją po raz ostatni.



Jessica nie może oderwać wzroku od telefonu, który spoczywa na błyszczącym blacie stolika. Myśli o dziadku i Viktorze, bracie babci, zastanawia się, jak teraz ci dwaj starszycy sobie poradzą. Bez babci. Wspomnienia pędzą jej przez głowę. Jessica zauważa, że nie tylko myśli o babci w czasie przeszłym, ale też zaczęła ją już idealizować.

Było również inne oblicze babci. Babcia, której miłość nosiła na sobie ślady desperacji. Uściski trwające nieco za długo, wyznania miłości, niepohamowane pochwały, zbyt nachalne, by mogły być przekonujące. Jej miłość była jak ciepły, miły koc, którym można się owinąć, gdy przyjdzie taka potrzeba, ale za który należało czasem podziękować, żeby się nie udusić. Tak dużo chciała, miała nadzieję na tak wiele, że ciągle czuło się presję. Gdy przesadziła, Jessica gapiła się sztywno w tygodniki albo udawała śpiącą.

To była jedna z tych babć, które z zaplanowanej wizyty robią wielką sprawę, potrafiła zadzwonić kilka tygodni wcześniej tylko po to, by zapytać, co gość będzie chciał zjeść, gdy dotrze na miejsce. Takie rozmowy odstraszały Jessicę. Zawsze czuła ten wyrzut sumienia, że nie potrafi kochać babci równie mocno, mieć dla niej tak samo intensywne uczuć. Babcina miłość rozdzierała jej serce niczym drogicę, starannie dobrane prezenty, które jednak w jakiś sposób nie pasują do człowieka.

Jessica odchrząkuje, szukając w telefonie numeru taty.

– Zajmie mi to kilka dni – mówi, gdy on podnosi słuchawkę. – Muszę dokończyć tu parę spraw, potem przyjadę.

Szybko kończą rozmowę, on i Gloria są już w samochodzie, w drodze do Skanii. Jessica dzwoni do SAS-u i rezerwuje bilet lotniczy w jedną stronę. Na pojutrze.

Po raz pierwszy od kilku lat chce jej się zapalić.

Kiedy taksówka staje przed budynkiem telewizji, Jessica wie, że wszystko się posypie.

Płaci służbową kartą. Nie ma zwyczaju jeździć do pracy taksówką, ale dzisiaj nic nie zmusiłoby jej do jazdy metrem, gdzie kłębi się tłum nie do wytrzymania, obcy ludzie i ich niezgrabne plecaki przyciskające się do jej ciała, przepychanki, przechyły, metaliczny zgrzyt wagonów, powtarzający się nagrany głos, a przede wszystkim strach, że ktoś ją rozpozna, coś krzyknie

*ruchać!*

podejdzie i o coś zapyta, skieruje na nią uwagę wszystkich.

Nie, nie dałaby rady. Nie dzisiaj. Wiadomość o babci pozbawiła ją skóry. Zniknął filtr między nią a światem, nie potrafi obronić się przed żadnymi impulsami, nie potrafi ich przesiewać.

*cholera, cholera, cholera*

Gdy otwiera ciężkie szklane drzwi telewizji, czuje w skroniach klucie, daje o sobie znać dawny strach przed omdleniem. Wchodzi po kilku stopniach do recepcji, mija swoje gigantyczne zdjęcie reklamowe wiszące pośród portretów innych prezenterów. Jessica ze zdjęcia pasuje do kontekstu. Wielki uśmiech, włosy rozwiane niewidzialnym wiatrem. Silna i beztroška, otwarta i naturalna. Kobieta sukcesu. Ale program ma coraz mniejszą oglądalność, za małą. Podejrzewa, że większość „listów od widzów” piszą asystenci produkcji.

Jessica kiwa głową w stronę recepcjonistek, pospiesznie mija pokój socjalny, skąd dochodzą ją głośnie pobrzękiwanie sztucami i wybuchy śmiechu, kiedy wszyscy mówią jednocześnie. Przeciąga kartę pracowniczą przez czytnik, wewnętrzne drzwi budynku telewizji otwierają się przed nią. Biegnie truchtem przez korytarze, z urywanym oddechem, jakby ktoś ją

gonił.

Jej felieton w popołudniówce stał się naprawdę popularny dopiero po zniknięciu Jakoba. Była jak otwarta rana, więc i takie stały się jej teksty. Robocze rękawice zamiast jedwabnych mitenek. Nic nieowinięte, nic nieupiększone, żadnych szarych stref. Żadnych znaków zapytania, których nie dałoby się poprawić na wykrzykniki. Jej zawodowy wizerunek wyrósł jako odrębna osobowość, coraz bardziej oddzielona od niej samej, podobało jej się to. Siadanie przed komputerem było jak stawanie się kimś innym, nieskomplikowaną osobą.

Długo zastanawiała się, gdy zaproponowano jej program w telewizji, właśnie stawała na nogi po załamaniu, tymczasem wykreowanie tej drugiej osobowości na telewizyjnym ekranie okazało się zadziwiająco proste. Jessica czuje się jednocześnie jak aktorka i doradca seksualny.

Jest dobra w tym, co robi. Jest dobrym doradcą i dobrym rozmówcą, była taka na długo, zanim uczyniła z tego swój zawód. Jessica nie lubi rozmawiać o sobie. Wcześniej nauczyła się prowadzić długie wywiady na jeden temat. Sprawiać, że rozmówca otwiera się przed nią. Potrafi stawiać właściwe pytania, a potem następne, takie, które wymagają skomplikowanych odpowiedzi. To nie takie trudne, większość ludzi najbardziej lubi mówić o sobie.

Sean twierdzi, że to chyba najlepsza praca pod słońcem, ale ona nie jest tego pewna. Odpisuje na pytania czytelników od tak dawna, że nie potrafi już różnicować odpowiedzi. A jednak wciąż ją dziwi, jak bardzo ludzie potrafią kłamać na swój temat, ile wyjaśnień znajdują na to, że kogoś zawiedli, ile jest w nich strachu przed tym, że nie mogą mieć tego, co wszyscy inni zdają się mieć. Najbardziej zadziwia ją ten prosty fakt, że tyle osób szuka odpowiedzi u niej, zamiast zwrócić się do własnego partnera. Albo do lekarza.

Obawia się, że buduje w sobie skrzywiony obraz szwedzkiego społeczeństwa, że straci wiarę w ludzi i umiejętność współczucia. Dzięki temu, że relacje międzyludzkie umierają, zarabia na życie.

Gośćmi ostatniego programu w tym sezonie są Millan i Miranda, para w rozwianych perukach i jaskrawych ubraniach, która zdobyła czwarte miejsce w konkursie Eurowizji, a potem ich przebój wspiął się na wszystkie listy. Przez całą wiosnę frenetyczne *Sayonara, s'il vous plaît* dudniło w uszach całego szwedzkiego społeczeństwa.

– Uważam, że ludzie przeceniają seks. To znaczy, nie jest przeceniony – chichocze Millan.

– No nie, ale oklepany – mówi Miranda.

– Właśnie.

to co tu robicie?

Uczucie nadwrażliwości dostało się do studia, gdzie gruba warstwa makijażu zazwyczaj ukrywa jej prywatność. Jessica zaczyna wątpić w siebie, patrzy na siebie krytycznym okiem, zbyt długo zastanawia się nad doborem słów. Wszystko, czego absolutnie nie wolno jej robić.

– Co macie na myśli? – pyta, udając zaciekawioną.

– No wiesz, wszędzie jest pełno ruchania – zaczyna Miranda.

– We wszystkich serialach – dodaje Millan.

– Tak. I w reklamie!

– Ale szczególnie w serialach. Nie chcę, żeby moje dzieci w ciągu dnia oglądały podskakujące kołdry.

Jak się zdaje, Millan jest zupełnie nieświadoma tego, że jej zdanie w żaden sposób nie jest oryginalne, a już na pewno nie jest aktualne. Jessica widzi, jak kilka osób spośród publiczności w studiu potakuje.

– Mam wrażenie, że wszędzie jest coraz więcej seksu. Nie mówiąc już o pierwszych stronach gazet – mówi Miranda, a publiczność głośno przyznaje jej rację.

Jessica wie, że słowa Mirandy to nieprawda, że to się w ogóle nie zgadza. Już kilka lat temu seks przestał być gwarantowanym towarem. Ale słowa... Boże, słowa, z których powinna teraz sformułować wypowiedź, zniknęły. Spoczywają na niej puste spojrzenia Mirandy i Millan. Powinna coś powiedzieć. W studiu brakuje powietrza.

*ciężko się oddycha*

– Same miałyście dość odważne kostiumy podczas Eurowizji – w końcu udaje jej się wykrztusić.

– No, ale w szlagierze musi być trochę cekinów i glamouru – odpowiada Miranda. – Kostiumy szył sam Lars Wallin, uważamy, że są świetne.

Publiczność wybucha spontanicznym aplauzem okraszonym gwizdami i okrzykami.

– Co w tym złego, że człowiek chce się czasem wystroić, być bardziej wytworny? – pyta Millan. – Wysokie obcasy nie znaczą, że nie jest się silną kobietą.

– Oczywiście, nic w tym złego. Sama lubię wysokie obcasy.

Jessica słyszy, że mówi, jakby się usprawiedliwiała.

– To naprawdę nie do wiary, jak wysokie obcasy potrafią cię unieść – tłumaczy Millan. – To takie: „*Yeah! Jazda! Z drogi faceci, oto nadchodzę ja!*”.

Publiczność wybucha śmiechem, gdy Millan ilustruje uczucie z uniesioną pięścią.

– Źle dobrane buty potrafią zepsuć cały wygląd – twierdzi Miranda.

– Zawsze patrzę na buty facetów – wyznaje Millan. – One mówią wszystko o ich osobowości.

– No, nie takie buty albo to, że nie opuszcza deski od sedesu, wtedy wynocha – śmieje się Miranda.

Jessica stawia obie stopy na podłodze. Przed kanapą, na której siedzi, otwiera się wielka przepaść paniki. Już w nią zagląda, czuje zawroty głowy, podczas gdy Miranda i Millan wyciągają z rękawów kolejne stereotypy.

*Nie mogę tu dłużej być. Nie mogę. Dajcie mi wyjść. Umrę, jeśli zostanę. Niech już ta godzina się skończy. Chcę iść do domu, naciągnąć na głowę koc, chcę zapomnieć o tym, że jestem beznadziejnym gównem, które nie potrafi zrobić ze swoim życiem niczego sensownego. Nie mogłam nawet odwiedzić babci, chociaż wiedziałam, że jest chora, babci, która mówiła, że wszystko jest w porządku, chociaż wiedziałam...*

Nadchodzi pora na ostatni list od widza, czyta zawartość jaskrawej różowej kartki, którą trzyma w dłoni.

– „Cześć, Jessico! Mam dwadzieścia siedem lat i chcę o coś zapytać. Mój chłopak twierdzi, że sperma jest dobra na zmarszczki, jeśli śpi się z nią na twarzy całą noc. Czy to prawda? Serdecznie pozdrawiam. Lisa”.

Ewidentnie udawany list, te udawane zawsze zaczynają się od „Cześć, Jessico!” i zawsze podpisane są imionami w rodzaju tego Lisa.

– Hmm, mądry chłopak – chichocze Millan.

– Nie rozumiem, dlaczego faceci mają takiego fioła na punkcie wytryskiwania spermy na twarz swoich dziewczyn – mówi Miranda.

– Ponieważ mężczyźni są psami, które zaznaczają swój rewir – odzywa się Jessica spokojnym głosem prezenterki.

Miranda puszcza oko.

– To pornografia wylansowała takie zachowanie jako coś seksownego. Chociaż dla mnie to jest tak samo seksowne, jak kichnięcie w twarz – kontynuuje Jessica, głos jest jej przewodnikiem.

Wreszcie weszła w rolę. Zauważa, że Millan i Miranda nie chcą całkiem się z nią zgodzić. Wydałyby się wtedy nieseksowne. Cnotliwe.

– To dlaczego trafiło to do pornografii? – pyta Miranda, zmieniając pozycję w fotelu.

– Ponieważ męski wytrysk to jedyny sposób na pokazanie przed kamerą, że komuś jest naprawdę dobrze, że to nie jest gra. Chociaż między orgazmem a wytryskiem istnieje różnica, mam nadzieję, że wszyscy o tym wiemy.

Dalej mówi wprost do obcej Lisy, w której istnienie szczerze wątpi, że nie ma żadnych dowodów na to, czy taka „maseczka” działa. Udaje jej się nawet kilka razy rozśmieszyć publiczność.

– W ostatniej chwili uratowałaś program – mówi producent Rickard Medin dwadzieścia minut później.

Stoją w ciemnym studiu. W powietrzu wciąż czuć te wszystkie rozgrzane ciała ściśnięte tu przed chwilą. Nadal brakuje tlenu, ale teraz, po zakończeniu

nagrania, łatwiej się oddycha.

– Przez chwilę porządnie się bałem. Ale potem wróciła ostra i cyniczna Jessica Wilcox, którą wszyscy znamy i uwielbiamy.

Rzecz jasna, miał to być komplement.

Siedzą u Petry skulone pomiędzy poduszkami w jednym z głębokich wykuszy okiennych. W dole przez Odenplan przepływa morze ludzi, przejeżdżają ciężkie autobusy, ale do nich nie docierają żadne dźwięki. Jessica patrzy na Petrę, chciałaby móc jej powiedzieć, że ją kocha. Ale, o Boże, jak to by wyglądało. I Petra, i ona potwornie by się zawstydziły. To śmierć babci wywołuje w Jessice takie sentymentalne uczucia.

Opuszcza wzrok i uważnie ogląda skórki przy paznokciach. Dłonie są jedyną częścią ciała, z której Jessica jest naprawdę zadowolona. Babcia mawiała, że ma dłonie pianistki. Często gestykułuje nimi na wysokości brody, kiedy ma coś ważnego do powiedzenia, lubi, jak współpracują z ustami, by przekazać jej opinie. Szkoda tylko, że te same geny, które podarowały jej palce pianistki, zaopatrzyły ją w długie, wąskie stopy o rozmiarze czterdzieści trzy, przez co jej nogi wyglądają, jakby służyły do wdrapywania się na drzewa.

– Mamy w domu wojnę – mówi Petra. – Nie pozwolę, żeby Enzo wrócił do hokeja, dopóki nie dojrzeje na tyle, by sam mógł jeździć na treningi. A najbardziej chciałabym, żeby zapomniał całkowicie o hokeju. Nie chcę hokejowego chłopca. Wyobrażasz sobie, żebym miała stać i podskakiwać z zimna przy barierce, gdzieś na odludziu, tylko dlatego że on gra mecz?

Enzo to jedenastoletni syn Petry. Jest wierną kopią swojego ojca Carla, zamożnego maklera, z którym Petra się rozwiodła, kiedy Enzo miał niecały rok.

Właśnie się poznały, ona i Petra, a jednak Jessica bez problemu dostrzegła, jak Petra odżyła po rozwodzie. Niedawno zwierzyła się Jessice, że nigdy nie wierzyła w miłość Carla. Początkowo nie przyjęła jego oświadczyn, była pewna, że próbuje tylko zapomnieć o swojej byłej.

Po rozwodzie Petra zatrzymała mieszkanie. Pokoje są jasne i obszerne,



niemal sakralne, a meble i obrazy wypełniające przestrzeń kosztowały sumy, które dla Jessiki stanowią abstrakcję. To tu Petra prowadzi obecnie swoje życie. Na zmianę co tydzień jako mama i wielkowiejska singielka. Twierdzi, że to najlepszy ze światów: może smakować mężczyzn ze Sztokholmu, nie martwiąc się, że nigdy nie znajdzie tego właściwego, przyszłego męża i ojca jej dzieci.

Jasne, łatwo jej mówić, nigdy nie będzie jej brakować mężczyzn, którzy dobrowolnie chcieliby się poddać próbie. Petra jest prototypem idealnej dziewczyny. Piękna, ale nie tak, żeby to miało kogoś wystraszyć. Szczupła, ale nie chuda. Uprzejma, ale nie naiwna. Seksowna, ale jej seksapilowi można zaufać. Naturalna blondynka, jednak niezaprzeczalnie mądra. Jest idealna, w sam raz. Zwyczajna, ale lepsza. Wyniosła, ale nie nieosiągalna.

– Enzo dostał cztery rzeczy do wyboru – mówi dalej Petra. – Taniec, teatr, dowolny instrument albo deskorolkę.

– A co na to Carlo?

Petra wzrusza ramionami, a jednocześnie robi grymas, prawie uśmiech.

– Nie wiem. Jeśli dalej będzie pracował tak jak teraz, kiedy jest słaba koniunktura, i tak wszystko spadnie na mnie. Więc uważam, że Carlo nie ma prawa do własnego zdania w tej sprawie. Zresztą chyba wypadnie na breakdance. Enzo uwielbia ten program w telewizji z tancerzami, którzy ze sobą konkurują.

Petra wygląda na zadowoloną.

Po wielu latach w branży tekstylnej Petra postanowiła zostać stylistką jedzenia – to zawód, o którego istnieniu Jessica miała bardzo blade pojęcie. Teraz z kolei trudno jej oglądać jakikolwiek reportaż o jedzeniu, nie myśląc jednocześnie o wszystkich trikach, o których opowiadała Petra. Czerwone wino rozcieńcza się wodą, bo na zdjęciu ładnie wygląda, gdy przebija przez nie trochę światła. Torty robi się ze styropianu pod bitą śmietaną. Szampan, który nie przestaje puszczać bąbelków dzięki temu, że co jakiś czas dosypuje się do kieliszków soli. Grilluje się warzywa, które pod śladami pasków od grilla tak naprawdę są prawie surowe i tym sposobem przez kilka godzin pod lampami w studiu zachowują wygląd chrupiących i mięsistych.

Petra pracuje dla najelegantszych czasopism i najdroższych wydawnictw kucharskich. Jest najlepsza, jeśli chodzi o nakrywanie do stołu i nakładanie potraw na talerze. Przebiła się jakieś pięć lat temu, kiedy właściwie sama z siebie wprowadziła trend używania różnych talerzy i kieliszków na jednym stole. Oczywiście należało wiedzieć, co się robi, by móc stworzyć odpowiedni miks starych szklanek z wyprzedaży garażowej i drogiej zastawy marki Royal Copenhagen. A Petra wie, co robi. Od kiedy Jessica poznała Petrę, Carlo był jej jedynym słabym punktem, ale teraz dawno jest wykreślony.

Rok przed tym, jak Jessica poszła na zwolnienie, zebrała wokół siebie mnóstwo przyjaciół i znajomych oraz znajomych znajomych, tylko dlatego że nie znośła być sama. Wówczas nie rozumiała jeszcze, skąd pochodziły kołatania serca, z powodu których nie mogła leżeć na brzuchu, ani dlaczego wszystkie myśli krążyły w coraz szybszym tempie, kiedy wokół niej było cicho dłużej niż przez minutę. Czuła się, jakby wciągał ją jakiś prąd przemyśleń. Chwytała się każdej deski, która utrzymałaby ją na powierzchni przez kolejny wieczór, przez kolejny weekend: kolacje, krążenie po barach, nieskończone sesje w kawiarniach i niezobowiązujące *one night stands*. Wszystko tylko po to, by mogła się czymś zająć, dopóki nie padnie na łóżko wykończona do tego stopnia, by być pewną, że od razu zaśnie.

Ale to, iloma osobami się otoczyła, nie miało znaczenia. Czasami próbowała opowiedzieć o tym, co się stało, jednak dla ludzi zniknięcie Jakoba było raczej starą nowiną, tajemnicą, która straciła tajemniczość, równie męcząca jak guma, którą się zbyt długo żuje. Okazywali brak zainteresowania, kiedy nie było już nowych punktów widzenia na sprawę. Przystawali słuchać, mówili jej, żeby o nim zapomniiała, w końcu nie byli parą dłużej niż pół roku. Ale czy to ma znaczenie, jak długo się było razem? Czy istnieje jakieś wiarygodne równanie na to, ile może trwać żałoba? Nie potrafiła tego zostawić.

Samotność ją paraliżowała. Nie chodziło tylko o pustkę, którą po sobie zostawił Jakob, ale również o świadomość, że jest zupełnie sama ze swoim

smutkiem, a ten odstraszał od niej wszystkich.

Oczywiście nie dało się uciec od samej siebie. Pewnego razu, gdy siedziała przy śniadaniu, nagle zapomniała, do czego służy błyszczący przedmiot, który trzyma w dłoni.

Była to łyżka.

Nagle ona, która nie dawała rady być sama, nie potrafiła wyjść z mieszkania. Nie mogła znieść strachu przed tym, że mogłaby zemdleć, zwymiotować albo skompromitować się przed innymi. To, że była podrzędną gwiazdą, oczywiście w niczym nie pomagało. To uczucie, że ludzie się na nią gapią, uczucie, które zna każdy, kto kiedykolwiek czuł panikę, w jej wypadku było rzeczywistością.

A przyjaciele, z którymi próbowała uciec od siebie samej, znikali, jeden po drugim. Tylko Petra miała siłę zostać. Tylko Petra dawała radę rozmawiać z nią przez telefon kilka razy dziennie, kiedy Jessica nie potrafiła wyjść z mieszkania, ale nie była w stanie być zupełnie sama. Petra nie musiała nawet nic mówić, Jessice wystarczyła wiedza, że ktoś jest po drugiej stronie linii.

Jessica zastanawia się czasem, jak blisko była samobójstwa. Bała się, że tak właśnie mogłoby się skończyć, ale obawiała się wielu rzeczy, ponieważ nie poznawała już siebie. W niektóre noce zrobiłaby cokolwiek, żeby uciszyć myśli w głowie. Ufała Petrze bardziej niż sobie samej. To Petra przekonała ją, że nie zwariuje, to Petra pomogła jej wypełnić stos papierów z zakładu ubezpieczeń, gruby jak książka telefoniczna, to także Petra dzwoniła po przychodniach psychiatrycznych, żeby domagać się pomocy, o którą Jessica nie była w stanie prosić.

Cholerny system, w którym człowiek musi być zdrowy, żeby mieć siłę na chorowanie – przeklinała Petra po każdej telefonicznej kolejce, która na końcu zmieniała się w charczący zaułek. W końcu Petra poddała się i pomogła Jessice znaleźć prywatnego terapeutę. Jessica nie ma odwagi myśleć, co by było, gdyby nie było jej na to stać.

Odbywało się to w czasie, kiedy cały świat zdawał się wariować. Rok wcześniej zaatakowano Annę Lindh w domu towarowym NK, niemal

równocześnie zamordowano jakiegoś przedszkolaka, oboje byli ofiarami psychicznie chorych mężczyzn. Ktoś, kto twierdził, że kieruje nim jakaś siła wyższa, wjechał samochodem w ludzi na uliczkach starego miasta. Problem psychicznie chorych stał się tematem felietonów w gazetach, liczba osób w metrze mówiących do siebie z dużym zaangażowaniem drastycznie wzrosła. Jakby choroba zarażała. Jedna ze znajomych Jessiki miała sąsiadkę, która wciąż dzwoniła do poradni psychiatrycznej, ponieważ czuła, że coś w niej pęka. W końcu cienka błonka rozumu nie wytrzymała i kobieta podpaliła mieszkanie. Jessica nigdy nie powiedziała tego głośno, ale świetnie rozumiała taką reakcję. Strasznie się bała, że stanie się bohaterką jednej z tych historii. Tak bardzo się obawiała, że straci kontrolę, panowanie nad rzeczywistością, która ją przerosła.

– O czym myślisz? – mówi Petra, stukając łyżeczką o filiżankę.

– O niczym. O wszystkim. Przepraszam, że jestem taka nieobecna.

– Przestań, jest okej. Przecież wiesz.

– Micke powinien zaraz tu być. Samolot wylatuje za godzinę.

Petra patrzy na zegarek, przytakuje.

– Jak wam jest?

To Petra przedstawiła ich sobie. Poznała Mickego kilka lat temu, kiedy razem pracowali nad książką kucharską wydaną przez najbardziej przecenioną restaurację w Sztokholmie. Odnaleźli się we wspólnej nienawiści do jedzenia ustawianego w wysokie wieże i do przesadnego używania winegretu.

– Wydaje mi się, że czeka, aż to ja zrobię krok i z nim zerwę – odpowiada Jessica.

– A chcesz tego?

– Chyba oczekuję, że to on zrobi ten krok.

Petra unosi wzrok, obie wybuchają śmiechem.

– Ale teraz to nie ma znaczenia – kontynuuje Jessica. – Postaram się przeżyć kolejny tydzień aż do pogrzebu, a potem zobaczymy.

– Byłyście sobie bliskie? Ty i babcia? Rzadko o niej wspominałaś.

– Dawno się nie widziałyśmy. Ale bez niej nigdy nie przeżyłabym nastoletnich lat. Mam do siebie potworny żal, że nie było mnie przy niej, kiedy mnie potrzebowała.

– Był przecież jej mąż.

– To nie to samo – ciągnie Jessica. – Nie wiem, czemu tak rzadko ją odwiedzałam. Prawie nigdy nie dzwoniłam, tylko w urodziny i w święta. Czułam jakiś opór.

– Dużo gadania o dawnych czasach?

– Właśnie zadziwiająco mało mówili o dawnych czasach... Ale wiesz, jak to jest ze starymi ludźmi. Po jakimś czasie coś się zaczyna w tobie przewracać. To gadanie o ogródkach, o sąsiadach, których już nie spotykają, o pogodzie i o tym, jak się zmienia. Chciałoby się do nich krzyknąć, żeby odważyli się wyjrzeć za furkę własnego ogrodu. Sądzę, że byłoby inaczej, gdybyśmy czasem spotykali się w Sztokholmie. Moglibyśmy przynajmniej coś razem zrobić. Trudno jest wymyślać tematy rozmów, gdy człowiek siedzi w jednym miejscu.

– Ech, coś o tym wiem. Rodzice ciężko pracują nad moim sumieniem, bo rzadko ich odwiedzam, ale oni ani razu nie odwiedzili mnie w Sztokholmie.

Telefon Jessiki odzywa się. Esmes.

– Micke czeka na dole – mówi.

Wyciąga szyję i dostrzega go. Stoi oparty o samochód, pali papierosa i patrzy w okno Petry, nie widząc ich; słońce odbija się w szybach.

– Uważaj na siebie – mówi Petra.

– Ty też.

Przytulają się. Potem Jessica wybiega na dwór, żeby niepotrzebnie nie denerwować Mickego.

Już dawno się to nie zdarzyło, minęło kilka miesięcy, ale teraz znów. Jessica dostrzega znajomą sylwetkę wśród tłumu w terminalu na Arlandzie. Wie, że to nie Jakob, oczywiście, to nigdy nie jest on. A jednak coś kołacze w niej przez moment, aż w końcu mężczyzna odwraca się, a ona widzi jego profil

z wysuniętą brodą.

Spogląda na Mickego.

– Nie musisz ze mną czekać – mówi.

Samolot jest opóźniony, ale ona nie da rady przez pół godziny, które zostało do wejścia na pokład, wypełnić ciszy wiszącej między nimi.

– Spokojnie, nie spiesz mi się.

Milczą przez chwilę, Micke kołysze się w przód i w tył.

– Nie powinnaś spakować więcej ubrań? – pyta.

– Będę raczej chodzić w dresach. Sukienkę na pogrzeb znajdę gdzieś tam na wsi.

– Masz przecież strasznie dużo sukienek.

– Ale żadnej z nich nie chcę mieć na pogrzebie. Kupię coś taniego, coś, czego już później nigdy nie założę.

Micke przytakuje. Ziewa nieco przesadnie. Wypuszczając powietrze, robi ho-ho-ho. To nieprawdziwe ziewanie, bo nie zaraża. Rozglądają się, Jessica wie, że oboje chcieliby dostrzec coś wartego skomentowania. Szuka wzrokiem, ale po chwili się poddaje. Spogląda na własne dłonie.

– Jestem potwornie zmęczony – mówi Micke. To jego standardowa replika, kiedy nie ma jej nic do powiedzenia.

Jessica kiwa głową. Micke chyba nie rozumie, że jego „jestem potwornie zmęczony” ujawnia tylko to, że on również uważa milczenie za żenujące i chce się jakoś z niego wytłumaczyć. Dopada ją uczucie beznadziei.

– Przepraszam, ale czy pani jest Jessicą Wilcox? – słyszy kobiecy głos z boku.

Jessica odwraca się, wdzięczna, że ktoś ją zaczepił.

– Tak – odpowiada.

Kobieta ma około pięćdziesięciu lat, większość ciała ukryła pod obszernymi ogrodniczkami. Ma długie, gęste włosy, wyglądają na sztywne, jakby myła je płynem do naczyń. Nawet nie wie, jaka jest piękna – myśli Jessica. – Albo jest jedną z tych szczęśliwych osób, które w ogóle nie

przejmują się wyglądem.

– Uwielbiam pani kolumnę – mówi kobieta, podając jej dzisiejszą gazetę. – Czy mogę prosić o autograf? Uśmiełam się jak norka, czytając pani odpowiedź na pytanie gościa, który chciał iść do łóżka z przyjaciółką swojej żony.

Jessica uśmiecha się uprzejmie, bierze gazetę i długopis z napisem reklamowym, który kobieta wygrzebała z kieszeni spodni. Zamaszyście pisze swoje nazwisko obok zdjęcia, na którym siedzi w wielkim bordowym fotelu z dłońmi luźno złożonymi na kolanie.

– To takie fantastyczne nazwisko, Wilcox. Czy mogę spytać...

– To ze strony ojca – odpowiada Jessica. – Pradziadek był amerykańskim dyplomatą.

Kobieta potakuje. Hełm włosów porusza się jak w zwolnionym tempie nad pochylonym czołem. Jessica myśli o wodorostach porywanych przez fale.

– A to pani partner?

Nie czekając na odpowiedź, kobieta zwraca się do Mickego.

– A więc to na panu wypróbuję się wszystkie rady eksperckie? Szczęściarz z pana. Musi pan być wykończony.

Kobieta głośno chichocze. Uśmiech Mickego jest tak sztuczny, że przypomina *rigor mortis*, ale kobieta nie zauważa tego, dziękuje i odchodzi. Jessica myśli, że fajnie byłoby, gdyby potrafili się z tego pośmiać. Nie uprawiali seksu od dwóch miesięcy.

– Muszę już iść – mówi do niego.

– Zadzwoń, jak dojedziesz.

Oboje wiedzą, że zostało jeszcze dwadzieścia siedem minut do wejścia na pokład.

Wynajęte auto, srebrnoszary volkswagen, sunie bezgłośnie po drogach wśród płaskiego krajobrazu. Jessica uwielbia prowadzić samochód na małych wiejskich szosach. Niebo otwiera się przed nią. Białe chmurki podkreślają jego niesamowity błękit.

Mimo że przyjechała tu na pogrzeb babci, nie potrafi pohamować uśmiechu. To dobrze znane otoczenie tak bardzo się jej kojarzy z niekończącymi się wakacjami, długimi dniami na plaży i spędzonymi w łóżku przedpołudniami, które niespiesznie przechodziły w popołudnia. Jest pełna nostalgii, gdy skręca w drogę biegnącą wybrzeżem i dostrzega morze. Dociera do niej instynktowne uczucie wolności, szczęście przedzierające się przez smutek, który czuła w samolocie. Wyłącza klimatyzację i otwiera okno, dochodzi ją zapach morza, które na odległość wygląda tak zachęcająco, choć wciąż jest lodowato zimne. Ten krajobraz był kiedyś jej gwarantem bezpieczeństwa. To tutaj istniał świat, który niczego nie żądał, nie zadawał trudnych pytań.

Na tylnym siedzeniu pobrzękuje szkło. Była w monopolowym w Simrishamn, kupiła kilka butelek riojy, tanie wino musujące Chapel Hills, które tak naprawdę smakuje jej dużo bardziej niż większość prawdziwych szampanów, oraz rum dla dziadków. Jessica liczy się z tym, że nikt w domu nie pamięta, że od siedemnastu lat jest wegetarianką. To babcia zawsze gotowała specjalnie dla niej, więc teraz sama zrobiła zakupy, wzięła trochę soi i sera halloumi.

Wzdłuż drogi ustawiono tabliczki reklamujące wyprzedaż garażową. Powinna pójść na któreś z tych dużych targowisk. Boiska, gdzie człowiek się poci na słońcu, dostaje kusańce od agresywnych klientów, gdzie kupuje się prażone migdały i przy pierwszym kęsie przypomina się sobie, dlaczego nigdy się ich nie je poza takimi okazjami, pije się kawę z białych



plastikowych kubeczków, a w duchu modli się, żeby nie trzeba było zaraz biec do toalety. Poszukuje się ukrytych skarbów pomiędzy tysiącami metrów kwadratowych śmieci. Czuje się dreszcz zwycięstwa, kiedy się zdąży przed jakimś profesjonalnym antykwariuszem – ci krążą nerwowo między stolikami, rzucając sobie nawzajem uważne spojrzenia.

Jessica mija kemping Borrby, czas rozglądać się za zjazdem do Solbacki. Nie widać już morza, wzdłuż granicy lasu po drugiej stronie łąki buduje się kilka nowych domów. Gdy staruszkowie przeprowadzili się tu w latach osiemdziesiątych, Österlen było wciąż dość skromnym regionem. Teraz stało się urlopowym rajem kulturalnej elity Sztokholmu, milionerów branży internetowej, którzy handlowali przed kryzysem, i zamożnych turystów wynajmujących oddzielny pokój dla niańki. Jessica zgaduje, że cena domu staruszków przekroczy niebawem dziesięć milionów koron, ma nadzieję, że Glorii nie uda się przekonać ojca do sprzedaży domu po śmierci dziadków.

W ostatniej chwili dostrzega zbutwiały drogowskaz. Hamuje gwałtownie, po czym skręca. Odgłos opon na żwirowej ścieżce budzi wspomnienia z dzieciństwa. W aucie robi się ciemno, gdy wjeżdża pod korony drzew. Kilka razy podskakuje, kiedy koło wpada do wypełnionej wodą dziury w nawierzchni. Jeszcze jeden zakręt – to już nie droga, tylko dwa szerokie ślady po oponach, a między nimi wysoka trawa. Drzewa zostawiają miejsce rozległej łące tonącej w słonecznym blasku. W oddali widzi dom. To biały słoń, który puchł we wszystkie strony podczas kolejnych rozbudów, a obok stoją małe słońtka. Chatka Viktora, nie większa od kurnika, i szopa babci na narzędzia ogrodowe. Róże przywiązane do tylnej ściany domu kołyszą się na wietrze.

Zarzuca autem. Butelki z tyłu dzwonią coraz głośniejsze, roślinność trze o podwozie. Kiedy już dojeżdża na podwórze, zatrzymuje auto i wyjmuje kluczyk ze stacyjki, robi się tak cicho, jak wtedy gdy zakłada się słuchawki na uszy.

Jessica wystawia głowę przez otwarte okno samochodu. Bezwiednie odgania ręką muchę. Drzwi wejściowe domu są otwarte, ale nikogo nie widać.

Robi głęboki wdech, wciąga zapach krzewu róży heleny, kaskady białych kwiatusków. „Stoi tam jak staroświecka panna młoda” – mawiała babcia. Jessica zbiera się w sobie. Przekręca lusterko wsteczne, po czym szybko studiuje swoją nieumalowaną twarz. Jest zmęczona i blada. Prawa powieka jest cięższa od lewej, jakby spuchła, zawsze tak ma po wielu nieprzespanych nocach.

I nagle staje na schodach. Świeży wdowiec. Trochę starszy, trochę bardziej pomarszczony, ale nadal wyprostowany. Dziadek. Jessica się uśmiecha i otwiera drzwi auta.

Oszklona weranda była pierwszą dobudówką domu. Potem doczepiono do przedpokoju duży pokój z pochyłym dachem. Trzecia dobudówka przybyła pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Obok pokoju z telewizorem znajduje się teraz biblioteka z osobnym tarasem wychodzącym na las za domem, zachód słońca sprawia, że wysokie, proste sosny wyglądają, jakby płonęły.

Dom nie tylko powiększono. Zrywano ściany wewnętrzne, całkowicie albo częściowo. Nie istnieje już żaden oddzielny przedpokój. Wchodzenie do budynku przypomina wejście aktorów w amerykańskim serialu komediowym: otwierając drzwi, trafia się od razu na środek domu. Dobudowany duży pokój przechodzi w jadalnię. Jadalnia zamienia się dalej w kuchnię z marmurową wyspą pośrodku i drewnianymi blatami wzdłuż ścian. Nad zlewem znajduje się okienko wychodzące na front domu. Kiedy babcia gotowała, patrzyła na Jessicę czytającą w hamaku *Opowiadania mojego życia* i gazetkę „Frida Story”. Dom wypełniają meble i przedmioty zebrane podczas wspólnego długiego życia dziadków: kilka dziesięcioleci stoi obok siebie, pokoje można czytać jak dziennik.

Viktor prowadzi ją do piwnicy, do jej pokoju z boazerią na ścianach. Pokój, w którym całymi dniami zaplatała konikom tęczowe warkoczki, choć tak naprawdę na to zajęcie była za stara. Pokój, który nocą stawał się straszny, cienie wydłużały się, zwijały w kątach, czekały. Za oknem widziała korony sosen kołyszące się na jasnym letnim niebie. Drzewa ożywały, zbliżały się, ich sylwetki wyglądały jak ludzie. Las był miejscem, gdzie mogło przebywać każde stworzenie. Zainspirowana horrorami, przed których obejrzeniem nigdy nie potrafiła się powstrzymać, wyobrażała sobie wyrośniętych mężczyzn w hokejowych kaskach grających na bandzo, klany ludożerców. Ale najstraszniejsze koszmary dotyczyły zawsze mężczyzn bez twarzy. Ci milczący myśliwi, którzy nigdy się nie poddawali, nigdy nie

mężczyli.

Dziewczynka, którą była Jessica, leżała szczelnie owinięta kołdrą. Wszystko, co wystawało spod nakrycia, mogło skusić intruza. Zatem logika jej strachu przed ciemnością przypominała wiktoriańską wizję seksu: należało uważać, w przeciwnym razie można było swoim ciałem zwabić diabła. Jeśli zobaczyło się go przyciskającego twarz do szyby, winić się mogło tylko siebie.

Jessica odtrąca wspomnienie, gdy wchodzi do swojego dawnego pokoju. Uchylone okno wpuszcza zapach rozgrzanych słońcem igieł. Powietrze jest świeże, łatwo się oddycha, ale czas jakby się zatrzymał, w ten szczególny sposób, który wyczuwa się tylko w pomieszczeniu, gdzie spędziło się sporą część dzieciństwa.

Pewnej pijanej nocy, na studenckiej imprezie, Jessica prowadziła długą rozmowę ze studentem fizyki, który starał się ją przekonać, że człowiek kompletnie nie rozumiał pojęcia czasu. Że mylimy się, postrzegając czas jako prostą poziomą linię, grzecznie rozciągającą się w nieskończoność, niczym tory kolejowe zabierające nas z jednej chwili w drugą. Twierdził, że czas jest linią pionową. Cała historia świata, kosmosu rozgrywa się jednocześnie.

Wtedy parsknęła śmiechem, ale i tak trochę ją to zafascynowało. Bo jeśli pierwsze mięczaki wychodzą na ląd, wikingowie rabują w najlepsze, a JFK jest prezydentem USA w tym samym momencie, w którym ona próbuje zrozumieć nową koncepcję czasu, to oznaczałoby, że coś, co nazywamy przyszłością, odbywa się równolegle z teraźniejszością. A w takim razie „przyszłości” nie da się zmienić, ponieważ już się wydarza? Pomyślała, że rzuca to zupełnie nowe światło na wróżki i proroków. Być może nie spoglądają oni w przyszłość, tylko na to, co odbywa się jednocześnie ze wszystkim innym.

Potem rozboleła ją głowa. Student fizyki zaczął opowiadać o liczbach ujemnych. O tym, że punkt zero być może ma punkt przeciwny, w którym liczby ujemne i dodatnie spotykają się na nowo. Grzecznie go przeprosiła i wyszła z imprezy.

Ale teraz przypomniła jej się ta rozmowa. Bo kiedy stoi tutaj, wyraźnie czuje swoje wcześniejsze wcielenia na tym samym oświetlonym słońcem kawałku podłogi. Jest jak matrioszka, w jej ciele znajdują się dwudziestoletnia Jessica, szesnastoletnia, dwunastoletnia...

Stawia walizkę obok łóżka. Patrzy na Viktora tkwiącego w drzwiach. Szare spodnie podciągnął wysoko w pasie, koszula z krótkim rękawem starannie włożona w spodnie, srebrne włosy zaczesane do tyłu. Schudł od ostatniego razu, skóra luźno zwisa koło łokci.

– Moglibyśmy tu chwilę posiedzieć?

Nagle czuje zmęczenie. Jeśli zamknęłaby oczy, usnęłaby na stojąco. Viktor przytakuje, siada obok niej na łóżku.

– Mam wrażenie, jakby krzątała się po kuchni tam na górze – odzywa się Jessica. – Nie mogę pojąć, że już jej nie ma.

Uświadamia sobie, że takie zdania wypowiadają w każdym filmie, w którym ktoś właśnie umarł. Znów zastanawia się nad kwestią czasu. Być może babcia rzeczywiście jest tam na górze? Może dlatego tak dziwnie jest sobie wyobrazić, że jej nie ma.

– Ja też nie – mówi Viktor i masuje dłońmi kolana, uświadamia sobie ten ruch. Znów jest spokojnie.

W kuchni ktoś czymś brzęczy, ale to tata, dziadek i Gloria nakrywają do obiadu. „Właśnie mieliśmy zacząć bez ciebie” – to było jedyne przywitanie ze strony Glorii. Jakby chciała zaznaczyć, że Jessica się spóźniła. Chociaż przyjechała prawie punktualnie o godzinie, którą wcześniej podała.

– Nawet nie zdążyłem za nią zatęsknić – mówi Viktor. – Wydaje mi się, że wyszła tylko po zakupy.

Jessica kładzie rękę na jego ramieniu i delikatnie go przytula.

– Rozumiem cię. Mieszkaliście razem przez całe życie.

Mówiąc to, Jessica uświadamia sobie, że tak właśnie jest. Kiedy dziadek ożenił się z babcią, dostał w spadku jej brata. Viktor, wieczny kawaler, niezdara, który nie poradzi sobie bez pomocy. Jessica nie kochała go bardziej niż pozostałych staruszków, ale darzyła go szczególnym, bardziej osobistym

uczuciem. Współczuła mu, bo zawsze był sam. Wprawdzie Viktor mieszkał ze swoją siostrą i jej mężem, który jest również jego przyjacielem, ale musiał czuć się wykluczony z ich wspólnoty. Kiedy babcia i dziadek kładli się do łóżka, zaczynało się jego prywatne życie. I mieli dziecko, które razem wychowywali: ojca Jessiki.

Być może Viktor miał własne życie, o którym Jessica nic nie wie. Usychające z tęsknoty kobiety opuszczone w Sztokholmie. Podbite serca dam w każdym mieście, które odwiedził. Wstydlivy romans z jedyną przyjaciółką babci. Może jakaś żona sąsiada z domu nieopodal. Ma taką nadzieję. Nagle rozpiera ją ciekawość, ale trudno jej sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będzie miała odwagę go o to zapytać.

Jessica opiera głowę o ramię Viktora, a on poklepuje ją po kolanie. Przez moment ma wrażenie, że zaraz się rozpłacze, ale gardło samo jej się zaciska. Uczucie zostaje w środku, nie dopływa do oczu. W nocy nie spała, myślała o babci, starała się wydusić łzy, miała świadomość tego, że ukrywają się gdzieś w jej ciele. Nie nadeszły. Przez tę nieudaną próbę zdaje jej się, że tylko symuluje, wstydzi się, jest emocjonalnie sparaliżowana.

– Co teraz zrobisz? – pyta. – Zostaniesz tu w domu z dziadkiem?

– Tak, dlaczego miałbym się wyprowadzać? Przecież to także mój dom. – Słowa Viktora brzmią, jakby się bronił.

– Pomyślałam tylko, że będzie ci tu dziwnie, kiedy babci już nie ma – wyjaśnia pospiesznie.

– A gdzie miałbym się podziać?

Jessica patrzy na niego, ale jego twarz niczego nie wyjawia.

– Obcięłaś włosy – mówi tata.

– Nie odpowiada.

– Wyglądasz jak chłopiec – dodaje po chwili.

– Nie podoba mu się.

Obiad jedzą przed domem. Rozgrzane słońcem drewniane krzesła zrobiły się szarobure od deszczu, owalny stół o nierównym blacie przykryto ceratą

w wielkie czerwone kwiaty. Rozłożony nad nimi parasol kołacze na lekkim wietrze. Kiedy Jessica opiera się o krzesło, jej twarz trafia poza okrąg cienia, nagle oślepia ją słońce.

Wokół nich stoją białe drewniane kratki, po których masywne róże babci pną się ku niebu. „Te róże to żadne mięczaki” – mawiała babcia, pokazując Jessice mocne zielone liście i jedwabiste ciemnoczerwone płatki.

Ogród był pasją babci, jej oczkiem w głowie, terapią i opoką. Zapachy dochodzą do nich małymi porcjami, które niesie wiatr – aromat róż heleny, jaśminu i osobliwych goździków. Ciemnofioletowe ostróżki kwitną na rabatkach, podobnie jak wdzięczna ponętka, orliki i błękitne irysy, jarzmianka z kołyszającymi się kwiatami. Płatki wiśni niemal świecą własnym blaskiem, ale już opadają. Na ziemi pod drzewem płatki leżą jak świeży śnieg.

W oddali słyhać nieprzerwany szum morza. Aż dziwne, jak bardzo to uspokaja – myśli Jessica. Koi sama świadomość, że niedaleko jest morze. Jeśli człowiek by o tym nie wiedział, mógłby pomyśleć, że ten monotony dźwięk pochodzi z autostrady.

Tata siedzi obok niej, dziadek naprzeciwko. Tata ciężko oddycha przez nos, przeżuwa ziemniaki wykopane wcześniej przez Viktora z ogródka i śledzia kupionego w budce w porcie. Tata oddycha coraz szybciej, jakby dostawał zadyszki od samego jedzenia. Nikt inny niczego nie zauważa, ale Jessica nie może oderwać od niego wzroku, widzi, jak rozszerzają się jego nozdrza. Pozwolił swojemu ciału spuchnąć nad paskiem spodni i nad kołnierzykiem koszuli, beztrudno pomnożył ikсы przed swoim L.

Dziadek nadal odbywa swoje wzmacniające spacerы, je umiarkowanie duże porcje. Jest w lepszej formie niż syn. Jednak postarzał się, od kiedy widziała go po raz ostatni. Włosy ma wciąż gęste i stalowoszare, ale rozczochrały się na wszystkie strony. Biała broda zarosła całą szyję, kiedyś to było zupełnie niemożliwe, i jego ręce poruszają się powoli, jakby się zastanawiały. Zauważa, jak dziadek ukrywa, że lekko się trzęsą. Poza tym Jessica podejrzewa, że gorzej słyszy. Dziadek ma ponad osiemdziesiąt lat i po raz pierwszy rzeczywiście wygląda na swój wiek. To oczy zawsze

wszystkich oszukiwały, przez wszystkie te lata były takie żywe, ale teraz coś się zatraciło za grubymi szklami okularów. Będzie następny – Jessice nie udaje się zahamować tej myśli.

Nieobecność babci jest odczuwalna. To ona trzymała ich razem, bez niej są jakoś niezdarni wobec siebie.

– Och, przywiozłaś słońce, Jessico – odzywa się tata i bierze łyk piwa, a potem się wgryza w wielki kawałek chrupkiego chleba.

Grube plastry sera ułożył w kilku warstwach. Kanapka trzeszczy między jego zębami, ciężki oddech robi okazały *comeback*. Jessica jest poirytowana, nawet wkurzona, ale wie, że tak naprawdę nie z tego powodu, jak on je, ale z zupełnie innego.

– No właśnie, tato, taka już jestem. Wieczny promyczek.

Jessica sięga po paczkę czerwonych marlboro Viktora. Wie, że nie musi pytać o pozwolenie. Rzadko pali – od kiedy wprowadzono zakaz palenia w restauracjach, ani razu nie kupiła paczki papierosów – ale tutaj papieros po jedzeniu to tradycja. Poza tym zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo wkurza to Glorię, która natychmiast wykrzywia usta i odsuwa krzesło od stołu.

Tata przepłukuje kanapkę ostatnim łykiem piwa, po czym wzdycha zadowolony.

– No, człowiek najadł się także dzisiaj – mówi, tłumiąc beknięcie.

*nigdy nie zadzwonił, żeby zapytać, jak się czuję, ani razu, nawet wtedy, gdy było najgorzej, wciąż nie*

Przestań, Jessico – mówi w myślach do siebie samej. – Nie jesteś już kozim bobkiem.

Rodzice się rozwiedli, kiedy miała dwanaście lat. Gdy wróciła ze szkoły, w przedpokoju stały stosy pudeł. Zawartość szaf mamy i jej wepchnięto do czarnych worków.

– Wreszcie się zdecydował – powiedziała mama.

Na łososiowej bluzce miała plamy potu pod pachami, włosy po trwałej przykleiły jej się do czoła i skroni.

Zanim pudła do przeprowadzki w końcu tam stanęły, Jessica przez sześć



miesiący starała się namówić mamę, by rozwiodła się z tatą. Wydarzenia, które doprowadziły do tej decyzji, tak bardzo obrzydziły Jessice ojca, że nie mogła na niego patrzeć.

Najlepszym i prawdopodobnie jedynym przyjacielem taty był Gunnar. Jego mama Solveig była najlepszą przyjaciółką babci. Kiedy Gunnar i jego żona przyjeżdżali do Skanii, żeby jak zawsze spędzić z Solveig tydzień wakacji, meldowali się w hostelu, ponieważ żona Gunnara nie mogła znieść myśli, że miałyby wytrzymać z teściową cały tydzień.

Jessica nie zna żadnych szczegółów, za co jest bardzo wdzięczna, ale jeszcze przed końcem urlopu Gunnar rozpoczął romans z Blendą, zamężną szefową hostelu, podczas gdy jego żona była przykuta do łóżka wakacyjną gripą. Gunnar się rozwiodł jeszcze przed końcem lata. Obecnie Gunnar i Blenda mieszkają w jakiejś zapomnianej przez Boga dziurze w Bergslagen.

A potem tata spotkał młodszą siostrę Blendy, Glorię.

Jessica nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś marzył o rozwodzie rodziców. Nigdy o tym nie mówiła. Przeciwnie, odegrała rolę, której od niej oczekiwano, od szoku, przez złość, po żal.

Być może mogła wytrzymać niekończące się kłótnie, które odbijały się od ścian mieszkania przy Uppladsgatan. Natomiast nie mogła znieść tego, że ojciec użalał się nad sobą. Jego męczennictwa. Jakby sprawa zdrady dotknęła jego. Jak gdyby fakt, że w końcu to on musi wybrać po tym, jak przez pół roku nie mógł się zdecydować między kochanką a wierną żoną, był wielkim, niesprawiedliwym ciężarem.

„Nie możesz mnie przynaglać do decyzji tu i teraz – mówił do mamy z wymuszoną cierpliwością. – Chyba rozumiesz, że nie chcę działać pochopnie?”.

A któregoś razu: „Jeśli stawiasz ultimatum, żebyś wybrał, sama dokonałaś za mnie wyboru”.

W tej sytuacji Jessica już dawno zdecydowała, że nigdy nie będzie zależna od mężczyzny. Obietnica, którą złamała tylko przez Jakoba.

Jessica zaciąga się papierosem, chociaż ten smakuje obrzydliwie, i spotyka

spojrzenie Glorii. Zaczyna myśleć, mając nadzieję, że Gloria czyta w jej oczach.

*Zabrałaś ode mnie tatę. Nie dlatego, że zostawił dla ciebie mamę, to był jego wybór. Nie dlatego, że jesteś zazdrosna o wszystko, co dotyczy jego pierwszego małżeństwa, wliczając w to mnie, że uniemożliwiłaś nam jakikolwiek prawdziwy kontakt. To jego wina, a więc oboje do tego doprowadziliście. Ale ukradłaś mi mój obraz ojca jako bohatera. Obnażyłaś go przede mną. Nigdy ci tego nie wybaczę.*

– Babcia najbardziej martwiła się tym, że nie może po raz ostatni wykąpać się w morzu – mówi dziadek, kiedy kilka godzin później idą wzdłuż plaży.

Jego słaby słuch sprawia, że mówi za głośno. Są sami na całej ziemi. Plaża ciągnie się aż po horyzont. Gdzieś przed nimi leży Sandhammaren. Daleko z tyłu znajduje się plaża, która gdy jest ciepło, wypełnia się turystami z kempingu, ale sezon jeszcze się nie zaczął, a kiosk z lodami przy samej wodzie jest zamknięty w dni powszednie. Piach wciąż jest mokry po tygodniu nieprzerwanego deszczu. Jessica stara się iść spokojnie, żeby dziadek nadażył i nie zauważył, że zwalnia ze względu na niego.

– Nie wiedziałam, że była aż tak chora – mówi.

– Nikt z nas nie wiedział.

Gula w gardle powraca, słona jak morze. Trudno jej przełykać, czuje coś na kształt muru w krtani, który nie chce się przesunąć nawet o milimetr.

– Przyjechałabym, gdybym wiedziała. Rozumiała to, prawda?

– Nie myśl o tym.

– Jak mam nie myśleć! Już dawno powinnam była was odwiedzić, niezależnie od wszystkiego.

– Miałaś swoje sprawy – mówi dziadek.

Jessica przypomina sobie, kiedy ostatni raz widziała babcię i dziadka razem. Stali w ogrodzie i machali na pożegnanie, kiedy ona cofała wynajęty samochód, a potem pojechała do Kopenhagi. Pobyt w Kopenhadze był jedynym powodem, dla którego odwiedziła staruszków: miała po drodze.

Babcia i dziadek stali metr od siebie, jak zwykle. Jedna z tych starszych par, które wiele lat wcześniej zrezygnowały z jakiegokolwiek kontaktu fizycznego. Ten typ przestaje się do siebie zwracać po imieniu, a używa tylko słów „mama” i „tata”, a później, do Jessiki, „babcia” i „dziadek”.

Zastanawia się, czy dziadek też żałuje. Czy on też myśli o tym, co powinien był powiedzieć lub co mógł dla niej zrobić.

– Czy to nie egoistyczne z jej strony, w jakimś sensie? – mówi Jessica. – Nie powiedzieć, że jest aż tak chora?

Dziadek odwraca się do niej, wiatr porywa jego potargane włosy. Mija chwila, zanim odpowie, Jessica wątpi, czy usłyszał.

– Nie chciała, żeby ludzie zaczęli ją inaczej traktować.

– Ale wszystko było przecież inaczej. Umierała. Czy nie powinna dać nam szansy, żebyśmy się pożegnali?

– Babcia nie chciała być postrzegana jak jakaś ofiara.

Jego głos na wietrze robi się nieco skrzeczący.

– No, ale była ofiarą. Ofiarą choroby.

Dziadek nie odpowiada, a Jessica milknie. To postawa, której absolutnie nie rozumie. Wie, że uważa się ją za szlachetną i dzielną, szczególnie w pokoleniu babci i dziadka, ale kiedy sama była chora, niczego tak nie pragnęła, jak wygadać się przed kimś. Nie przeszkadzało jej, jeśli komuś było jej żal, jeśli ktoś jej towarzyszył, kiedy się nad sobą użalała.

– Chciałabym wiedzieć – mówi, kiedy nie może już wytrzymać swoich słów wiszących w powietrzu, niezaprzeczonych.

– Nie życzyła sobie, żeby ludzie ją odwiedzali tylko dlatego, że czuli się zmuszeni – odpowiada dziadek.

Jessica nie słyszy w jego głosie żadnej pretensji. To bez znaczenia. Nie ma takiej potrzeby i tak ma rosnące wyrzuty sumienia.

Kiedy zawracają w stronę domu, spogląda na godzinę w telefonie. Niedługo będzie wpół do piątej. Zastanawia się, czy powinna zadzwonić do Mickego, przy domu nie ma zasięgu. Tutaj ma tylko jedną kreskę, poza tym telefon przełączył się na duński Telenor. Ale Micke zdaje się tak odległy i nie

jest to związane z geografią. Wysła mu esemesa, że zadzwoni jutro.

W nocy wraca dziecięcy lęk przed ciemnością. Ten strach nigdy nie dociera do Sztokholmu, tam jest za dużo ludzi w sąsiednich mieszkaniach, tam ulice są oświetlone, a przyroda i jej tajemnice znajdują się w stosownej odległości.

Oczywiście nie ma w tym żadnej logiki. W Sztokholmie jest więcej dużo poważniejszych niebezpieczeństw. Ale klaustrofobiczny strach nie ma nic wspólnego z logiką, chodzi o to, co nieznanne po drugiej stronie okna, o zwartą ciemność, która otacza dom i chce się dostać do środka. Chodzi o poczucie, że jest się obserwowanym. Wszystkie potworne fantazje, które się nagle urzeczywistniają, są w pełni możliwe. Tu na wsi łatwo zrozumieć przesady z dawnych czasów.

Jessica ma włączoną lampkę nocną, słyszy, jak w pokoju obok tata i Gloria do siebie szepczą. Żeby się uspokoić, myśli o babci. O babci, która robiła gorącą czekoladę, dodając do mleka mnóstwo kakao, cukru i szczyptę soli. O babci, która zawsze uważała, że zimą jest za chłodno, niezależnie od tego, jak dużo się paliło w kominku. (Kiedy Jessica odwiedzała dziadków w ferie zimowe, rano siedziały obie na podłodze w kuchni, przyciskając plecy do boleśnie parzącego kaloryfera).

Myśli o babci, która nigdy nie pozwała jej ślęczeć przez telewizorem dłużej niż godzinę, wyjąwszy filmy fabularne.

Myśli o babci, która uważała, że pizza nie jest prawdziwym jedzeniem, więc w soboty Jessica musiała wybierać między pizzą a słodyczami. A jeśli wybrała pizzę, i tak miała najpierw zjeść porządny obiad.

Myśli o siedzeniu w ciepłym, przyjemnym uścisku babci i o uczuciu, że jest się kochanym.

Myśli o tym, jak zaglądała głęboko w jej oczy, aż dostrzegła, o czym babcia myśli. Pomost nad jeziorem? Tak, śmiała się babcia, właśnie o tym myślałam. Domek z piernika stojący na srebrnej tacy? Tak, to niemożliwe,

żeby ci się udawało za każdym razem, prawdziwa czytelniczka myśli.

*Babciu, czy możesz czytać w moich myślach? Jesteś tu? Czy wiesz, że cię kocham, ale tak bardzo boję się ciemności, że aż przeraża mnie, że przyjdiesz tu do mnie i zaczniesz straszyć?*

*Nie złośćisz się chyba o to, że nie przyjechałam?*

Dwa dni przed pogrzebem Jessica uświadamia sobie, co powinna zrobić.

Kuca na strychu pod niskimi belkami, pośród pudeł, mebli i stojaków na ubrania. Rzeczy, które babcia zachowała dla przyszłych pokoleń, są szczelnie owinięte folią. Kapelusze ułożone w oryginalnych pudełkach, buty w kartonach, w których je kupiła, i biżuteria w skrzyneczkach z dawno nieistniejących butików.

W kwestii ubrań babcia była pedantką. Nigdy nie dało się na nich dostrzec plamki ani dziurki, a teraz wiszą tu zarchiwizowane jak w jakimś muzeum, poukładane według dat, stylów i kolorów. Część ubrań Jessica pamięta z dzieciństwa, ale jest tu też zupełnie nieużywana odzież, nadwyżka magazynu z butiku, który babcia kiedyś prowadziła. Zbywające egzemplarze oddawała przez lata na cele dobroczynne, ale resztę przechowywała tu od czasu przeprowadzki ze Sztokholmu.

Dziadek zachęcił Jessicę, żeby sprawdziła zbiory i wzięła, co tylko zechce – buldogowate, wiszące usta Glorii napięły się, kiedy to usłyszała – a Jessica jest bardzo wdzięczna, że ma teraz zajęcie i może zostawić stłumione uczucia, które kłębią się na dole domu. Przygotowania do pogrzebu wcale nie zabierają dużo czasu.

Jak zawsze zapobiegawcza i dbająca o to, by nie stanowić problemu, babcia zaplanowała precyzyjnie również swój pogrzeb. Wybrała kościół, księdza, model trumny, psalmy. Dziadek zajął się papierologią dotyczącą zgonu, a Viktor informował przyjaciół i znajomych. Tata i Gloria skontaktowali się z zakładem pogrzebowym. Jessica zajęła się tym, co potrafi najlepiej: wysłała nekrolog do „Dagens Nyheter” i „Ystads Allehanda”, zamówiła ciasto na stypę w domu parafialnym, wypowiedziała prenumeratę tygodników z kolorowymi potrawami na okładkach.

Odwiesza na stojak ubrania, które chce zatrzymać. Pastelowe sukienki z lat

pięćdziesiątych, żółte, groszkowozielone i niebieskie oraz jedną beżową Balenciagi, którą ma zamiar podarować Petrze. Bluzki z dekoltem w łódkę, plażową sukienkę bardotkę, płaszcz z szerokim pasem. Rybaczki od Pucciego. Jessica przeszukuje wieszaki, kontynuuje podróż w czasie aż do króciutkich spódniczek zainspirowanych swingowymi butikami z lat sześćdziesiątych na Carnaby Street i Kings Road. Pojawiają się futurystyczne materiały, srebrzyste sukienki, kurtka z przezroczystego plastiku. Lata siedemdziesiąte pełne złotych cekinów i dzierganych sweterków.

Jessica przymierzyła już kilka ubrań, z zadowoleniem stwierdza, że pasują idealnie; ona i babcia mają ten sam płaski biust, te same wąskie biodra.

Gdzieś między miniówkami a dżersejową sukienką od Halstona wyciera pot z czoła i wygląda przez brudny lufcik. Ponad koronami drzew widać stąd morze. Jakaś pszczoła stuka co chwila o szybę, więc Jessica podchodzi tam, otwiera okno i wypuszcza ją. Odprowadza owada wzrokiem i nagle uświadamia sobie, że mogłaby tu zostać po pogrzebie. Sama.

Tata i Gloria wyjadą dzień po. Dziadek i Viktor postanowili, mimo wielu obaw, zrealizować dawno ustalony plan odwiedzenia przyjaciół w Marbelli. Potrzebują tego wyjazdu, odpoczynku od otaczających ich tu wspomnień. Ale to, od czego oni muszą odpocząć, jest właśnie tym, czego Jessica teraz potrzebuje. Jakiś głos w niej szepcze: Tak. Zostań tu ze wspomnieniami.

Tu wszystkie problemy wydają się takie odległe. Zostały w stresie i pośpiechu Sztokholmu. Skarłowaciały. Tu jest czas, by po prostu być, to, co jej terapeuta uważa za tak ważne, a co tak trudno wykonać w Sztokholmie – tam sama gonitwa za czasem, w którym można po prostu być, staje się najbardziej stresującym zajęciem.

Dziadki tylko się ucieszą, jeśli zostanie i zaopiekuje się domem i ogrodem. Mogłaby rozesłać podziękowania po pogrzebie i zająć się pocztą. Jessica oddycha głęboko i próbuje wyprostować plecy, podczas gdy pomysł się w niej zakorzenia. Czy wytrzyma samotność na wsi? Lęk przed ciemnością nie wrócił po pierwszym razie. Co noc przesypia dwanaście godzin, głęboko, bez snów, a gdy się budzi, jej ciało jest sztywne, najprawdopodobniej nawet się nie ruszała w nocy. To dobrze rozpoznany fenomen: przez pierwsze dni



w Skanii jest niespokojna, ma poczucie, jakby życie jej uciekało, przeciekało przez palce, uważa, że powinna coś zrobić, a potem przychodzi zmęczenie, aż wreszcie dostosowuje się do powolnego rytmu i do ciszy.

Jessica czuje olbrzymią ulgę. Ani nie chce, ani nie musi wracać do domu. Teksty do popołudniówek może pisać stąd. Może nawet przekonałaby Petrę do odwiedzin, niech weźmie ze sobą Enza.

A Micke? Nie udaje jej się wpisać go w równanie.

Gloria właśnie zakończyła długi wykład na temat mrówek. A ściślej tych, które przez lata oblegały Solbackę. Ich ścieżka biegnie przez sam środek tarasu, przy kamiennym chodniku na tyłach domu zbudowały wielkie mrowisko. „W tej ziemi jest dobra energia. Mrówki to inteligentne stworzenia, wyczuwają takie rzeczy” – powiedziała kiedyś Gloria, nie pozostawiając przy tym miejsca na dyskusję. Nawet tata Jessiki nie miał siły udawać, że jej słucha. Jessica zastanawia się, co go tak naprawdę łączy z drugą żoną. Gloria jest najbardziej sztywną osobą, jaką zna. Nie tylko stoi twardo na ziemi – ona zalała obie stopy betonem. A więc co on widzi w tej dziwacznej kobiecie?

Gloria jest oddana własnej wersji duchowości, która przypomina mieszankę najlepszych cukierków, samodzielnie dobranych pysznych, mięciutkich słodkości z hinduizmu, astrologii, Deepaka Chopry, buddyzmu, chrześcijaństwa, Paula Coelho, proroków i gnostyków. Jej życiowym regułem trudno sprostać, bywają sprzeczne. Głośno protestuje, kiedy ktoś zabija komara albo proponuje zastosowanie środka przeciw komarom. Za to nie ma żadnego problemu z tym, żeby jak teraz wsunąć na kolację cały stek. Z przyjemnością pije wino, szczególnie jeśli ktoś inny je stawia, ale sama nie jest w stanie zaprosić na kieliszek – zachęcanie innych do alkoholu oznacza, że podjęło się decyzję za tych, którzy nie są wystarczająco dojrzały. Jeździ na odosobnienia w Dalarna, na Sri Lanke i do Tajlandii, gdzie godzinami medytuje według metody vipassany. Jednocześnie używa swojej duchowości jak kija po to, żeby tłuc po głowach innych, ustawiać się ponad nimi i sądzić, że jest lepsza, bardziej rozwinięta.

Jessica nigdy nie uważała się za osobę uduchowioną, ale jest pewna, że prawdziwe duchowe uniesienie oznacza większą hojność wobec innych niż ta prezentowana przez Glorię. Jest też przekonana, że gdyby mrówki były takie mądre, trzymałyby się z dala od energii drugiej żony taty.

Kolację jedzą na zewnątrz. Na stole zapalili lampion. Noc zagęszcza się wokół nich. Na ciemnogrnatowym niebie, które o tej porze roku nigdy nie jest całkiem czarne, lśnią gwiazdy.

Wreszcie robi się cicho, nawet szczęki taty się rozluźniły, jego talerz od dawna leży wyczyszczony. Jessica połyka ostatni kawałek grillowanej soi, odchrząkuje.

– Znalazłam na strychu albumy ze starymi zdjęciami – zwraca się do dziadka i Viktora. – Ależ byliście przystojniakami. A babcia wygląda jak prawdziwa gwiazda.

– Co powiedziała? – dopytuje dziadek Viktora, który zaraz powtarza mu słowa Jessiki tuż przy uchu.

Dziadek uśmiecha się zawstydzony. Nagle wygląda jak chłopiec.

Jessica mówi szczerze. Twarz Viktora przypomina tę na starych fotografiach, jest na nich trochę łagodniejsza, ma wyraźniejsze rysy. Usta są cienkie, ale wyglądają, jakby cały czas się uśmiechały. Jego oczy, chyba najwyraźniejsza część jego twarzy, błyszczą na zdjęciach. „Gdyby były osadzone nieco dalej od siebie, wyglądałby jak rekin młot” – śmiała się kiedyś babcia. Ale Viktor był piękny w bardzo ciekawy sposób, jego twarz na zdjęciach jest otwarta, pociągająca.

Z kolei babcia przypomina swojego brata. Te same wysokie kości policzkowe, te same wąskie usta. Ma ciemne włosy i szczupłą sylwetkę. W młodości była raczej słodka niż piękna. Kiedy rysy dojrzały, zrobiły się bardziej kanciaste, coś się stało z jej oczami. Zaraz po tym, jak urodził się tata, przestała patrzeć prosto w obiektyw. Uśmiech stał się ostrożniejszy, może to tylko zmęczenie młodej matki wyjałowiło blask. Kilka lat później oczy znów zwróciły się do aparatu, ale wtedy był w nich dystans, którego Jessica nie potrafi połączyć z babcią.

Jest tylko jedno zdjęcie babci w ciąży; stoi bokiem przy białej ścianie.

Brzuch jest olbrzymi w stosunku do jej szczupłego ciała. Śmieje się z czegoś, co ktoś – Jessica wydaje się, że Viktor – do niej mówi.

No i dziadek. Wygląda jak Brando w dobrze skrojonym garniturze. Pomada utrzymuje na miejscu ciemne włosy, czarne fale lśnią. Jego sylwetka jest atletyczna, widać to wyraźnie pod porządnym ubraniem. Ma pełne usta, nigdy nie pokazuje zębów, kiedy się uśmiecha.

Niektóre zdjęcia zrobiono na przyjęciach w jakimś wytwornym mieszkaniu, jedyna twarz, którą Jessica rozpoznaje, należy do najlepszej przyjaciółki babci, Solveig. Fotografie są wspomnieniem całego życia starszaków, którego Jessica nie zna. Ich świat wydaje się idylliczny i pełen splendoru. Mnóstwo w nim życia i śmiechu.

Na kilku zdjęciach jest oczywiście tata. Na początku ma jasne loczki aniołka, ale zanim pójdzie do szkoły, włosy mu ściemniają. Prostują się, nosi krótką fryzurę. Trudno powiedzieć, którego ze swoich rodziców bardziej przypomina. Jessica zastanawia się, dlaczego tata nie miał rodzeństwa, to dość nietypowe w tamtych czasach. Czyżby to miało coś wspólnego z nieobecny spojrzeniem babci?

– Tak, Viola była prawdziwą piękną – mówi Viktor. – Fajnie, że znalazłaś te stare albumy. Nie zaglądałem do nich od lat.

– Możemy przejrzeć je razem – proponuje Jessica. – Nic nie wiem o tych wszystkich ludziach, nie wiem nawet, co wtedy robiliście.

Viktor potakuje, sięgając po papierosy. Dziadek chyba nic nie usłyszał, bo wciąż milczy.

– Jak poznałeś babcię? – Jessica odwraca się teraz do dziadka.

Jego spojrzenie jest puste.

– Co?

– Jak się poznaliście, ty i babcia? – Tym razem Jessica mówi wyraźniej i wolniej.

Rozmowy z dziadkiem to parodia dialogu. Lekka pogawędka jest niemożliwa, bo niewiele rzeczy wartych jest powtórzenia. Jessica stara się nie okazywać irytacji.

– Och, to było tak dawno, prawie nie pamiętam – odpowiada dziadek z uśmiechem.

To ten sam uśmiech co na fotografiach, choć tym razem na twarzy starego człowieka.

– No chyba coś pamiętasz? – dopytuje Jessica, wyraźnie artykułując jak w programie dla dzieci.

Zdaje jej się, że Gloria prychnęła.

– Spotkaliśmy się tak, jak ludzie spotykali się w tamtych czasach. Mieliliśmy wspólnych znajomych, odważyłem się i zacząłem za nią chodzić. Najpierw znałem Viktora.

Dziadek wyciąga papierosa z kieszonki koszuli, wygładza go, zapala. Wydmuchuje dym.

– Twoja babcia była wyjątkową kobietą – kwituje.

Na końcu zdania stawia wyraźną kropkę. Chyba nie potrafi powiedzieć więcej. Co jest ze starymi mężczyznami – myśli Jessica – że pamiętają każdy szczegół dotyczący wszystkich aut, które posiadali, ale nic o ludziach, którzy dla nich coś znaczyli? Czy aż tak zabraniano im okazywania uczuć, myślenia o nich? Nie nauczyli się żadnego języka do określania emocji? Tak, by można było zachować ich wspomnienie? Otwiera usta, żeby coś jeszcze z dziadka wyciągnąć, ale on zniknął w swoim świecie, miętosi papierosa. Gloria kaszle demonstracyjnie, kiedy dym tworzy nad stołem chmurę.

Później, kiedy już wszyscy poszli się położyć, Jessica rozciąga kabel telefonu na całą jego długość z kontaktu w kuchni do szklanych drzwi na werandę. Kuli się na kanapie i dzwoni do mamy. Mama uparła się, by nie przyjeżdżać na pogrzeb, mówi, że jest przekonana, że babcia wie, że o niej myśli. Zrobiła małą ceremonię w ogrodzie, na gałęziach śliwy powiesiła lampiony, położyła się na kocu na trawie i myślała o babci, aż usnęła.

– Przyjedź do Anglii po pogrzebie – mówi mama.

Jessica obiecuje to przemyśleć. Ale choć tęskni za mamą, podjęła już decyzję. Zostanie tu przez lato i zobaczy, co się w niej odmieni. Solbacka jest

dobrym miejscem do poszukiwania jakiejś prawdy o tym, kim chce być, dokąd zmierza.

– Wiesz, jak babcia i dziadek się poznali?

– Nie do końca. Ale możesz zapytać przecież dziadka.

– Wiesz, jacy oni są. Nie da się z nimi rozmawiać o niczym oprócz pogody, samochodów i polityki.

– Pewnie teraz jest mu wyjątkowo trudno. Billy musi czuć pustkę po całym życiu u boku Violi.

Przez chwilę w telefonie panuje cisza. Jessica jeździ dużym palcem u nogi po parkiecie. Słyszy oddech mamy po drugiej stronie Morza Północnego, może siedzi teraz i patrzy, jak światła miasta odbijają się w czarnej powierzchni Atlantyku, daleko w dole.

– We mnie też jest pusto – odzywa się Jessica.

Chciałaby, żeby mama była przy niej i ją przytuliła. Może wreszcie mogłaby się rozplakać.

– Micke przyjechał z tobą?

– Nie. Wydaje mi się, że między nami koniec.

Jessica wzdycha.

– Skończę jak Viktor – mówi.

– Jak ty się czujesz?

– Nie wiem.

Milkną.

– Boję się, że umrę sama – stwierdza Jessica.

– Zawsze się tak myśli, kiedy umiera ktoś bliski.

– Wiem.

Mogłaby opowiedzieć mamie o poronieniu. Powiedzieć, że gdyby miała dziecko, jak Petra, mama i babcia, wiedziałyby, że jej życie nie poszło na marne. Byłaby częścią łańcucha, który rozwijałby się długo po jej śmierci. Tymczasem jest tylko ślepą uliczką. Ktoś by o niej pamiętał. Teraz cała rodzina umrze przed nią.

- Przyjedź do Anglii – powtarza mama.
  - Zobaczymy. Muszę iść. Kocham cię.
- Potem się rozłącza.

Jessica przełyka zolofy wraz z kapsułką omega 3 z oleju lnianego. Terapeuta jej tak zalecił, to oraz codziennie silną dawkę witaminy B. Jessica stara się stosować do rad terapeuty, z którym chodziła na rozluźniające masaże w salonie, gdzie w poczekalni leżały najnowsze numery brytyjskich i francuskich magazynów wnętrzarskich, a przy oknie stał syczący nawilżacz powietrza. Ale skończyła w momencie, gdy terapeuta poinstruował ją, by zaczynała dzień dziesięciminutowym powolnym pełzaniem po podłodze. Podobno takie ćwiczenie pomaga współpracować półkulom mózgu. „Biodra przyciskasz mocno do podłogi” – powiedział terapeuta, a Jessica przykleiła promienny uśmiech do twarzy i obiecała spróbować.

Wychodzi na poranne słońce. Telefon w kieszeni dresu obija się o udo, gdy stawia kolejne kroki. W starych trampkach, które znalazła pod łóżkiem, czuje się przyjemnie luźno. Jessica schodzi ścieżką w stronę morza, rozciąga ręce, robi krążenie ramionami. Wybudza ciało ze sztywnego snu. Jej ręce świecą cytrynowym kremem do opalania. Jest dopiero wpół do dziesiątej, ale już robi się gorąco. Jessica zaczyna się pocić.

Po obu stronach ścieżki stoi kilka niskich sosen, potem droga wznosi się po raz ostatni, a dalej jest już tylko plaża. Zdeptana ziemia miesza się z jasnym, drobnym piaskiem. Jessica wspina się na wydnię i widzi morze. Jest jasnoblękitne, spienione fale liżą plażę w powolnym takcie. Biegnie truchtem do linii wody, wyciąga telefon z kieszeni. Dziś ma szwedzki zasięg. To chyba zależy od wiatru. Waha się przed rozmową, którą musi odbyć. Decyduje, że poczeka do końca spaceru.

Jessica skręca w lewo. Buty zanurzają się w mokrym piachu, idzie tak blisko wody, że czasami musi uskoczyć przed falą.

Ma wrażenie, że jej ciało jest silne, zdolne wiele udźwignąć. Wymachuje ramionami, zwiększa tempo. Przy kempingu jakaś dwójka białowłosych

dzieci, dziewczynka i chłopiec, bawi się na piasku. Wołają „hej”, Jessica odpowiada, jej głos jest wyjątkowo radosny.

Po półgodzinie dochodzi do ostrego zakrętu, gdzie kończy się plaża. Na kamieniach przy cyplu leżą wodorosty i martwe skorupiaki, woda zamieniła się tu w garnek parującej zgnilizny. Jessica oddycha przez usta, zawraca w stronę Solbacki. Chociaż wokół śmierdzi, jej żołądek budzi się do życia, czuje głód. Myśli o tym, że dużo łatwiej jest wychwycić sygnały organizmu, jeśli ciało nie musi dostosować się do jakiegoś schematu.

W ogóle łatwiej odbiera się wszelkie sygnały. Choćby to, czego tak naprawdę chce. Wyciąga telefon, przez ostatni kawałek plaży trzyma go w dłoni. Mija dzieciaki, które ponownie wesoło ją pozdrawiają.

Kiedy wraca do punktu, z którego zaczynają się jej ślady, wyciera z telefonu kilka ziarenek piasku i wybiera numer Mickego. Ten odbiera po pierwszym sygnale. Jessica nagle czuje, że ma sucho w ustach. Szkoda, że nie wzięła ze sobą butelki wody.

– Micke – odzywa się on z nadgorliwością w głosie.

Jessica słyszy w tle ulicę.

– To ja – mówi.

– A, cześć. Myślałem, że to agencja.

Przerwa.

– To wkurzające, że cały czas masz zastrzeżony numer.

Świetnie rozpoznaje ten szorstki głos oznaczający, że Micke czeka na wiadomość o zleceniu, które bardzo chce dostać.

– Co robisz? – pyta Jessica.

– Jem śniadanie w Rittorno. A ty? Brzmisz, jakbyś dzwoniła z Bangladeszu.

– W Bangladeszu jest pewnie dużo lepszy zasięg. Jestem na plaży. Masz czas pogadać?

– Jedziesz – odpowiada Micke.

Jessica słyszy, że jest niecierpliwy. Pewnie nie chce ryzykować, że ich



rozmowa zablokuje linię w momencie, kiedy ktoś z agencji będzie dzwonił. A przecież nie zna nikogo, kto rozmawiałby przez telefon tyle, co on. Kilka miesięcy temu lecieli do Nowego Jorku, kiedy wysiedli z samolotu, miał czterdzieści trzy nieodebrane połączenia. Jest taki sam, jaka była ona tuż przed zwolnieniem: panikuje, jeśli nie jest dostępny dosłownie w każdej sekundzie, gotowy ugasić wszystkie pożary. Czuje strach przed każdym nowym zleceniem, jakby cała jego przyszłość od tego zależała. (Co w sumie się zgadza: Micke nie jest w stanie zbudować wiary w siebie, dokładając nowe doświadczenie do wcześniejszych. Poddaje się kapryśnym ocenom innych oraz świadomości, że nigdy nie będzie lepszy niż jego ostatnia praca). Panikuje, myśląc, że wszystkim innym udało się lepiej niż jemu, nieważne, czy chodzi o pracę, mieszkanie, grę w golfa, ubrania, vipowskie karty, pieczątki w paszporcie... czy dziewczyny. Do ostatniego oczywiście nigdy by się przed nią nie przyznał, ale ona świetnie zdaje sobie sprawę z tego, jak on ocenia i porównuje nawet ją z laskami ze Stureplanu poderwanymi przez jego kolegów. Z pewnością niewiele przemawiało na jej korzyść z wyjątkiem magicznej aury osoby z telewizji.

Może nie powinnam robić tego przez telefon – myśli. – Ale kiedy mam to zrobić?

– Zostanę tu na lato – mówi.

– Jak długo?

– No, na całe lato. Zostanę tu, zaopiekuję się domem, będę podlewać kwiaty i takie tam.

– Nie wiem, kiedy będę mógł cię odwiedzić. Jest tyle roboty.

– Nie szkodzi. Myślę, że powinniśmy...

Jessica na chwilę milknie. Siada na piachu, mówi sobie, że musi tylko minąć ten moment, potem będzie po wszystkim. Spogląda na morze. Ma teraz za plecami całą Szwecję.

– Co? – Micke jest coraz bardziej zniecierpliwiony.

Wciąż możesz zmienić zdanie, szepcze w niej jakiś głos. Jessica strasznie się boi samotności. Czy wolno jej odrzucić jeszcze jedną osobę?

– Wydaje mi się, że potrzebuję samotności – mówi.

– Co masz na myśli? – pyta Micke, właśnie tak, jak podejrzewała, że to zrobi.

Co ma powiedzieć, przecież dobrze wiadomo, co ma na myśli.

– Ja...

Walczy z wystraszonym człowieczkiem, którego nosi w sobie. Tym, który się boi prawdy, który nie chce rozzłościć ani zasmucić Mickego, a na pewno nie chce go zawieść. Robi się zimna, jest przecież świetna w oddzielaniu się od swoich emocji, kiedy jest taka potrzeba, kiedy tylko jej przeszkadzają.

– To nie działa – jej głos jest zdecydowany.

– Wiem.

Trochę ją boli, gdy słyszy, że tak łatwo to pojął.

– Nie kocham cię, Micke. I wiem, że ty też mnie nie kochasz. Myślę, że ty też chciałeś ze mną zerwać, ale umarła mi babcia, a tobie wydało się, że to teraz niestosowne...

Micke nie odpowiada.

– W porządku. Ja też nie chciałabym być moim partnerem, nie teraz.

– Tak strasznie trudno cię zrozumieć.

W jego tonie wyraźnie słyhać, że się nad sobą użala i oczekuje zrozumienia.

– Wiem. – Jessica mu to ułatwia.

Ułatwia też sobie.

– Może lepiej by było, gdybyśmy się przyjaźnili – mówi Micke.

Rozmowa kończy się uprzejmie.

– Poza tym nie mogę, do diabła, konkurować z jakimś duchem.

To jedno z ostatnich zdań, które do niej mówi.

Jessica kładzie się na plecach w piachu. Chmury na niebie poruszają się tak szybko, że po chwili patrzenia na nie ma wrażenie, że to ona płynie, kręci jej się w głowie. To prawda, nikt nie może konkurować z duchem, z Jakobem, mężczyzną, który zniknął.

Chodzi po nienaturalnie cichym domu. Dziadek stoi przed wielkim lustrem w sypialni. Powoli wiąże krawat. Ma mokre oczy. Zmarszczki na twarzy wyglądają, jak gdyby pogłębiły się przez noc.

Viktor goli się w łazience. Wciąż używa starych narzędzi do golenia, ma kilka kompletów. Nie przyszłoby mu do głowy skorzystać z nowoczesnej pianki, pędzlem rozrabia porządną pianę z mydła, jest jak gęsta bita śmietana na całej twarzy. Jessica tak dobrze pamięta to z dzieciństwa: odgłos drapania, kiedy ostrze chwyta szorstkie, twarde włoski, i nowa, gładka skóra wynurzająca się spod piany. Gdy Viktor się golił, Jessica siedziała na brzegu wanny równie zafascynowana jak wtedy, gdy mama z rzadka malowała się przed wyjściem.

Tata, od dawna ubrany w ciemny garnitur, przechadza się po ogrodzie, jakby robił inspekcję w warzywniaku. Jessica spogląda na niego przez okienko w kuchni, nalewając wrzątek do kubka z kawą rozpuszczalną. Zastanawia się, jak on się czuje, tuż przed pogrzebem własnej mamy. Sprawia wrażenie, że przeklina, mruczy z irytacją, ale Jessica nie potrafi czytać z jego ust.

Jest w nim jednak coś poruszającego. Coś, co przypomina miłość, uczucie, które mogłoby między nimi istnieć.

Gloria poci się w czarnej spódnicy do połowy łydki i czarnym kaszmirowym swetrze z cekinami, który według Jessiki jest zbyt odświętny na tę okazję. Gloria siedzi przy stole, gapi się bezwiednie, po czym nagle odzywa się:

– Nie rozumiem, jak możesz dobrowolnie mieszkać na Södermalmie, skoro stać cię na lepsze miejsce. Pamiętam, jak Lilly tam mieszkała, wprowadzie przy Mosebacke, ale...

Jessica nie chce dać się sprowokować, nie dzisiaj. Przeciąga wałeczkiem

do ubrań po taniej czarnej sukience, którą kupiła w pierwszym lepszym butik w Simrishamn.

– To już nie Sztokholm z książek Pera Andersa Fogelströma – odpowiada szybko.

– Ale Östermalm jest takie przyjemne! Lilly tak dobrze się tam czuje!

Gloria rzadko omija okazję, by wspomnieć swoją siostrzenicę Lilly, najwyraźniej jest bardzo zadowolona, że także w jej rodzinie jest jedna gwiazda telewizyjna. Jessica świetnie wie, kim jest Lilly, a także co skrywa za wszystkim znaną fasadą. Mogłaby powiedzieć to i owo na jej temat. Ale udaje jej się trzymać język za zębami. Nie da się sprowokować, nie będzie snobistyczna i małostkowa jak Gloria, tylko po to, żeby komuś pokazać, gdzie jego miejsce. Nie dzisiaj.

Poza tym przypomina sobie, że niebawem tata i Gloria wyjadą. Potem nie będzie musiała ich oglądać aż do następnego pogrzebu.

*Nie lękaj się. Istnieje taki sekret.*

*Imię, które cię chroni wszędzie tam, gdzie idziesz.*

*Twoja samotność, otwarta na światło.*

*Nie lękaj się, gdy ślady na drodze widzisz.*

Jessica siedzi ściśnięta między dziadkiem a Viktorem w pierwszej ławce przed ołtarzem. Śpiewa psalm, najlepiej jak potrafi. Głos Viktora jest zadziwiająco mocny i jasny, pewnie się wznosi w pięknej melodii. Dziadek raczej pomrukuje.

Kościół porusza ją bardziej, niż się spodziewała. Jest coś w zapachu starych kościołów, coś niezdefiniowanego. Coś, co pozwala człowiekowi zapomnieć o samokontroli. Tyle osób siedziało tu przez stulecia, śpiewali i rozmawiali z Bogiem, w którego Jessica tak bardzo chciałaby wierzyć.

A może to nie zapach – myśli. – Może to te wszystkie modlitwy, które pozostawiły po sobie ślad w kamiennych murach. *Te mury są wymodlone.*

Trumna, którą babcia sama wybrała, to najprostszy model z białego drewna. Ozdobiono ją kwiatami z ogrodu: rumiankami, chabrami i groszkiem pachnącym. (Dziadek wolałby wazon z ciężkimi czerwonymi różami, ale jego propozycję przegłosowała reszta rodziny, z Glorią włącznie. Subtelny, pachnący wiosną bukiet daje więcej nadziei. Poza tym, powiedział Viktor, nikt nie potrafiłby już siedzieć na tarasie, nie myśląc jednocześnie o pogrzebie). Psalmi są dobrane tak, by dać gościom pocieszenie w ich własnych, nieuniknionych myślach o śmierci, z obietnicą o „radości za grobem i przyszłości pełnej pieśni” i o tym, że „się obudzi szeptami i krzykiem...”.

Psalm w końcu rozsypuje struny głosowe Jessiki. Wreszcie, wreszcie

wypływają łzy. Gdy czuje je na policzkach, są czystą, fizyczną ulgą. Wszystko inne znika. Wszystkie analizy i myśli. Zostaje tylko uczucie.

*Odchodzisz. Kiedyś noc biała się stanie,  
Kiedyś gwiazdy zabłyszczą w ramionach jego.  
Nie lękaj się. Idziesz do portu mrocznego.  
Nie widzisz go, ale tam zostaniesz.*

Pod koniec psalmu głosy cichną, jeden po drugim. Jessica wie, że babcia tu jest. Wyraźnie czuje jej obecność. Nie w trumnie, ale obok wszystkich siedzących w ławkach.

Jessica wcisnęła się w kąt. Spogląda na grupę ludzi ubranych na czarno, chodzą i pozdrawiają się nawzajem, wymieniają uprzejmości.

Od czasu do czasu ktoś podchodzi do Jessiki, wyciąga drżącą dłoń, a ona gorączkowo się uśmiecha, starając się sobie przypomnieć, czy już się spotkali. W kostiumie starości wszyscy wyglądają myląco podobnie. („Starość jest wielką siłą wyrównującą” – powiedziała babcia z uśmiechem, kiedy Jessica, może siedmioletnia, zdziwiła się, jak pięknie wygląda babcia na ślubnym zdjęciu).

Ale nie da się przegapić Solveig, zbliża się teraz do niej. Najlepsza przyjaciółka babci obroniła się przed starością zębami, pazurami i zabiegami chirurgicznymi. Trudno wyczytać emocje z jej twarzy, dlatego to, że wyraża je głośno, ułatwia sytuację: „Tak się cieszę, że cię widzę, kochanie!”. Skóra na jej nienaturalnie gładkiej twarzy jest tak cienka, że w każdej chwili może pęknąć, jest naciągnięta jak błona bębena na jej okrągłej buzi, a potem wytarta, potraktowana tlenem i wysmarowana. Wszystko na Solveig jest okrągłe: oczy, które po ostatnim naciągnięciu czoła mają wyraz wiecznie zdziwionych, ciało, kołyszący się biust, niewielkie usta, często wpółotwarte, wzmacniają wrażenie zdziwienia. Zęby błyszczą bielą, pasują do prostego naszyjnika z pereł na jej pulchnej szyi.

Obejmuje Jessicę, zamyka ją w mocnym uścisku wokół bioder, tworzy

niski, masywny mur ze starego mięsa i ciężkich perfum.

– Moja kochana! – wykrzykuje.

Jessica odwzajemnia uścisk, dziwi się własnej wdzięczności za ten ciepły, cielesny kontakt.

Ani dziadek, ani Viktor nie są szczególnie czuli. Najwyżej dają się przytulić albo głaszczą ją w przelocie po policzku, gdy nadchodzi pora spania. Jej tata prawdopodobnie nie ma odwagi zbliżyć się do niej po wszystkich tych razach, kiedy unikała jego uścisku. Skąd miałyby wiedzieć, że właśnie w tym tygodniu z radością przytuliłaby się do niego?

Natomiast Solveig jest tym typem człowieka, który nawet się nie zastanawia, czy włązi z buciorami w czyjąś prywatną sferę.

– Wiesz, cały czas śni mi się Viola. Gdy tylko dzwoni telefon, mam wrażenie, że to ona. To najgorsze, co mi się przydarzyło od śmierci męża. W jakimś sensie to nawet gorsze, bo kiedy on odszedł, wiedziałam, że wciąż mam Violę. Teraz nie mam nikogo. Radziłabym ci nigdy się nie starzeć, ta jedyna droga jest taka deprymująca.

Solveig popłakuje, wyciera kąciaki oczu chusteczką. Jej rzadkie rzęsy są jak pajęczne nóżki.

– Masz przecież Gunnara – odzywa się Jessica, a Solveig wywraca oczami w bardzo dramatyczny sposób.

– Gunnara? Właśnie, chciałabym go mieć. Był za leniwy, żeby przyjechać tu dzisiaj. Wszystko zrzuca na pracę, ale wyobrażam sobie, że chodzi o jakiś nowy dramat w związku z tą cholerną Blendą... A jak tam jej siostra czarownica?

Ostatnie zdanie wypowiada z dyskretnym skinieniem w stronę Glorii. Jessica wybucha śmiechem. Z jednej strony ma wielką ochotę obsmarować Głorię przed kimś, kto to naprawdę zrozumie (trudno na przykład opowiadać o Glorii Petrze, bo ta nigdy jej nie spotkała), ale z drugiej strony nie chce zbezczęścić pogrzebu babci.

– Słyszałam, jak mówi do taty, że powinien poprosić maklera o wycenę Solbacki – mówi.

Zdarzyło się to któreś nocy, gdy leżała w wannie. Akustyka w piwnicy jest potworna. Jeden szept potrafi przeniknąć przez niektóre ściany, słyszy się słowa, jakby ktoś szeptał prosto do ucha.

– Żartujesz? – upewnia się Solveig. – Chociaż wcale mnie to nie dziwi. Takie sępy nie tracą czasu. Ale nie martw się jeszcze, dziadki na to nie pozwolą. Gorzej będzie potem, kiedy twój ojciec wszystko odziedziczy.

– Czułam ją w kościele. – Jessica zmienia temat.

– Kogo czułaś? Ja rozpoznałam niewiele osób. Czasem mam wrażenie, że te stare rodzynki przychodzą tu tylko na darmową kawę...

– Nie, czułam jej obecność. Babci. Czułam, że jest wśród nas.

Solveig wstrzymuje oddech, gwałtownie potakuje.

– Ja też. Podczas ostatniego psalmu.

Jessica szybko utwierdza się w tym, że jej odczucie nie było fałszywe, to takie proste. Pod powiekami znów palą ją łzy. Opuszcza wzrok.

– Wiesz, dostałam od twojej babci zadanie – mówi Solveig. – Jak długo masz tu zamiar zostać?

– Zostanę na całe lato. Zaopiekuję się domem, gdy dziadek i Viktor pojedą do Marbelli.

– O, to świetnie. Wpadnij do mnie któregoś dnia w najbliższym tygodniu, dam ci coś po twojej babci.

Jessica przytakuje.

– To ważne – zaznacza Solveig.

Jessica ponownie kiwa głową. Oczywiście pójdzie.



Dziwne uczucie, odwrócone. Stoi w ogrodzie i żegna się z dziadkiem i Viktorem, ale to oni wyjeżdżają, ona zostaje.

– Jesteś pewna, że chcesz tu zostać zupełnie sama? – pyta dziadek.

– Oczywiście.

– Jeślibyś zmieniła zdanie, po prostu zadzwoń do Solveig. Chętnie będzie podlewać ogród.

– Dziękuję, ale nie sędzę, żeby była taka potrzeba – mówi, a potem dodaje lekkim tonem: – To raczej wy macie jakieś wątpliwości. No już, w drogę.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł, żeby wyjeżdżać stąd tak zaraz po pogrzebie – odzywa się Viktor.

Spogląda w niebo.

– Potrzebny jest wam ten wyjazd – mówi Jessica. – Nic to nikomu nie pomoże, jeśli będziecie tylko zadeptywać smutki.

Boi się, że dziadki zmienią zdanie w ostatniej chwili. Nastawiła się na to, że będzie sama, że na jakiś czas ukryje się przed światem.

– Babcia na pewno by chciała, żebyście wyjechali – mówi.

Przekonała ich. Dziadek obejmuje ją tak, jak nie robił od czasu jej dzieciństwa, mocno ją przytula.

– Dzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Czegokolwiek – szepcze jej do ucha.

Potakuje w odpowiedzi. Policzek dziadka przyciska się do jej policzka. Nie chce się znów rozpłakać.

– Uważaj na siebie, najdroższa – mówi Viktor.

– Jedźcie ostrożnie.

I nie jest to tylko pozdrowienie. Nie zniosłaby, gdyby także ich teraz

straciła. *Niewiele lat im zostało, niezależnie od tego, jak ostrożnie będą jechać.* Jessica odrzuca tę myśl, przytulając Viktora.

Odprowadza ich do samochodu. Już się spakowali, ma wrażenie, że odczuwa szybką, cichą walkę sił, kto jako pierwszy ma sięść za kierownicą. Wygrywa Viktor. Nie bardzo wie, dlaczego ją to dziwi.

Idzie za autem dookoła domu, macha im, dopóki nie znikną z pola widzenia. Potem odwraca się w stronę Solbacki. Biały słoń wydaje jej się większy niż wcześniej, teraz, kiedy przez lato będzie należał tylko do niej.

W nocy śni jej się sylwetka, którą rozpoznaje w tłumie ludzi na lotnisku. Mężczyzna odwraca się. Tym razem nie ma wysuniętej zuchwy, ale dostrzega ostre linie, które tak dobrze zna. Specyficznie nachylony kącik oka, charakterystyczne jabłko Adama z profilu, widzi go wyraźnie mimo odległości. Jednak Jakob jej nie zauważa. Chce podbiec, dostać się do niego, ale na jej drodze stają obce ciała. Rozpycha się łokciami, brutalnie odtrąca kogoś na bok, jednak Jakob odwraca się i idzie w drugą stronę. Ona nie może ruszyć z miejsca.

Kiedy wstaje, wciąż jest noc. Biały słoń wzdycha, pstryka, skrzypi jak zwierzę chore na reumatyzm, podczas gdy Jessica czeka na świt. Wiatr potrząsa oknami. Powraca do niej lęk przed ciemnością. Teraz, kiedy w całym domu jest tylko ona, ma wrażenie, że pokoje wypełnia coś obcego, znów czuje, jakby ktoś ją obserwował, ktoś, kto stoi tuż poza polem jej widzenia.

*A jeśli się odwrócę i tam naprawdę ktoś będzie stał, czekał na mnie?*

Tylko dzięki włączonemu telewizorowi, zapalonym światłom i dodatkowemu ataraksowi udaje jej się trzymać lęk na dystans.

Nad ranem postanawia, że jeszcze dziś odwiedzi Solveig, upewni się, że ta będzie w pobliżu przez całe lato. Na wszelki wypadek.

Jessica próbuje naśmiewać się z siebie samej. Co taka Solveig miałaby niby zrobić, gdy duchy zaczną wychodzić z telewizora? Albo do drzwi zapuka szalony morderca z siekierą?

Tak naprawdę wcale w takie rzeczy nie wierzy. Przynajmniej nie w świetle dnia. Ale nocą łatwo uwierzyć w cokolwiek. Lęk jest wtedy odczuwalny, zagęszczony, zaczyna się myśleć, że może się ucieleśnić. Że Jessica przyciąga do siebie to, czego najbardziej się boi, rekiny wyczuwające zapach krwi w wodzie na odległość kilometrów. Świadomość, że Solveig – w ogóle ktoś! – znajduje się w niewielkim domu kilka kilometrów na zachód, bardzo jej pomaga. Znajdzie tam schronienie, jeśli samotność okaże się zbyt straszna. Uspokajająco porozmawia przez telefon pod pretekstem jakiejś innej sprawy.

– To mi pomoże, dobrze, że mogę rzucić wyzwanie moim lękom – powtarza sobie na głos Jessica w drodze do Solveig.

*Poza tym to tylko tydzień. Potem przyjedzie Petra.*

Dom Solveig pachnie minionym czasem i świetnością dawnych dni. To zapach starego człowieka, tego nie potrafi ukryć żaden chirurg plastyczny: stojące w miejscu powietrze, stare meble, tłuszcz po smażeniu, potpourri, lawendowe mydło. Na telewizorze dziergana serwetka. Landrynki, które leżą w szklanym naczyniu od tak dawna, że sklepiły się w jedną cukrową masę.

Ale włosy Solveig są jak zawsze świetnie ułożone, turkusowa garsonka czysta i wyprasowana. Paznokcie pomalowane na perłowy róż. Częstuje kawą w cieniutkiej jak listek porcelanie, podaje fińskie herbatniki z puszki, którą ozdabia meksykański gitarzysta.

– Twoja babcia i ja miałyśmy skomplikowaną relację – zaczyna Solveig.

Jessica tylko przytakuje, nie jest pewna, czy powinna pokazać, że świetnie o tym wie.

– Ale chyba wolno mi powiedzieć, że się kochałyśmy – mówi dalej Solveig.

Jessica znów przytakuje, nie do końca rozumie, dlaczego poczuła zażenowanie. Może z tego powodu, że nie ma pewności, czy babcia kochała Solveig. Czasami babcia wzdychała cicho, gdy nie dało się zakończyć rozmowy telefonicznej z przyjaciółką. Babcia i Jessica wymyśliły sposób: gdy babcia wskazywała kciuk do góry, Jessica wymykała się na schody,

a potem dzwoniła do drzwi. „Oj, ktoś idzie z wizytą” – mawiała babcia i szybko kończyła rozmowę. Po czym mrugała konspiracyjnie do Jessiki, swojej współpracownicy i współwinowajczyni.

– Wydaje mi się, że nikt nie znał Violi tak jak ja – opowiada Solveig, klepiąc Jessicę w kolano, jakby prosiła o wybaczenie na wypadek, gdyby ta uznała to za zniewagę.

Ale dla Jessiki to żadna zniewaga.

– Twoja babcia miała wiele tajemnic. Nie była osobą, która dzieliłaby się najbardziej skrytymi myślami. Była... była oszczędna, jeśli chodzi o zwierzenia. Wszystko chciała zachować dla siebie. Teraz wydaje mi się, że miała w tym absolutną rację. Sam Bóg wie, że ktoś inny był zbyt wylewny przez te wszystkie lata. Ileż ja gadałam o sobie i moich sprawach...

Solveig wygląda przez okno, siateczka drobnych żyłek wyraźnie przebija się przez skórę wokół oczu.

– ...w końcu człowiek nie zostawia niczego dla siebie – kończy.

– Co chciałaś mi pokazać? – pyta Jessica po chwili odpowiednio dłużej, by wyrazić szacunek.

Boi się, że Solveig zaraz rozpocznie jeden ze swoich przydługich monologów. Nie da się ich zatrzymać. Jessica słyszała je wiele razy. Kiedy była mała, nie znosiła odwiedzin Solveig, która kradła jej i babci nieskończone godziny.

Solveig nachyla się nad stołem.

– Viola zdecydowała w końcu, że istnieją sprawy, których nie chce zabierać ze sobą do grobu. Zapisała wszystko, czego chciała się pozbyć, żeby móc iść dalej.

Solveig podnosi się z pewnym wysiłkiem. Podchodzi do starego kredensu z ciemnego dębu, przekręca kluczyk w jednej z szuflad.

– Zaopiekowałam się tym notesem. Napisała go dla ciebie. – Solveig odwraca się.

Podaje Jessice notes, który kolorystycznie pasuje do garsonki tak idealnie, że trudno uznać to za przypadek, Jessica przejmuje go ostrożnie i z takim

namaszczeniem, jakby to był noworodek. Albo pudełko nitrogliceryny.

*tajemnice babci tylko dla mnie*

Notes oprawiony w turkusowy sztuczny jedwab z wyhaftowanym chińskim wzorem nie wygląda na coś, co babcia sama by wybrała. Z pewnością to Solveig go kupiła, gdy babcia była już za słaba.

– Wiesz, co tam jest napisane? – pyta Jessica, gładząc miękką okładkę.

Podejrzewa, że Solveig musiała zajrzeć do środka, bo tak po prawdzie, jak można by się temu oprzeć?

– Nie wszystko. Ale wiem, o czym chciała opowiedzieć.

W oczach Solveig pojawia się nagle jakiś smutek, niczym struga zimnej wody w rozgrzanym jezioru.

– Spróbuj to przeczytać z otwartym umysłem – mówi.

– Jak to?

– Sprawy nie zawsze mają się tak, jak większość ludzi je odbiera. Niektóre tajemnice pozostały tajemnicami, bo... kiedyś trzeba je było ukrywać, a gdy już można je ujawnić, nie wiadomo, jak się do tego zabrać. Zbyt wiele osób jest w to wmieszanych.

Solveig milknie. Siada na brzegu kanapy i wygładza spódnice, potem mówi dalej:

– Twoja babcia obawiała się, że ten notes może przynieść więcej szkody niż pożytku. Kiedy wreszcie podjęła decyzję, nie była ona nieprzemyślana, mogę cię zapewnić.

– Nie bierz mi tego za złe, ale muszę spytać, dlaczego babcia chciała, żebyś ty przechowała ten notes. Czy nie łatwiej byłoby go po prostu zostawić w domu w Solbacce?

Solveig uśmiecha się ostrożnie. Jest teraz zupełnie inną kobietą niż ta barwna osobowość, która zabierała całe powietrze z publicznej przestrzeni.

– U mnie był bezpieczny.

– Ale...

– Są tacy, którzy nie widzą powodu do wyciągania starych śmieci na

światło dzienne. Oczywiście dla wszystkich byłoby dużo prościej, gdyby zostało po staremu. Zamiecione pod dywan. Przykryte.

– „Wszystkich” ... Chodzi ci o Viktora i dziadka? Czy też o tatę?

– Przeczytaj pamiętnik, kochanie. Nie ma sensu, żebym ci cokolwiek opowiadała. To babcia chce ci wszystko opowiedzieć.

Jessica przeklina słabą widoczność. Wielkie krople deszczu stukają o szybę. Świat na zewnątrz jest jedną szarą ścianą. Już rano zaczęło kropić. Podczas porannego spaceru miała wrażenie, jakby ktoś biegł przed nią i wyciskał jej przed nosem pianę w spreju, było tak mgliście. Teraz niebo zaczyna się otwierać.

Jessica skręca do Solbacki, droga jest śliska i błotnista. Wycieraczki pracują gorączkowo, ale to nic nie daje. Wjeżdża na podwórze, wyciąga kluczyk, opiera się o zagłówek i rozmasowuje napięte mięśnie karku. Deszcz coraz mocniej stuka o przednią szybę, łomocze o dach. Musi chwilę poczekać, zanim wysiądzie.

Na miejscu pasażera, w reklamówce z ICA z Borrby leży notes, który dostała od Solveig. Jessica nie może dłużej wytrzymać. Wyciąga go, otwiera, przekartkowie kciukiem miękkie strony. Strony są wypełnione schludnym pismem babci, żadnych skreśleń, żadnych oznak zmęczonych rąk.

„Droga wnuczko” – brzmią pierwsze słowa na pierwszej stronie. „Droga wnuczko” – to o niej.

II

Jessica i Viola

Droga wnuczko. Jak zacząć opowiadanie Ci prawdy, skoro przez tyle lat ukrywało się tajemnice? Mówią, że należy zacząć od początku. Ale życie ma tę właściwość, że nie jest szczególnie uporządkowane. Żadne skrzypce nie grają w tle i nie ogłaszają otwarcia nowego aktu. Minęło prawie sześćdziesiąt lat, od kiedy siedziałam z Viktorem przy stole w mieszkaniu naszych rodziców, byliśmy otoczeni rodziną i obcymi. Sześćdziesiąt lat, od kiedy zgodziliśmy się na ich warunek: że resztę życia spędzimy w kłamstwie. Zaczęliśmy budować mur, który miał zasłonić wstyd naszej rodziny – że obraziliśmy to wspaniałe nazwisko, na które matka i ojciec tak bardzo pracowali.

Ale czy historia rzeczywiście tam się zaczyna? Czy potrafisz zrozumieć to, co się wydarzyło, nie znając naszego świata, ciasnego i dusznego? Dlaczego tak łatwo przyszło im przekonanie nas, że to kłamstwo jest jedynym wyjściem? Czasy doprawdy się zmieniły przez te sześćdziesiąt lat. Od starych pań, takich jak ja, oczekuje się, że uznamy, że kiedyś było lepiej. Nie rozumiem tego. Czyżbyśmy miały aż tak słabą pamięć? A może stan świata miałby się nam mylić ze stanem naszych własnych ciał?

Niełatwo mi zdecydować, od którego miejsca mam zacząć. Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że jak już przyłożę pióro do kartki, samo się będzie pisać. Że wejście do labiryntu ujawni się w jakiś magiczny sposób. Hokus-pokus. Sezamie, otwórz się. Jak widzisz, jest inaczej.

A może po prostu zwlekam, ponieważ wciąż nie jestem pewna, czy powinnam opowiedzieć prawdę. Jednak nie mogę chodzić w nieskończoność jak ten pies koło jeża. Nie mam przecież aż tak dużo czasu.

Może powinnam się przyznać, że piszę to dla Ciebie – mam wrażenie, że Twój tata nie chce znać prawdy. Z pewnością domyślał się jej, ale nigdy nie pytał, ignorował wszystkie moje próby zwierzenia się mu. Może byłam zbyt



dyskretna w tych próbach, chociaż wątpię. Zrobisz oczywiście, jak zechcesz, po przeczytaniu całości, ale na razie ta opowieść jest tylko między mną a Tobą.

Więcej napiszę jutro.

Jessico, dziś w nocy uświadomiłam sobie, że rozpoczęcie jest tak trudne po części dlatego, że myślę o zapisaniu tej historii jak o tworzeniu autobiografii, co sprawia, że cały ten projekt przerasta mnie i jest czymś w rodzaju zarozumiałości. Spróbuję to zrobić w formie serii listów. Pierwsze zdanie „Droga wnuczko” być może już to zasygnalizowało.

A więc piszę ten list w łóżku. Viktor podciągnął mnie do pozycji siedzącej i oparł na poduszkach, żebym mogła widzieć ogród. Bardzo chciałabym wyjść, ale pocieszam się, że pewnie nie jest tak ciepło, jak się wydaje. Wprawdzie słońce przepuszcza promienie przez nasze brudne szyby, ale dziadki wciąż wychodzą w puchowych kurtkach. W porannej gazecie nie pojawiły się jeszcze skorki. Nie wiem, co te nieprzyjemne robaczki robią w skrzynce na listy, ale już lata temu stały się dla nas pierwszą oznaką wiosny.

Ogromna przestrzeń dzieli mnie od zimy pod koniec 1949 roku, kiedy miałam osiemnaście lat (w końcu zdecydowałam, że to będzie najlepszy początek historii). A jednak wydaje się, że to całkiem blisko.

Była to jedna z tych zim, z jakich poranki pamięta się bardzo wyraźnie. Zimowe słońce iskrzyło się na lodach zatoki Nybroviken, a tramwaje sunęły po bulwarze Strandvägen niczym ogromne sanie.

Viktor, nasz starszy brat Henrik i ja dorastaliśmy z matką i ojcem w domu przy Riddargatan, wówczas bardzo słynnej. Miało minąć jeszcze dwanaście lat, zanim budynek zostanie zniszczony, by zrobić miejsce wejściu do metra, ale tej zimy oczywiście jeszcze nie mieliśmy o tym pojęcia. W tamtym czasie ciemny apartament był jedynym domem, który znaliśmy, nigdy nie przypuszczaliśmy, że jego egzystencja zostanie zakwestionowana.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że należymy do świata, który pomалу odchodzi, tak samo jak siostry w mieszkaniu obok. Siostry już wtedy

w oczach moich i Viktora zdawały się staromodne, były wożone na tylnym siedzeniu ostentacyjnego chevroleta, prowadził go szofer, który wieczorami zamieniał się w służącego od serwowania sherry. Nasza matka parskiała pogardliwie, widząc nasz zachwyt nad siostrami. Mimo że w rzeczywistości nie mieliśmy specjalnie dużo pieniędzy, posiadaliśmy coś bezcennego, czego siostry w swym amerykańskim aucie nie mogły nam odebrać: nazwisko z ustalonym miejscem na arystokratycznej liście, drzewo genealogiczne, którego dobrze udokumentowane korzenie prowadziły do tej samej gleby, z jakiej wyrosły królewskie osobistości.

Wiedzieliśmy, że przewyższamy innych, choć nigdy nie przyszłoby nam do głowy mówić o tym głośno, nawet między sobą. Matka i ojciec używali tej wiedzy do ocierania łez, była to ich laseczka do podpierania zwichniętej godności w czasach, kiedy nasza sytuacja ekonomiczna ostatecznie się załamała. To wtedy ojciec coraz częściej zaczął sugerować, że powinniśmy zwolnić kogoś ze służby, co zawsze przyprawiało matkę o nieznośny ból głowy. Reszta rodziny chodziła dosłownie na palcach, niezależnie od tego, w której części apartamentu się znajdowaliśmy, żeby nie przeszkadzać matce leżącej w zaciemnionym pokoju, każdy najmniejszy dźwięk mógł rozsadzić jej bębenki. W ciemnościach zapadała w swego rodzaju półsen, który potrafił trwać do dwóch tygodni.

Oddałam nieco skrzywiony obraz matki. Miała problemy z nerwami, ale ze względu na to, co przeszła, i tak była silniejsza, niż większość ludzi potrafi sobie wyobrazić. Wiesz, nasza matka była, według wszelkich świadectw, szczęśliwą, piękną i otwartą kobietą, dopóki w wieku dwudziestu pięciu lat nie urodziła Viktora. Był jej trzecim dzieckiem, ostatnim. Kilka miesięcy po porodzie zaczęła silnie krwawić, po niezliczonych wizytach u paru lekarzy odkryto u niej raka, który rozprzestrzenił się po całej macicy. Poszła do szpitala na operację, wycięto jej macicę, jajniki i wprowadzono pręciki radioaktywne, by wyniszczyć resztki choroby. Ani ja, ani Viktor nie pamiętamy tego okresu. Henrik był jedynym dzieckiem, które ją odwiedzało, opowiadał później, że w sali, gdzie matka leżała pośród innych chorych kobiet, czuć było spaloną mięsem. Matka przebywała w tej sali ponad rok.

Kiedy wróciła do domu, jej brzuch był spuchnięty, przechodziła zbyt wczesne klimakterium. W owym czasie nie było estrogenu w tabletkach, więc cierpiała na gwałtowne drgawki i ataki paniki.

Przez kolejne siedemnaście lat matka wracała na radioterapię, początkowo raz na pół roku, potem raz na rok. Przed każdą wizytą jej oczy stawały się zimne i martwe jak wysłużone monety. Po tych siedemnastu latach, kiedy wreszcie uznano ją za zdrową, była bardzo starą czterdziestodwuletnią kobietą. Zmarszczki na jej twarzy tworzyły drobną siatkę, a szkielet zaczął się odwapniać. To tej zimy poznałam Twojego dziadka. Ale nie chcę wybiegać naprzód. Zanim opowiem o dziadku i wszystkim, co zdarzyło się potem, powinnaś mieć jasny obraz sytuacji.

Tak więc to była moja matka. Rozkwitała w sytuacjach towarzyskich, ale wędła, gdy gasły świece, znikał blask wypolerowanego srebra i spojrzeń gości. Nie mówię tego, żeby ją oskarżyć. Popatrzyła śmierci w oczy, więc odtąd chciała się cieszyć pełnią życia. Już i tak zniosła zbyt wiele, nie pomagały nawet nasze desperackie zapewnienia o miłości do niej, od których niecierpliwie się opędzała. Sądzę, że przypominaliśmy jej o wszystkim, co straciła. Najsilniej dotyczyło to Viktora, dziecka, które wpędziło ją w tę potworną chorobę, dlatego nigdy nie potrafiła być dla niego czuła.

Obok był ojciec, pełen zgrzyoty wobec przemiany swojej żony. Był egoistą, jego wychowanie nie pozwalało na inną reakcję, nie miał też krzty zrozumienia dla kobiecego ciała i niewidzialnych śladów choroby, które matka za sobą ciągnęła. Muszę przyznać, że prawie go nie pamiętam. Jest tylko sylwetką, zamazanym obrazem kogoś, kto zawsze się odwraca tyłem i z tęsknotą spogląda w stronę wyjścia. Całkiem zrozumiałe jest, że matka nie wytrzymywała ponurej atmosfery apartamentu na Riddargatan, dlatego z wdzięcznością przyjmowała każde zaproszenie w gości.

Byliśmy też ja i Viktor. Henrik, który umarł na długo, zanim się urodziłaś, był ulubieńcem ojca, jako pierworodny był tym, który przekazuje nasze nazwisko dalej. Tej zimy, ostatniej zimy lat czterdziestych, właśnie się ożenił i wyprowadził z domu, więc apartament pograżył się w jeszcze głębszej ciszy. Viktor, wówczas siedemnastolatek, wciąż balował na mieście. Rodzice

byli w gościach albo wcześniej odchodzili do swoich pokoi, a ja coraz częściej jadałam kolację sama w kuchni, z książką rozłożoną przy talerzu.

Nigdy nie trzymałam żadnego chłopca za rękę, tym bardziej nigdy nie byłam całowana. Pochylona nad powieściami (miałam okropną sylwetkę, która tylko się pogarszała za sprawą godzin spędzanych na stołku w kuchni) wyobrażałam sobie własną przyszłość – był tam duży dom w jakimś wiejskim otoczeniu i przystojny mężczyzna wzbudzający zazdrość przyjaciółek. Kiedy któregoś dnia opowiedziałam o tym Solveig, zaśmiała się i wykrzyknęła, że moje marzenie przecież się spełniło. Pewnie powinnam była marzyć bardziej konkretnie.

Moja wiedza na temat mężczyzn i małżeństwa była co najmniej wybrakowana. Rodzice przyczynili się tylko do tego, że wiedziałam – nie chcę małżeństwa takiego jak ich: martwej, bezuczuciowej umowy między dwojgiem ludzi, którzy ledwo wytrzymywali obecność drugiej osoby. Z braku prawdziwych wzorców opierałam moje marzenia na powieściach i filmach, które widziałam w kinach przy Kungsgatan i Stureplan.

Mężczyźni byli silni, milczący i w każdej chwili gotowi schwytać mdlejącą kobietę w objęcia. Gdy zaczynała trzepotać rzęsami, a potem powoli otwierała oczy, ich usta wreszcie się spotykały, przesadnie zaciśnięte wargi przywierały do siebie tak mocno, że musiały ich od tego boleć zęby. Muzyka unosila się w *crescendo*, obraz powoli wygasał.

Takie było moje wyobrażenie o miłości, kiedy spotkałam Twojego dziadka.

Dopiero po zamknięciu notesu Jessica zauważa, że stukanie deszczu o dach samochodu ustało. Zaspana wygląda przez przednią szybę. Słońce zaraz wyjrzy zza chmur. Mokra trawa połyskuje.

Jest głodna. Uderza dłonią w notes, jeden palec  
*nie musisz czytać, jeśli nie chcesz*

prowadzi po złotym hafcie na okładce.

*może nie chcesz wiedzieć*

Wciąż przesypia połowę doby. Mówią, że nie da się odespać tego, co stracone, ale worki pod oczami powoli znikają. Każdy dzień zaczyna od filiżanki mocnej kawy i spaceru wzdłuż plaży. W drodze powrotnej zachodzi na kemping w Borrby i kupuje „Dagens Nyheter” i popołudniówkę, ze skrzynki na listy wyciąga „Sydsvenskan”, starannie otrzepując gazetę ze skorków. Usiadłszy do obiadu na tarasie, otwiera książkę, ale po jedzeniu uświadamia sobie, że nie przeczytała nawet linijki. Wieczorami odpoczywa na kanapie, ogląda telewizję, nie włączając dźwięku, milczące usta chóru otwierają się i zamykają w równym takcie. Czuje, że zaczęła lądować, osadzać się we własnym życiu.

Babcia napisała o korzeniach rodziny. Jessica nigdy nie myślała o sobie w ten sposób. „Korzenie” kojarzą się jej z migracjami przez kontynenty. Uznawała siebie raczej za kogoś, kogo najlżejszy wiatr może przenieść to tu, to tam.

Po raz pierwszy zmniejsza dawkę zoloftu, teraz bierze jedną zamiast półtorej tabletki. Zaskakująco dobrze jej z tym. Jeśli nie myśli o tym zbyt często – a mogłoby to wywołać kolejną panikę – właściwie nie zauważa różnicy. Czasami, gdy wstaje zbyt szybko, kręci się jej w głowie, czasami mrowienie w mózgu i klucie w palcach powracają, ale jest w stanie to

wytrzymać, bo wie, skąd się biorą i że to tylko faza przejściowa. Czerpie z tego nawet pewną przyjemność. To jak ból mięśni po treningu. Nie jest przyjemny, ale sprawia, że czuje się silna. Zawsze planowała, że zmniejszy dawkę latem, kiedy słońce może zastąpić syntetyczną serotoninę.

A słońce świeci nadzwyczaj mocno przez cały tydzień. To takie lato, kiedy wręcz prosi się o choć jeden deszczowy dzień. Prosi się o pretekst, by zostać w domu, pooglądać telewizję, ponudzić się, rozpalić w kominku.

Większość dni spędza na plaży, czasem jedzie do sklepików ze starociami albo do antykwariatu. Je samotnie kolację w zajeździe Fridens, wśród jabłoni, gdzie mężczyzna przypominający tatę Pippi Pończoszanki wypieka słynne pizze. Postanawia tu przenocować, by po kolacji móc wypić calvadosa. Jedzie na kawę do szklarni w ogrodach Mandelmanna, kupuje jajka i szparagi w gospodarstwach wokół Solbacki. Któregoś dnia trafia do hostelu Sjöbacka, gdzie działa jej przenośny internet. W bibliotece pisze tekst do gazety, zjada kanapkę, odpoczywa w słońcu w ogrodzie.

Od tygodnia, od tamtego pierwszego razu, nie otworzyła notesu od babci. Wciąż ma wybór. Ciągłe może wierzyć, że ta opowieść niewiele wnosi, stoi za nią tylko lęk starej kobiety przed jakimś drobiazgiem, który od dawna nie ma znaczenia. Jeśli natomiast przeczyta zapiski babci, nigdy nie będzie mogła tego odwrócić.

Pewnego wieczora rozmawia z Petrą przez telefon, mówi jej o obniżonej dawce leku.

– Ale chyba nie masz zamiaru całkiem zrezygnować? – pyta Petra.

– Nie, później o tym pomyślę.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? No wiesz, mówią, że powinno się poczekać na spokojniejszy okres w życiu, bezstresowy, a tobie niedawno umarła babcia.

– Coś ty. Jeśli miałabym czekać, aż życie stanie się idealne, czekałabym w nieskończoność.

Po rozmowie ma dziwne uczucie w brzuchu.

*Czyżby przyjaźń z Petrą opierała się na tym, że ona się mną opiekuje? Jeśli*

*wydzrowieję, czy będziemy miały o czym rozmawiać?*

Jessica potrząsa głową. Postanawia przebiec się po plaży. Z naprawdę głośną muzyką w iPodzie, żeby stłumiła durne myśli.

Po powrocie, zmęczona i mokra od potu, nieświadomie sięga po pamiętnik babci. Nie wie jak, po prostu to robi.

Moja matka była wielce zawiedziona faktem, że jak tylko mogłam, unikałam wszelkich towarzyskich spędów. Sądzę, że łatwiej byłoby nam czuć wobec siebie sympatię, gdybyśmy dzieliły przynajmniej to, jej wielką pasję. Udawałam, że nic nie nudzi mnie bardziej niż sama myśl o przyjęciu, balu czy uroczystej kolacji, ale prawdą jest, że się ich bałam.

W świecie ksiązek mogłam obserwować ludzi z daleka, odsunąć ich, kiedy chciałam. Rzeczywistość była inna. Kiedy matka wyciągnęła mnie na jakieś większe przyjęcie, robiłam wszystko, żeby stopić się z tapetą i zniknąć. Nie pasowałam tam. Rządziło tam tyle zasad, których należało się trzymać, że gdy tylko ktoś włączał mnie w zabawę, dawałam plamę. Pociły mi się dłonie, płonęła twarz, a niezdarne kroki w tańcu podkreślały tylko moje próby wypowiedzenia kokietujących zdań.

Owszem, bohaterki moich ksiązek też czasem popełniały gafy, ale w taki sposób, że jeszcze bardziej je lubiano. Czasem napotykałam wzrok mojej matki, wyraźnie widziałam w jej oczach, że moja nieporadność nie jest ani trochę urocza.

Matka obwiniała oczywiście książki, twierdziła, że nigdy nie wyjdę za mąż, jeśli będę siedzieć w domu i rozmarzać się nad powieściami. Jeślibym się upierała, zostałabym starą panną z coraz grubszymi szklami okularów. Jej obowiązkiem było ratować mnie przed tak potworną przyszłością. Zimą 1949 roku uznała, że czas najwyższy, bym na poważnie włączyła się w życie towarzyskie.

W sylwestra 1949 roku rodzice byli zaproszeni na maskaradę do pewnego dworu koło Uppsali. Nie precyzuję miejsca z powodów, które zrozumiesz później. Po potwornej kłótni rodziców, która zaczęła się tlić podczas przygotowań przedświątecznych, a jej kulminacja nastąpiła, gdy matka nie była w stanie ukryć rozczarowania swoimi gwiazdkowymi prezentami,



przywołano mnie tuż po świętach i oświadczono, że mam zastąpić ojca na balu.

Tematem maskarady byli bogowie i boginie, matka miała wkroczyć w lata pięćdziesiąte jako Aurora, bogini jutrzeńki, w sukni, która wyglądała, jakby ktoś zanurzył ją we wschodzie słońca. Kolory stroju przechodziły od purpury na samym dole, przez róż i pomarańcz do jasnożółtego na piersiach, co oznaczało, że twarz matki, pod blond peruką, miała się jawić jako słońce. Co za różnica, że powierzchnia słońca była zbyt wcześnie popękana i wysuszona? Jej oczy błyszczały, wszyscy zwracali uwagę przede wszystkim na jej promieniste ciepło.

Dreptałam obok tego świetlistego poranka jako naprędce sklecony Amor. Służące uszyły mi z dwóch prześcieradeł strój nieznacznie zainspirowany Rzymem, pomalowały na złoto starą strzałę Henrika, a na nogach miałam o trzy numery za duże sandały ojca.

Obawiałam się najgorszego, ale atmosfera zabawy szybko mnie wciągnęła. Nie był to byle jaki sylwester. Mieliśmy wreszcie zostawić lata czterdzieste, a wraz z nimi wspomnienie kartek żywnościowych i zagrożenia wojną, które cały czas nad nami wisiało. Nowe dziesięciolecie obiecywało wszystkim sukcesy i dobrobyt, jakby dzięki nowej cyfrze w dacie potwory pod łóżkiem straciły zęby. Ponadto matkę uznano właśnie za zdrową, wreszcie miała przestać chodzić na radioterapię. Również rak był czymś, co należało do przeszłości, o ile nie zwracało się uwagi na to, że matka wygląda dużo starszej niż pozostałe kobiety w jej wieku.

Po kilku kieliszkach szampana wspomniane przed chwilą myśli wprawiły mnie w sentymentalną chęć chronienia matki, która z całą pewnością nie chciała być chroniona. Oczywiście nie powiedziałam tego głośno, ale dopilnowałam, żeby drogi matki nie krzyżowały się z drogami Iduny, bogini wiecznej młodości, która nosiła w koszyku magiczne jabłka trzymające wiek człowieka z dala od progu Valhalli.

Odkryłam, że szampan ułatwiał zarówno taniec, jak i konwersację. Już nie nieśmiałość wywoływała płomienie na moich policzkach, ale pełne zapału

pląsy na parkiecie. Łapałam oddech, wlewałam w siebie więcej magicznego napoju i rzucałam niedbale jakieś puste frazesy w stronę nieznajomego. Czułam się, jakbym wstąpiła w którąś z moich książek, z tym że tutaj to ja tworzyłam fabułę. W którymś momencie matka wzięła mnie na stronę i syknęła, że powinnam ostrożniej pić szampana, co na powrót wpędziło mnie w stan współczucia wobec mojej biednej, zniszczonej chorobą rodzicielki – chyba zrozumiałam, że musi odczuwać zazdrość w stosunku do swojej kwitnącej córki, która ma przed sobą całe życie. Pogłaskałam ją po policzku i potknęłam się. Taniec wokół nas się rozszalał, a ja nagle poczułam, że jest mi dziwnie niedobrze. Próbowałam o tym zapomnieć, wracając do mojego ostatniego kawalera i wirów tańca.

No, z pewnością się domyślasz, co się stało potem. Niebawem biegałam po wielkim domu w poszukiwaniu toalety, podczas gdy chór gości w sali balowej odliczał sekundy do północy.

W końcu nie było innej rady, niż minąć rząd uśmiechniętych mężczyzn we frakach przy wejściu i wypaść do ogrodu. Gwałtownie wymiotowałam za jednym z krzaków przy podjeździe, ledwie ukryta za bezlistnymi gałązkami. Stopy powoli zamarzały mi w sandałach, gdy z domu dochodziły okrzyki radości i strzelanie korkami.

Kiedy już wróciłam do środka, szukałam matki w kolorowym tłumie. Znów byłam sobą, definitywnie ściągnięta na ziemię, w ogóle mi się tu nie podobało. Najchętniej pojechałabym do domu, wymyślałam właśnie przemowę, która wzruszyłaby matkę tak bardzo, że pozwoliłaby mi wziąć taksówkę (w życiu nie udało mi się wyciągnąć jej z przyjęcia, które dopiero co osiągnęło punkt kulminacyjny), gdy nagle wpadłam na wielki, biały korpus.

Wyobraź sobie mój stan, a dość szybko zrozumiesz moją reakcję na zjawę. Przede mną wznosiła się postać o okrągłych kształtach z białego *papier mâché*. Do twarzy miała przyczepiony szeroki, żółty dziób. Przez dwa otwory na dole korpusu wystawały cienkie nóżki w żółtych skarpetkach, a stopy wsunięto w płetwy do pływania, również te zostały pomalowane na

krzykliwy żółty kolor. Wielka kaczka zachwiała się i dopiero wtedy zauważyłam, że nad jej głową kołysała się miedziana aureola na druciku.

– Kwak – powiedziała kaczka, podczas gdy ja stałam całkowicie oniemiała.

Wydusiłam z siebie przeprosiny, starając się wyminąć wielkiego ptaka, ale powstrzymał mnie mur odświętnie ubranych ciał w ruchu. Próbowałam obejść kaczkę z drugiej strony, jednak także tam napotkałam przeszkodę. Stałam na palcach (nadal piekły po tym, jak zatopiły się w śniegu między krzakami), by dostrzec jakieś przejście. Nic z tego, więc kilka sekund później zaczęłam patetycznie popłakiwać.

– Wygląda pani, jakby potrzebowała czegoś mocniejszego – stwierdziła kaczka miękkim, głębokim głosem, brzmiącym dużo troskliwiej, niż można się było spodziewać po sztywnej kaczej facjacie.

– Dziękuję, ale to raczej ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję – wydusiłam z siebie i poczułam, jak moja twarz wykrzywia się w zupełnie inny sposób niż u bohaterów filmów, których ciche łzy spływały po gładkich policzkach. Byłam bardzo świadoma szeptów wokół mnie, miałam wielką nadzieję, że nikt z tych ludzi nie wie, kim jestem. Nie chciałam sprowadzić na matkę wstydu, szczególnie w sylwestra.

– Proszę mi przynajmniej pozwolić przygotować dla pani mocną kawę. – W tej chwili z cielska kaczki wysunęło się w moją stronę białe ramię. Mężczyzna poprowadził mnie przez ciemne korytarze, kilka razy potknęłam się o jego wielkie, płaskie płetwy.

W końcu doszliśmy do kuchni, gdzie właśnie przygotowywano późną kolację. Usiadłam ciężko na drewnianym krześle, a on oparł się o stół.

– Nawet nie mogę usiąść w tym cholernym kostiumie. Co ja sobie wyobrażałam – denerwował się, a potem powoli i ostrożnie ściągnął głowę kaczki. Jego twarz była całkiem czerwona od gorąca. Nagle się zawstydziałam. Kiedy pokazał swoją twarz, stał się osobą, a kiedy stał się osobą, sytuacja nabrała intymności.

– Proszę mi wybaczyć pytanie, ale co pana kostium ma wspólnego z bogami i boginiami? – spytałam, gdy postawił przede mną filiżankę

parującej kawy. Westchnął, jakby to pytanie słyszał już po raz setny tego wieczoru.

– Jestem Duchem Świętym<sup>[1]</sup> – powiedział, cierpliwie czekając na moją reakcję. – Potworny pomysł.

Spojrzałam na niego z bliska. Przyglądałam się każdemu szczegółowi. Pierwsze, co dostrzegłam, to długie, piękne palce. Potem gęste, jasne włosy. Podłużna twarz. Nos – chyba go kiedyś złamał. W końcu spojrzałam mu w oczy.

Przedstawiliśmy się sobie. Był gospodarzem przyjęcia, słynnym adwokatem, o którym nawet ja słyszałam. Był mężem Iduny. Miał odmienić moje życie.

Włosy Jessiki zrobiły się szorstkie od słonej wody. Właśnie wyschły, kiedy wysiadała z auta na małej stacji, gdzie można kupić okulary słoneczne i resoraki z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych w oryginalnych opakowaniach. Ale dziś przyjechała tylko zatankować.

Otwiera zatyczkę i zaczyna wlewać paliwo, wdycha zapach benzyny. Od dzieciństwa lubi ten zapach, podobnie jak opary wszystkich silnych płynów, chloru, acetonu i terpentyny.

Płaci gotówką w ciemnym, małym sklepiku. Jest jak przeniesiony z innej epoki, epoki sprzed oświetlonych jarzeniówkami działów warzywnych, na których powoli miękną ogórki, i labiryntów korytarzy ze słodyczami.

Kiedy wsiada do auta, fotel parzy ją w uda, są nagie pod krótką sukienką. Czerwone audi skręca za nią na parking. Kierowca wychodzi, Jessica przygląda mu się we wstecznym lusterku. Najpierw zauważa tylko jego zielony kombinezon, przypominający o czymś, czego nie potrafi skojarzyć. Śmieciarz? A może nie? Chyba przebierają się po pracy? Inaczej zasmradzaliby swoje prywatne samochody. Swoje prywatne życie.

Jej myśli krążą bez planu wokół codziennego życia śmieciarzy – i śmieciarek. Czy takie istnieją? I gdy już ma wyjechać na drogę, widzi jego twarz.

Ukłucie w klatce piersiowej

*Jakob!*

jest szybsze niż świadoma myśl. Kieruje wzrok na drogę przed sobą, ogląda się w lewo, w prawo, znów w lewo, przecież wie, że to nie Jakob, podobnie jak za każdym razem, kiedy jej się wydawało, że go widzi. Ale każdy kolejny raz jest jakby był pierwszym, nigdy się nie przyzwyczai. Jej wzrok niecierpliwie szuka nieznanego, nie oczekuje nic innego jak tylko

tej mieszanki ulgi i rozczarowania, że to znów tylko złudzenie.

Więc patrzy.

*Jakob!*

Mężczyzna jest szczuplejszy od Jakoba. Widzi go tylko z profilu. Krótko ostrzyżone włosy są jaśniejsze od czarnych kosmyków Jakoba. A jednak. Mózg stara się zatrzymać gwałtowną reakcję organizmu. *To nie on. Sama popatrz. Jest tylko bardzo, bardzo podobny.*

Znów patrzy.

*Jasne, że to nie on.*

Mieszanka ulgi i rozczarowania nie nadchodzi. *Jak duża jest szansa, że wasze drogi miałyby się znów spotkać, do tego jeszcze tutaj?*

Innaczej mózgu od razu odpowiada: *A jak duża jest szansa, że to, co dzieje się na świecie, miałyby się wydarzyć? Przecież nic nie jest szczególnie rozsądne, jeśli się zastanowić, a jednak się zdarza!*

Mężczyzna wchodzi do sklepiku, nieświadomy reakcji, jaką wywołał w srebrnoszarym volkswagenie kilka metrów dalej. Jakieś auto podjeżdża z tyłu i trąbi. Jessica wyjeżdża na drogę.

*To nie mógł być Jakob.*

*A jednak jestem pewna, że to on.*

*Czy to nie pierwsza oznaka choroby? To przekonanie o własnej racji?*

Woda jest tak gorąca, że prawie ją parzy. Skóra tętni. Wsuwa się do wanny, teraz cała jest otoczona ukropem. Zanurza głowę. Twarz jest wrażliwsza niż reszta ciała, ale i tak Jessica wytrzymuje pod powierzchnią, aż zabraknie jej tchu.

Wtedy powoli się wynurza. Opiera głowę na zwiniętym ręczniku ułożonym na brzegu wanny. Zamyka oczy. Kiedy była na zwolnieniu, potrafiła się kąpać w ten sposób pięć, sześć razy dziennie. To jedyna metoda na przywrócenie kontaktu z ciałem, które jest tak spięte, że aż drętwieje. Gorące kąpiele przywracały jej ciało, uspokajały myśli. Krzepiły.

Głęboko oddycha, długie wdechy i wydechy. Może Petra miała jednak

rację. Nie powinna zmniejszać dawki zolofu. Nie ma tu nikogo, kto mógłby zauważyć, że zwariowała, że zaczęła mieć halucynacje. Kłuje ją w brzuchu. Stara się skupić na oddychaniu w swym gorącym kokonie.

*Głębiej. Wolniej.*

Jej plecy ślizgają się po brzuchu Jakoba. Co jakiś czas Jakob dolewa gorącej wody. Masuje jej głowę, aż cała robi się tak ciężka i rozluźniona, że czuje, jakby upadała. Opiera głowę na jego klatce piersiowej, zsuwa się w dół, broda dotyka wody. On masuje jej ręce. W wodzie jest trochę oliwki, dzięki czemu palce Jakoba łatwo suną po jej skórze. Piersi Jessiki znikają pod jego dłońmi. Bardzo delikatnie porusza się w jego stronę, powoli w przód i w tył. Trochę wody wylewa się za brzeg wanny. Jego dłonie zsuwają się w dół, głębiej, z nieprzyjemnym uczuciem sięgają jej świadomości. Już wie, że coś się wydarzy, kiedy

*nie*

słyszy głos z pietra nad sobą. Głos kogoś, kto stara się być niesłyszalny. Coś się tłucze. Kroki na schodach. Ciężkie pięty dudnią po drewnie. Boi się, ale Jakob niczego nie zauważył – i to jest najgorsze.

Budzi się z ustami pełnymi letniej wody. Wstaje z wanny, plując gwałtownie.

Jessica porusza się po domu z niecierpliwością. Niepotrzebnie głośno trzaska drzwiami i szafkami, jakby w domu był ktoś, z kim się pokłóciła. Mężczyzna ze stacji wszystko w niej zniszczył. Zielony kombinezon nie chce zostawić jej w spokoju, dobrze wie, skąd go zna, nie udaje jej się tylko wyciągnąć z podświadomości właściwego puzzla.

Przez pierwszy okres od jego zniknięcia często myślała o ich ostatniej rozmowie. Starła się znaleźć wskazówki, rekonstruując słowa i ton w najmniejszych szczegółach. Okazało się to równie bezsensowne jak wszystko inne.

Pewnego dnia po prostu nie odebrał telefonu, ani w domu, ani komórki. Zadzwoniła do jego pracy, dowiedziała się, że się zwolnił. Wtedy poważnie się zaniepokoiła. W wiadomościach mówili o strzelaniu w jakimś barze

w Göteborgu, dwie ofiary, telefonowała po szpitalach, powiedzieli tylko, że nie mogą jej o niczym poinformować. Następnego dnia media opublikowały nazwiska ofiar, z ulgą przyjęła wiadomość, że żadną z nich nie jest Jakob. A potem niechciana myśl, że jeśli byłby jedną z ofiar, wiedziałyby przynajmniej, gdzie się znajduje. Śmierć byłaby powodem do zniknięcia w ten sposób, który byłaby w stanie przyjąć.

Wynajęła samochód i pojechała do Göteborga z paniką w piersiach, stanęła przed jego drzwiami i zaczęła w nie walić. Po drugiej stronie cisza. Rozmawiała z policją, dowiedziała się, że nie mogą jej przekazać żadnych informacji na jego temat, wiedziała, że coś jest nie tak. Próbowwała się czegoś dowiedzieć przez urząd skarbowy, ale to też nie zadziałało.

W drodze powrotnej do Sztokholmu była znieczulona. Ten emocjonalny paraliż nie chciał ustąpić. List czekał na nią na wycieracze pod drzwiami.

„Wybacz mi. Nie mogę powiedzieć dlaczego. Nie szukaj mnie. Nie nienawidź mnie”.

Nowa epoka w jej życiu, wszystko podzieliło się na życie przed Jakobem i po nim.

I najbardziej zabronione, to, do czego żaden samodzielny człowiek nie jest w stanie się przyznać: czuła się jak połowa siebie, od kiedy zniknął.



Przez uchylone okno dochodzi zapach pierwszego w tym roku grillowania, czuć też cygaro, które Billy pali w ogrodzie. Mój mąż, William Wilcox. Obecnie stary dziadek, wygląda jak każdy stary dziadek. Ale zaletą długiego małżeństwa jest to, że nadal postrzegamy się jako młodych i pięknych. Zawsze będę pamiętać tego przystojnego Amerykanina, syna dyplomaty, jego szeroką szczękę. Tego, który dla mnie był uosobieniem męskości. Nie w zwyczajny sposób (niezwykle niski głos czy talent do odkrywania tajemnic pod maską samochodu), było w nim coś bardziej nieokreślonego. Po prostu był najbardziej męską osobą, jaką spotkałam. Nie potrafię tego wyjaśnić, jego obecność w jakimkolwiek pomieszczeniu była bardziej odczuwalna niż istnienie wszystkich pozostałych. Zdawało się, że jego ciało miało większą gęstość, wszyscy inni zdawali się lekcy, nietrwali. Jestem w nim bardzo zakochana, ale to uczucie zmieniało się przez lata.

Znów wybiegam naprzód. Po prostu kłuje mnie w sercu, gdy czuję ten dobrze mi znany zapach jego cygara, pisząc jednocześnie w notesie, który ukrywam przed nim i przed Viktorem. Jakbym miała ich zawieść, zawieść nas wszystkich i zepsuć to życie, które przeżyliśmy. Wciąż nie jestem pewna, czy powinnam dać Ci te zapiski, kiedy już wszystko z siebie wyrzucę.

Ale wróćmy do sylwestra, teraz to już pierwsze godziny roku 1950. No więc właśnie spotkałam na maskaradzie Ducha Świętego. Nie zapisuję jego imienia. Od dawna nie żyje, zresztą nie ma to już żadnego znaczenia.

Tej nocy miał trzydzieści dwa lata, ja byłam znacznie młodsza, miałam osiemnaście lat. Piszę „znacznie młodsza”, ponieważ książki, w których się zaczytywałam, zamiast spotykać się z rówieśnikami, sprawiły, że stałam się starą malutką. Bardziej przyjaznym określeniem byłoby „niezwykle dojrzała jak na swój wiek”. W istocie byłam, właśnie ze względu na te książki,

o wiele mniej doświadczona niż większość moich rówieśników. Ponadto miałam matkę, która nigdy nie wysilała się, żeby mi przekazać jakiegokolwiek mądrości życiowej poza jedną (w gruncie rzeczy nawet przydatną): „Nigdy nie obcinaj włosów, kiedy znajdujesz się w emocjonalnym kryzysie”. Miałam niewielu przyjaciół, niespecjalnie imponujące wykształcenie, żadnego doświadczenia zawodowego z wyjątkiem dobroczynnych przyjęć i temu podobnych.

Duch Święty wyglądał, jakby wyszedł wprost ze stron moich książek lub ze sceny filmu, które tak uwielbiałam. Był w miarę przystojny, osiągnął sukces i miał smutne oczy. Nie miałam szans.

Był to człowiek, który uważał, że wpadł w swoje życie przez jakieś małe pęknięcie, i teraz czuł się tu więźniem: nie był zadowolony ze swojej pracy, nienawidził swojego szefa (który był jednocześnie jego teściem), dawno temu przestał kochać swoją żonę. (Oczywiście nie mógł się rozwieść, straciłby zarówno dom, jak i pracę). Od razu wzięłam na siebie odpowiedzialność za nadanie sensu jego życiu. Przez całą zimę i wiosnę 1950 roku jadaliśmy razem obiady w hałaśliwych restauracjach w okolicach Klary i spacerowaliśmy po ulicach Södermalmu, gdzie nigdy wcześniej nie postawiłam nogi. Spotykaliśmy się w wieczory, gdy wynajmował służbowe mieszkanie (kiedy jego nic nie podejrzewająca żona zostawała w posiadłości pod Uppsalą). Przed takim wieczorem poświęcałam zazwyczaj cały dzień na wymyślanie rzeczy, o których mogłabym mu opowiedzieć i które go rozwesela. Słuchałam jego narzekań, zgadzałam się z tym, że jego teść jest idiotą, dodawałam mu otuchy, by sprzeciwiał się żonie, gdy ta ma kolejny atak, zasypywałam go komplementami, które z zawstydzeniem i wdzięcznością przyjmował. Wreszcie znalazłam w życiu sens: przywrócić sens życiu tego mężczyzny.

Czasem zastanawiam się, skąd się bierze ten instynkt, by komplementami zdobyć serce mężczyzny. Przyszło mi to tak naturalnie, a kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że po prostu mówiłam mu wszystko to, co najbardziej chciałam usłyszeć o sobie: że jestem silna, piękna, odważna i że życie pełne jest możliwości, które tylko czekają, aż wyciągnę po nie rękę.

To, co zakazane w naszych schadzkach, tylko je uatrakcyjniało. Oczywiście wiedziałam, że spotkanie się z żonatym mężczyzną jest błędem (nawet jeśli fizycznie nie zrobiliśmy niczego poza dotykaniem swoich dłoni). Takie coś robiły tylko złe dziewczęta. A jednak z łatwością przychodziło mi odsuwanie tych myśli. Nasza znajomość wcale nie przypominała skandalicznych historii o „tej drugiej”, które tak często powtarzano. Dlatego sądziłam, że to, co mamy, jest wyjątkową, pasjonującą miłością, tym bardziej płomienną, że nie miała żadnej przyszłości. No. W każdym razie nie byliśmy Romeem i Julią.

Jessica czuje, że dziś wieczorem chce się porządnie spać. Jest noc świętojańska, potrzebuje oczyścić łeb. Jest na dobrej drodze.

Petra dolewa szampana co drugi łyk. Jej policzki płoną, zarówno od bąbelków, jak i z powodu piruetów, jakie wykonuje między gorącymi garnkami a rozgrzanym piekarnikiem. Jak dotąd zrobiła tartę serową, młode ziemniaki z koperkiem i sojowe kotlety z fetą. Świeże kwiaty cukinii leżą na talerzu gotowe do frytowania.

Jessica kroi obowiązkową sałatę.

– Babcia też nieźle gotowała, ale nie potrafiła przyjmować komplementów – mówi Jessica. – „Ech, przegotowałam ziemniaki!”, mawiała. Albo: „Nie, nie udało mi się”.

– Typowe dla starszych pań – kwituje Petra, ale Jessica podejrzewa, że ta nie słuchała.

Petra jest myślą głęboko w garnkach, zastanawia się nad następnym krokiem. W porządku. Jessica raczej nie rozmawia, tylko głośno myśli. Opróżnia kieliszek. Zastanawiała się nad tym, czy opowiedzieć Petrze o notesie, ale jakoś czuje, że nadużyłaby zaufania babci.

– Boże, ten ogród jest niesamowity – mówi Petra, myjąc ręce i wyglądając przez okienko nad zlewem.

– Wiem. Zazwyczaj przestawałam słuchać, gdy babcia mówiła o nasionkach, ale teraz ją rozumiem. Pod koniec to był jej cały świat. To jasne, że chciała mieć w nim wszystko.

Petra przytakuje rozkojarzona. Coś się gotuje na kuchence, ale Jessica straciła kontrolę.

– Czasem myślę sobie, że starość może być całkiem przyjemna – mówi Petra.

Nасыpuje sól na dłoń, potem do garnka, podchodzi do lodówki i wyjmuje słoiczki ze śledziem i wędzonego tuńczyka w folii.

– Wiesz, starość w ogóle mnie nie przeraża – mówi dalej. – Dopóki człowiek jest zdrowy. Wiek średni jest o wiele bardziej przerażający. A mnie niedługo stuknie czterdziestka. Dziś kusząca jest perspektywa przejścia na emeryturę i oddania się jakiemuś ekscentrycznemu hobby.

– Jakie ekscentryczne hobby masz na myśli? – dopytuje Jessica.

– Nie wiem. I to właśnie jest najbardziej ekscytujące. Pomyśl tylko, że nie trzeba już walczyć, można się wygodnie rozsiąść, a za plecami masz doświadczenie całego życia. Mam nadzieję, że do tej pory człowiek nauczy się żyć ze swoimi dziwactwami.

– A od kiedy ty masz dziwactwa?

Petra parska śmiechem.

– Poza tym podwoiłam w tym roku oszczędności emerytalne – mówi i napełnia kieliszki szampanem, potem wrzuca do każdego po truskawce.

– Dziwne są te staruszki – kontynuuje wywód. – Że też nigdy nie potrafią przyjąć komplementu za swoje gotowanie. To jak stary japoński zwyczaj: nigdy nie wolno ci się wywyższać, tylko cały czas należy za wszystko przepraszać.

A jednak cały czas słuchała.

– Myślisz, że my też takie będziemy? – pyta Jessica.

– Nie. Wydaje mi się, że te kobiety były takie przez całe życie.

Petra jest przekonana o swojej racji, jak zwykle. Jej wieczna pewność siebie daje poczucie bezpieczeństwa. Ale tym razem Jessica zastanawia się, czy Petra rzeczywiście ma rację. Cokolwiek babcia chce ujawnić w pamiętniku, to jest to coś ważnego właśnie dla niej samej. Czy kiedykolwiek czuła, że zablądziła, że przegapiła prawdziwe życie? Kim by wtedy była?

– Opowiedz o pogrzebie – prosi Petra.

– Piękny. Babcia wszystko sama zaplanowała, tylko spełniłyśmy jej życzenia. Wybrała nawet psalmy.

– Boże, ale pedantka.

– Nigdy nie myślałaś o tym, jaką muzykę chciałabyś mieć na własnym pogrzebie?

– Nigdy. A ty?

– Jak byłam mała, chciałam, żeby zagrali *Forever Young*. Wydawało mi się, że ten tekst jest świetny. *Youth is like a diamonds in the sun, and diamonds are forever...*

Jessica wzrusza ramionami.

– Chociaż teraz będę musiała wymyślić coś innego. Jestem za stara, żeby umrzeć młodo.

Petra chichocze i napełnia kieliszki.

– Czyżbym słyszała zachętę do toastu?

Petra znów chichocze, gdy kieliszki dzwonią jeden o drugi.

– Fajnie byłoby oglądać własną trumnę, jak wjeżdża do krematorium do melodii *Highway to Hell* – wybucha śmiechem.

Jessica też się śmieje, nie śmiała się tak od tygodni.

Kiedy potrawy są wreszcie gotowe, Jessica jest już tak pijana, że nie czuje głodu. Chwiejnym krokiem wynosi na zewnątrz to, co Petra ustawiła na blacie w kuchni. Dochodzi szósta, to jeden z tych letnich wieczorów, o których człowiek marzy w ciemne lutowe poranki.

Mimo wszystko jedzenie przychodzi jej łatwo. Petra opowiada o swoich przygodach w późnowiosennym, rozgorączkowanym Sztokholmie. Jest tam jeden bankier z Rzymu i szef sprzedaży wielkiej firmy mleczarskiej, którego serową kampanię stylizowała Petra, jest też jeden książę z Europy Środkowej, który ma na wyłączność zarezerwowany apartament w Grand Hotelu, tylko dlatego że Sztokholm bardzo mu się podoba. Miejsca akcji to hotelowe bary i kawiarniane ogródki, supernowoczesne biura i butikie tak ekskluzywne, że jeśli się nie zna ich adresu, nigdy by się tam nie trafiło.

To rzeczywistość całkowicie odległa od Solbacki. Jessica z rozbawieniem słucha raportów ze świata, do którego Petra należy w sposób oczywisty

i niezaprzeczalny, a w którym Jessica zawsze się gubiła.

– Mam wrażenie, że istnieją tylko dwa rodzaje facetów – odzywa się Petra.  
– Albo jest się bezmózgowym ciachem z nudną pracą, albo trudną, wyobcowaną duszą artystyczną, która nie widzi świata poza czubkiem własnego nosa. Z żadnym nie da się wytrzymać na dłuższą metę. Gdzie się podzieli wszyscy normalni faceci?

– Z normalnym też byś nigdy nie wytrzymała. Byłby za zwyczajny.

– Ech. Gdy tu jechałam, wymyśliłam idealne rozwiązanie. Najlepszym partnerem byłby architekt. To najlepszy z dwóch światów: artystyczny i kreatywny, ale wymaga wykształcenia i porządnej garderoby. No i generuje kasę.

– Najlepszy przyjaciel taty Gunnar jest architektem. Mogę was kiedyś ze sobą poznać.

– Przystojny?

– Nie, ale z łatwością obali twoją teorię.

– Cholera.

Znów czuje tę wielką potrzebę powiedzenia Petrze, że ją kocha. Chciałaby, żeby babcia też miała taką przyjaciółkę, z którą mogłaby się upić i śmiać z idiotycznych rzeczy.

Wlewają w siebie wiadra kawy, żeby nie usnąć przed deserem. Petra wyciska grudki z marcepanu na blaszkę, potem wstawia ją do piekarnika. Grudki w sekundę zamieniają się w świeżutkie migdałowe biszkopty, dodane do lodów ciągną się i chrupią jednocześnie. Piją po kolejnym kieliszku szampana. Przypominają sobie o sznapsach. Wychylają po jednym. Jessica mówi, że sznaps wygląda i smakuje jak pot na jajach brodatego rybaka z etykiety na butelce. Petra prawie wymiotuje. Jessica prawie wymiotuje ze śmiechu.

Kwadrans później biegną na plażę z ostatnią butelką szampana. Mają na sobie tylko szlafroki. Woda jest lodowata, ale ich zmysły i zdrowy rozum są

do tego stopnia przytępione, że jednocześnie zrzucają z siebie szlafroki i wskakują w fale.

Gdy wychodzą z wody, słońce jest już niżej. Padają na piasek i z głośnym wystrzałem odkorkowują szampana.

– Niech żyje noc świętojańska! – krzyczy Petra i wychyla łyk z butelki.

Wzdryga się.

– Na zdrowie. – Jessica przejmuje butelkę.

Z kącika ust wypływa jej troszkę piany, czuje delikatny posmak słonej wody.

Przez moment milczą, spoglądając na morze.

– Widziałam Jakoba – odzywa się Jessica.

Petra wbija w nią wzrok.

– Co?

– Widziałam Jakoba – powtarza Jessica i znów wychyla łyk.

Słony posmak przyprawia ją o mdłości.

Usta Petry zwięzają się. Jessica świetnie zna to spojrzenie.

– Ale teraz naprawdę – spieszy wyjaśnić.

– Gdzie?

– Tu niedaleko, na stacji benzynowej. Sama nie mogłam w to uwierzyć. Ale...

– Jessica – mówi Petra.

Tylko jej imię. Ale ten ton, zmęczony, jakim się przemawia do upartego dziecka, wystarcza.

– Wiem, co myślisz. Sama tak myślę. Uwierz mi. Jestem pewna.

– Czy to nie dziwne, że pojawia się właśnie tutaj? Teraz?

– Wszystko jest dziwne! To, że zniknął, jest cholernie dziwne! Dlaczego miałby...

Jessica przerywa, walczy ze zgagą. Ma nadzieję, że Petra nic nie zauważyła. Nagle horyzont zaczyna się kołysać jak huśtawka, powoli, w przód i w tył. Wpatruje się w stopy. Zmiękły po dniach spędzanych na



drobnym piasku. Paznokcie są jasne na tle pierwszej opalenizny.

– Chciałam tylko... – zaczyna Petra, ale przerywa jej Jessica, która nagle zaczyna wymiotować, czym definitywnie kończy dyskusję.

Jessica pociąga nosem, zagrzebuje jasnobrązowe wymiociny w piachu, trochę przylepia się do palców.

– Nie patrz – syczy.

Zaciska zęby, żeby znów nie zwymiotować.

W pewne sobotnie popołudnie pod koniec kwietnia zgodziłam się pójść do sypialni w jego wynajętym mieszkaniu. Nie widzę powodu, dla którego miałabym Ci przedstawiać szczegóły (oszczędzę ich nam obu), ale upierał się, żeby firanki pozostały odsłonięte, tak bym mogła się kąpać w promieniach słońca padających na łóżko. Leżałam na ręczniku, na wypadek gdybym zaczęła krwawić.

Kiedy było po wszystkim, czułam zarówno mniej, jak i więcej, niż się spodziewałam. Bolało mnie, okropnie mnie bolało, przestraszyłam się, że to, co zrobiliśmy, mogłoby wywołać tę samą nieokreśloną chorobę co u mojej matki. A jednak spodziewałam się tego bólu. Natomiast to, co się nie wydarzyło, a czego oczekiwałam, i co sprawiło, że w końcu zgodziłam się na cały ten spektakl, było czymś wielkim i wstrząsającym. Kiedy skończyliśmy, a ja wreszcie odważyłam się otworzyć oczy, wciąż byłam tylko sobą. Nie wyszła ze mnie żadna kobieta i nie zastąpiła dziewczynki. Byłam tak zawiedziona, że się rozplakałam, a on pocieszał mnie, mówiąc, że następnym razem obojgu nam będzie przyjemniej.

„Przyjemniej”, dość śmieszne słowo w tej sytuacji. Nadal spotykaliśmy się, tak często jak się tylko dało. Ból ustał, ale stało się to dla mnie tak niezrozumiałym zajęciem, że kilka razy musiałam się ugryźć w język, żeby powstrzymać śmiech, gdy on leżał na mnie, sapiąc i pocąc się niemożebnie. A jednak lubiłam to, bo potem mogłam się w niego wtulić. Leżeliśmy, rozmawiając i patrząc sobie w oczy, snuliśmy plany na przyszłość, wiedząc, że nigdy się nie spełnią.

Zaczęłam się czuć jak kobieta. Dorosła, dojrzała kobieta. Ależ się myliłam.

Powtórzę: wolę nie wchodzić w szczegóły (już i tak zagłębiłam się w nie bardziej, niż planowałam), powiem tylko, że poczyniliśmy pewne środki ostrożności. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogłabym zajść w ciążę.

Dopiero pod koniec wiosny byłam zmuszona zrozumieć, co też próbują mi powiedzieć moje nadwrażliwe piersi i mdłości oraz puste miejsca w kalendarzu, gdzie zazwyczaj raz w miesiącu na marginesie stawiałam tajemniczy symbol.

W końcu dopadła mnie kara, jak wszystkie złe dziewczęta. Byłam WSB. W Stanie Błogosławionym.

Zostałam zapłodniona przez Ducha Świętego.

Jest środek dnia, deszcz wrócił. Solbacka jest zupełnie innym domem niż wczoraj. Wszystkie kolory zbladły, świat jest wymoczoną kopią siebie. Ptaki ucichły. Jakby czas się zatrzymał.

Petra leży w pokoju gościnnym, czuje się świetnie, natomiast kac Jessiki przypomina detoks. Jest spocona, niespokojna, trzęsie się. Żelazny pas ściska jej klatkę piersiową, nie może oddychać.

*nie czytaj więcej, nie dzisiaj*

Ale notes ją przyciąga. Krok po kroku zbliżają się z babcią do prawdy.

Razem.

Wychodzi z filiżanką kawy na werandę. Dygocze, przez otwarte drzwi sięga po stary polar wiszący w przedpokoju. Czuje zapach babci w miękkim materiale.

Szare deszczowe chmury wiszą nisko nad ziemią, otaczają dom jak mur pustki. Babcia jest teraz bliżej niż niewidoczne otoczenie, bardziej rzeczywista od rzeczywistości. Jessica chciałaby przeniknąć przez czas i spotkać babcię w młodości.

Teraz jej kolej, żeby pocieszyć babcię. Powiedzieć, że wszystko się ułoży. Że wszystko w porządku. Że to nie jej wina. Nie wiedziałaś, co zrobić. Niebawem spotkasz fantastycznego mężczyznę, wyjdiesz za niego.

*mogłybyśmy się zaprzyjaźnić, babcia i ja*

W ciąży. Nie mogłam zrozumieć, że wpadłam w tę samą pułapkę, co tyle młodych kobiet przede mną. Jak mogłam przegapić moment, kiedy weszłam na tę wydeptaną ścieżkę, która mnie tam zaprowadziła? Moje życie zamieniło się w stereotyp, teraz należałam do grupy, na którą wcześniej ze współczuciem patrzyłam z góry: bezwstydnym kochanek, niezamężnych matek. Dobrze pamiętam statystykę z tamtych czasów, ponieważ żywo nad nią dyskutowano. Wiele osób postrzegało ją jako znak moralnego upadku szwedzkiego społeczeństwa. Jedno na dziesięcioro dzieci rodziło się poza małżeństwem, sześćcioro na dziesięcioro dzieci rodziło się wcześniej niż dziewięć miesięcy po ślubie. Dla Ciebie brzmi z pewnością staromodnie, że to coś oburzającego. Ale takie właśnie było, przynajmniej w świecie, w którym dorastałam. Czy był to problem klasowy, owych czasów, czy tylko problem dla naszej rodziny? Sądzę, że wszystko po trochu. W każdym razie moi rodzice głośno rozprawiali o moralności. Do moralności należał dobry charakter, który z kolei był związany z samokontrolą, a ta wynikała z chęci samokontroli.

Ale – co się miało wkrótce okazać – nie tyle chodziło o moralność, ile o nieobecność niemoralności.

Wmawiałam sobie, że się zastanowię, zanim zrobię następny krok. Że dam sobie czas do namysłu. Tak naprawdę była to tylko metafora, żeby móc wsadzić głowę w piasek. Rzecz jasna, także wtedy dziewczyny dokonywały aborcji, ale wymagane były szczególne okoliczności, żeby móc to zrobić legalnie. Nie wiedziałam, jak mam się do tego zabrać, kogo zapytać, co powiedzieć. To był potworny wstyd, obrzydliwość. Nie dość, że jak wskazywały dowody, uprawiałam seks, to jeszcze należałam do tych głupich podlotków, które nie miały na tyle rozumu, żeby się porządnie zabezpieczyć!

Tamten początek lata tworzy w mojej pamięci mieszaninę natrętnych wrażeń. Chodziłam ze zwieszoną głową. Wszystkie ostre kolory kłuły mnie w oczy. Ulica huczała, ludzie za głośno się śmiali, dzwony z kościoła rozrywały mi uszy. Zapach benzyny, perfum, papierosów, smażonego mięsa – nie miałam dokąd uciec. Pragnęłam chłodnego, cichego, sterylne go pokoju, w którym nic nie pachnie.

Nagle nie wytrzymałam myśli o spotkaniu z nim, ojcem dziecka. Na samą myśl o jego dotyku trzęsłam się z obrzydzenia. Gdy myślałam o jego wilgotnych ustach, robiło mi się niedobrze. Jak mogłam dobrowolnie do niego pójść? Był jednym z tych zapachów, których za wszelką cenę chciałam uniknąć.

Zrobił się bardzo nieostrożny w swych próbach skontaktowania się ze mną, w końcu złamał złotą zasadę i zadzwonił do domu. Do domu moich rodziców! Odebrał Viktor. Na jego twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech, gdy pukał do mojego pokoju, żeby zawiadomić mnie o telefonie.

Przyciskałam słuchawkę do ucha, drugą ręką zasłoniłam usta, gdy pospiesznie zgadzałam się spotkać za chwilę na moście Kungsbron. Dobrze będzie mieć to za sobą – pomyślałam. Przed wyjściem porządnie się umalowałam i ułożyłam włosy. Nie było powodu, żebym wyglądała na tanią i wyniszczoną, a taka się czułam.

Przyszłam pierwsza, usiadłam na betonowym murku, spuściłam nogi i poddałam się hipnotyzującemu działaniu przepływającej wody. Zastanawiałam się, jakie to uczucie wskoczyć. Nie w żaden samobójczy sposób! Raczej myślałam, że chłód i woda oczyściłyby mnie, że wypłynęłabym potem na powierzchnię jako nowy człowiek, zostawiwszy wszystkie zmartwienia głęboko pod wodą.

Niewiele pamiętam z naszej rozmowy. Można by przypuszczać, że powinnam. Kiedy rozmawialiśmy, mój wzrok nadal był utkwiony w ruchu wody i promieniach słońca igrających na tafli. W końcu szorstką dłonią odwrócił moją twarz do siebie, ale nie mógł sterować moim spojrzeniem, oczy spuściłam w dół.

Powiedziałam mu, żeby się nie martwił. Nasza tajemnica pozostanie

tajemnicą. Ale chyba go to nie uspokoiło. zaproponował, że załatwi aborcję, miałam wrażenie, że nie po raz pierwszy znalazł się w podobnej sytuacji. Tym bardziej mnie to zniechęciło. Nie chciałam go więcej widzieć ani przyjąć jego pomocy.

Nie mogę powiedzieć, czy kiedykolwiek podjęłam decyzję o zatrzymaniu dziecka. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

To było tak dawno temu. Prawie sześćdziesiąt lat! Być może teraz, po fakcie, wkładam w tę młodą dziewczynę na moście jakieś inne emocje. Wypełniam jej kontury doświadczeniami z mojego późniejszego życia. A może jest tak, że ona wcale nie jest tak odległa, jak się wydaje, ale wmawiam sobie, że boję się do niej zbliżyć, nie chcę ponownie dzielić jej przeżyć. Nie da się tego opowiedzieć. Tak naprawdę powinnam się trzymać faktów, a faktem jest, że minęło sporo czasu, zanim ponownie go spotkałam.

Wprawdzie mieszkaliśmy z Viktorem pod jednym dachem, ale nic nie wiedziałam o jego życiu. Matka i ojciec dawno porzucili wobec niego jakiegokolwiek nadzieje. Był bez charakteru, w ich oczach był rozpieszczoną niezdara i w pewnym sensie mieli rację.

Viktor był wówczas w pełni rozwiniętym imprezowym księciem, takim samym jak matka, wciąż w drodze na jakieś ciekawe przyjęcie albo tajemniczą kolację. Nierzadko znajdowałam go nad ranem padniętego w niewygodnej pozycji na niemodnym szeszlunku w salonie, obok stała przepelniona popielniczka, krawat był zrzucony na podłogę.

Viktor wychodził i wracał, kiedy chciał, cieszył się wolnością, o której ja i Henrik mogliśmy tylko pomarzyć. Ja byłam dziewczynką, a Henrik najstarszym synem, naszym królem – jego przyszłość była dawno nakreślona. Kiedy pytałam Viktora, co robił podczas swych nocnych eskapad, denerwował się, napomykał coś o skandalach spektakularnych rozmiarów i dawał mi do zrozumienia, że krąży o nim kilka niestosownych opinii, jednocześnie niczego przede mną nie ujawniając. Zastanawiałam się, dlaczego tak się dzieje. Zawsze byliśmy sobie bliscy, chciałam wierzyć, że nadal tak jest. Poza tym wiedział, że nie będę plotkować. Nie miałam nawet

przyjaciółek, którym mogłabym te plotki sprzedawać. Tych kilka dziewcząt, z którymi utrzymywałam regularny kontakt, nie chciałoby tego słuchać.

Mimo braku szczegółów nigdy nie wątpiłam w to, że tajne życie Viktora jest fascynujące, ale bałam się, że nas rozdzieli. Tym bardziej że teraz również ja miałam tajne życie, maleńkie życie w brzuchu, które rosło i niebawem miało się stać widoczne.

Ale właśnie to nas połączyło, bo Viktor jako pierwszy dowiedział się, co się stało.

Byłam w siódmym albo ósmym tygodniu ciąży, kiedy przyszedł ból i skurcze. Siedziałam na sedesie i patrzyłam, jak krew zabarwia wodę. Widziałam, że życie, które nigdy nie powstało, wypływa ze mnie.

Jak opisać to, co się we mnie wtedy działo? Trzymałam na wodzy wszystkie emocje, ale patetyczne, amatorskie zabezpieczonka, które w sobie zbudowałam, runęły w ciągu sekundy. To, co teraz mnie ogarniało, zebrało na tymczasowym wygnaniu niezwykle siły.

Oczywiście, że się bałam. Bałam się fizycznego bólu, że będzie się nasilał, że nie przestanę krwawić albo że dotknie mnie choroba matki. (Jak widzisz, ten lęk był zawsze pod ręką). Ale najsilniejszym strachem, tym naprawdę przerażającym, było to, że zostanę nakryta. Nie chciałam, żeby prawda wyszła na jaw w ten sposób.

Muszę przyznać, że jakaś część mnie czuła także ulgę: Wszystko minęło. To dziecko było potworną pomyłką, a teraz natura naprawiała błąd, zanim ten zniszczyłby mi życie. Nie pragnęłam tego dziecka. Przyszłoby na świat niechciane.

Czułam też wstyd. Wstyd z powodu tej ulgi i w ogóle całej sytuacji, w jakiej się znalazłam.

No i wypełniała mnie złość, wściekłość wobec mężczyzny, który sprawił, że zaszłam w ciążę, który nigdy nie będzie musiał przeżywać tego, co ja wówczas przeżywałam, mimo że zawinił tak samo jak ja.

Emocje walczyły we mnie o rację bytu. Jedno uczucie przetrącało drugie,



razem dobijały trzecie, które rodziło czwarte, i tak dalej. Kiedy krwawienie powoli ustało, nie wiem, jak długo tam siedziałam, zabandażowałam się najlepiej, jak mogłam, i ukryłam się w ciemnościach mojego pokoju. Tam uwolnione emocje przejęły nade mną całkowitą kontrolę, myślałam, że stracę rozum. Wyłam w poduszkę, zdawało mi się, że uduszę się z płaczu. W końcu nie płakałam tylko nad sobą, ale nad matką i jej chorobą, nad ojcem, którego nigdy dobrze nie poznałam, nad Viktorem, który stawał się coraz bardziej mi obcy, i nad Henrikiem, który już nim był.

No, rozumiesz. Po raz pierwszy w życiu pozwoliłam sobie aż tak płakać. Kiedy mi przeszło, czułam się kompletnie wykończona. Bolała mnie szyja, swędziały oczy. Nie rozbierając się, naciągnęłam na siebie kołdrę i nagle usłyszałam delikatne pukanie, drzwi się otworzyły, zanim zdążyłam odpowiedzieć.

Milcząca sylwetka wślizgnęła się do pokoju, przysiadła na brzegu łóżka i pogłaskała mnie po włosach. To był Viktor.

– Co się stało, maleńka? – zapytał.

Dobrze pamiętam te słowa. Znów zaczęłam popłakiwać – z powodu jego gestu i tego, że do mnie przyszedł, że w ogóle mnie usłyszał i się przejął.

(Nadal!) niełatwo jest spojrzeć na to, co się stało, z dystansem, tak by móc opowiedzieć o wszystkim rzeczowo i w kolejności chronologicznej. Dopiero teraz, kiedy piszę, przypominam sobie jedną rzecz. Przez całą wiosnę i lato byłam przekonana, że wypracowałam w sobie niezwykle talent do znikania, że mogłam niezauważenie wymykać się na moje tajemne eskapady. W rzeczywistości wcale nie musiałam się wysilać. W tym czasie członkowie naszej rodziny przestali zwracać na siebie uwagę. Byliśmy cieniami w oczach pozostałych. Czymś, co tam jest, ale czemu nikt się specjalnie nie przygląda.

Więc kiedy Viktor nagle się u mnie zjawił, opiekuńczy i chętny do wysłuchania... To, jak pogłaskał mnie po włosach, sprawiło, że opowiedziałam mu całą prawdę. Mówiłam coraz szybciej, gorliwie wyrzucałam z siebie wszystko, jednocześnie bałam się końca tej historii i jego reakcji. Kiedy skończyłam, ścisnął moją dłoń. Żadnych wyrzutów, żadnych zapewnień, że wszystko się ułoży, żadnych pustych pogroźek, że

facet pożałuje. W milczeniu i w ciemności trzymaliśmy się za ręce.

– Co mam zrobić? – odezwałam się w końcu, również do siebie samej.

– Przede wszystkim musisz wyzdrowieć. Zostanę w domu, aż poczujesz się lepiej.

– A rodzice? Co powiedzą?

– Nie ma żadnego powodu, żeby się o czymkolwiek dowiedzieli. W ogóle nie muszą o tym wiedzieć – zapewnił Viktor, a ja odetchnęłam z ulgą.

To, co powiedział, brzmiało tak prosto. Teraz zastanawiam się, czy gdybym uważniej słuchała, mogłabym się domyślić w jego głosie czegoś jeszcze.

Dziewięćdziesiąt siedem metrów nad poziomem morza rozciąga się wspaniały widok. Przeszły przez las Stenshuvud. Dęby, buki i leszczyna, bluszcz obficie porastający ziemię i oplatający pnie drzew. Wszystko zatopione w świetle przebijającym się przez gęste, zielone liście. Wspiwały się pod górę, aż drzewa ustąpiły miejsca kamieniom, a teraz dotarły do najwyższego punktu, skąd rozpościera się rozległy widok aż po horyzont.

Petra siada na kamieniu, pociąga łyk wody z butelki.

– Szkoda, że Enzo tego nie widzi. – Ma zadyszkę.

– Kiedy wracają? – pyta Jessica.

Carlo zabrał syna do rodziny we Włoszech. Jessica nie pamięta, jak się nazywa wieś w górach, wie tylko, że leci się do Nicei, a potem jedzie się tam autem.

Według ostatniego esemesa od Enza jest tam czterdzieści stopni w cieniu. Nudzi się, babcia Francesca się zestarzała.

– Za kilka tygodni – odpowiada Petra. – Boże, jak ja za nim tęsknię.

– Nie możecie przyjechać tu razem, jak już wróci?

Petra odwraca się do niej.

– Jak długo masz zamiar tu zostać?

– Dziadka i Viktora nie będzie do końca sierpnia. Właściwie mogłabym tu zostać przez całe lato.

– Świetnie cię rozumiem. Tu jest jak w raju. Naprawdę. Ale...

Petra milknie. Robi minę w stylu „ech, nieważne”.

– Co?

– Wiesz, jestem w tej idylli od tygodnia, a już zaczynam tęsknić do ludzi. Nie zrozum mnie źle, uwielbiam tu być, tylko że... Tylko żebyś nie wpadła

w stare problemy. Żeby nie było tak, że potem będziesz się bała wrócić do domu.

– Spokojnie – odpowiada Jessica, może trochę za szybko.

Słyszysz, że mówi jak słaba aktorka, która gra marnego kłamcę.

– Chodzi mi o to, że jeśli ja, która nawet nie byłabym w stanie mieszkać na obrzeżach miasta, czuję się tak już teraz, to mam nadzieję, że ty...

– Nie ma obaw.

Jessica podnosi butelkę, pociąga długie łyki wpatrzona w wielką wodę i nieskończone niebo.

– Martwię się o ciebie, chyba rozumiesz? Twierdzisz, że znów widziałaś Jakoba i...

Jessica jęczy głośno. Nie powinna była o tym mówić. Nie chce nawet o tym myśleć.

– Nie o niego chodzi.

Nie odzywają się, Jessica się zastanawia, czy ta cisza tylko jej wydaje się napięta. Być może Petra niczego nie zauważa. Chce coś powiedzieć, coś zupełnie innego, żeby przerwać milczenie, ale w głowie ma pustkę. Prawda jest taka, że przez ostatnie dni nie myślała o niczym innym, tylko o babci i Jakobie. Na nic innego nie było w niej miejsca. A o żadnej z tych osób nie chce rozmawiać.

– Tylko uważaj na siebie – mówi Petra po długiej przerwie.

Przez kolejne tygodnie miałam wrażenie, że wszystko wróciło do normy. Dostałam drugą szansę i zamierzałam z niej skorzystać. Chciałam pójść na studia. Przestać marzyć i znaleźć sens w życiu!

Jeśli mi się udało (a rzeczywiście wcale nie wątpiałam w to, że może mi się udać, wciąż byłam naiwna i wierzyłam, iż sens życia po prostu gdzieś leży i czeka, aż się o niego potknę), epizod z ciążą nie poszedłby na marne. Przeciwnie, stały się Znakiem. Ważną Lekcją, szczególnie kosztowną.

Dopiero wtedy po raz pierwszy spotkałam wysokiego, przystojnego Amerykanina Billy'ego Wilcoxa. Czytałam w salonie (ponieważ tak łatwo było znaleźć sens życia, nie widziałam powodu, żeby się spieszyć), kiedy Viktor przyszedł do domu z nieznanym mężczyzną. Kapało im z włosów, idealnie skoordynowanym ruchem obaj odgarnęli grzywki z czoła. Ich płaszcze pachniały mokrą wełną.

– Przyszliśmy tylko po pieniądze. I po parasolkę, chociaż teraz to już bez znaczenia. Bardziej nie da się zmoknąć – powiedział Viktor, po czym niezdarnie nas sobie przedstawił. Już dawno nie przyprowadził do domu żadnego ze swych przyjaciół, wyraźnie zaznaczył, że się spieszą.

William „Billy” Wilcox przedstawił się kulejącą szwedczyzną, jego amerykański akcent, całkiem serio, sprawił, że się zarumieniłam. Trudno sobie to wyobrazić dzisiaj, kiedy świat wygląda, jak wygląda, ale wtedy USA to był kraj światowych bohaterów. Uratowali nas od nazistów, a teraz trzymali w ryzach Ruskich. Kiedy spotkałam Billy'ego, byłam, podobnie jak całe moje pokolenie, zafascynowana wszystkim, co dotyczyło wielkiego kraju na Zachodzie. Ze względu na Szwedów, którzy tak licznie tam wyemigrowali, czuliśmy z nimi specyficzne pokrewieństwo. Smutną prawdą natomiast było to, że Amerykanie niespecjalnie interesowali się nami. Dopiero za kilka lat mieliśmy po raz pierwszy spróbować coca-coli, usłyszeć

*Rock around the Clock*, nauczyć się wywijać biodrami jak Elvis i poznać smutne oczy Jamesa Deana, mieć własną modę młodzieżową i zajadać się frytkami w inspirowanych Ameryką *diners*, ale podwaliny już tam były. Kiedy wybuchł kult nastoletniości, byłam za stara, ale zdążyłam poczuć jego urok. A teraz w naszym przedpokoju stał żywy, przemoknięty Amerykanin i ścisnął mi dłoń. Miał tę szczególną szeroką szczękę, która jest właściwa chyba wyłącznie Amerykanom. Znów się zaczerwieniłam.

Zanim puścił moją dłoń, Viktor wrócił z pokoju. Był zniecierpliwiony, ale kiedy Billy zaproponował, żeby przed wyjściem zapalili, nie mógł odmówić. Zdjęli z siebie płaszcze i usiedliśmy w salonie. Zapalili po papierosie (ja wówczas jeszcze nie paliłam, w moim świecie palące kobiety uważano za wulgarne), chciałam wykorzystać sytuację najlepiej, jak się da, więc zasypałam Billy'ego pytaniami o Amerykę i o to, co myśli o Szwecji. Powiedział, że uwielbia szwedzkie domowe jedzenie, w co trudno mi było uwierzyć, i że podziwia szwedzki system z powszechnie dostępną służbą zdrowia i darmowym szkolnictwem.

Był synem dyplomaty, wcześniej nauczył się zwracać uwagę na pozytywne rzeczy. Schlebilo mi to, że Amerykanin docenił Szwecję.

Gdy już zgasili papierosy i zbierali się do wyjścia, odważyłam się w końcu spytać, co sądzi o szwedzkich dziewczętach. Viktor się zaśmiał, a ja zawstydzona spuściłam wzrok. Ale Billy zaskoczył mnie odpowiedzią.

Powiedział, że wszyscy wiedzą, że Szwedki są najpiękniejszymi kobietami na świecie, ale to je rozpieściło. Wiemy, że nie trzeba się wysilać. Nasze ubrania są przede wszystkim praktyczne, nie nosimy głębokich dekoltów ani obcisłych sukienek. Najważniejsze, że ogólnie jesteśmy śliczne. W odróżnieniu od kobiet, które spotykał w Ameryce i we Francji, Szwedki nieszczególnie interesowały się nowymi dekretami domów mody. Jest to z pewnością bardzo zdrowe, powiedział, ale odbiera nam nieco kobiecej tajemniczości, szczególnie kiedy wszystkie tak bardzo boimy się odstawać od reszty.

– Bywałam w *restaurants*, gdzie połowa kobiet nosiła takie same sukienki. Dla *peacocks* w Paryżu to wielki *shame!* Tutaj wydaje się, że to nikogo nie

*bother* – zakończył, na co ja przytaknęłam.

Mimo słabej znajomości angielskiego zrozumiałam wszystko. Ukłuła mnie świadomość, że jestem za mało tajemnicza i nieciekawa. Przeciwnie, byłam taka sama jak reszta.

Wyszli na deszcz. Obserwowałam parasol Viktora przez okno, cztery galopujące pod nim nogi. Ich śmiech docierał aż do naszego mieszkania – miałam tylko nadzieję, że nie śmieją się ze mnie.

Jak pewnie rozumiesz, zaczynamy się zbliżać do momentu, kiedy powstało nasze kłamstwo. Wydaje mi się, że Billy’emu nie było szczególnie trudno z tym żyć. Być może dlatego, że jest Amerykaninem.

Bo czyż nie to jest warunkiem amerykańskiego snu, że można przemienić swoje życie, zacząć od początku kilka razy, aż się uda, niezależnie od tego, skąd się pochodzi? My mieliśmy długie korzenie, które trzymały nas w przeszłości – szczególnie rodzina moja i Viktora z arystokratycznym nazwiskiem i tradycjami, które należało podtrzymywać.

Mimo że jego amerykańska rodzina miała więcej pieniędzy, niż nasza mogła sobie wymarzyć, Billy był pozbawiony historii, być może właśnie to sprawiło, że z taką lekkością uniósł na barkach swoją rolę w grze.

Coraz częściej myślałam o Billym Wilcoxie. Zasypywałam Viktora pytaniami o przyjaciela, odpowiadał lakonicznie, ale i tak starczyło, bym wybudowała zamek z piasku dla mnie i Billy’ego. Znowu wydawało mi się, że znalazłam sens życia w mężczyźnie.

Pod koniec wojny Billy mieszkał z rodziną we Francji, domyślasz się zatem, jak to wpłynęło na moją fantazję. Sylwetka Billy’ego na tle pięknych budynków w ruinie. Billy czytający w ciemnym mieszkaniu, jego twarz oświetla jedna drżąca świeczka. (Bo przecież musi uwielbiać książki, tak jak ja). Billy pocieszający jakiegoś zapłakanego *garçon*... No, z pewnością jesteś w stanie sobie to wyobrazić.

Zaczęłam wierzyć w przeznaczenie. Hormony mogą przemienić wszystkich w romantycznych fatalistów, poczułam wyraźnie, że nie

spotkaliśmy się przez przypadek. Jeśli ojciec Billy'ego nie byłby dyplomata, jeśli nie znalazłby się właśnie w Szwecji, jeśli Billy nie zaprzyjaźniłby się z Viktorem, jeśli w ten wieczór nie zaczęłoby padać, a mnie nie byłoby wtedy w domu... Może to przez niego straciłam dziecko. Żebyśmy się mogli pobrać! Zaczęłam zapisywać jego imię w pamiętnikach, a jeszcze częściej moje przyszłe – Viola Wilcox. Uwierzyłam wręcz (wybacz mi, będę nieco wulgarna), że z tak delikatnym i cierpliwym nauczycielem jak Billy mogłabym polubić seks.

Viktora męczyły moje dociekania, prosił, żebym przestała. Wyśmiał mnie, gdy znalazł moje zapiski z nowym nazwiskiem. Oczywiście nienawidziłam go za to, ale schowałam dumę do kieszeni i przyznałam się do zakochania. Próbowałam wymusić na nim, by zaprosił Billy'ego do domu. Albo jeszcze lepiej, żeby któregoś wieczora wziął mnie ze sobą do klubu. (Nie zgodził się). Pożyczyłam nawet płyty gramofonowe z lekcjami angielskiego, z których uczyłam się zwrotów grzecznościowych, by następnym razem móc zaimponować Billy'emu.

Byłam przekonana, że spotkałam mężczyznę mojego życia. W jakimś sensie miałam rację.

Wiele lat później, kiedy opowiadałam Billy'emu o tych tygodniach, śmiał się długo i serdecznie. Rzecz jasna, był to przyjazny śmiech, typowy głośny śmiech Billy'ego. Wtedy ja również mogłam się już z tego śmiać.

Dalej źle się czułam. Piersi wciąż miałam obrzmiałe. Pomyślałam, że pewnie minie trochę czasu, zanim ciało zorientuje się, że nie jest już w ciąży. Sama musiałam dochodzić do takich wniosków, bo nie miałam kogo o to zapytać.

W końcu poszłam do lekarza. Oczywiście strasznie się bałam, że ktoś mnie zobaczy, jak wchodzę do przychodni, dlatego przez pół godziny krążyłam po pobliskich ulicach, a potem wpadłam przez drzwi i zanim je zamknęłam, przez szparkę szukałam znajomych twarzy.

Kiedy chwilę potem wychodziłam przez te same drzwi, wiedziałam już, że nadal jestem w ciąży. Czułam się jak prawdziwa idiotka. Byłam taka pewna, że poroniłam. Faktem jest, że być może w połowie miałam rację. Kiedy



opowiedziałam lekarzowi o krwawieniu i skurczach, dowiedziałam się, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że miałam mieć bliźnięta. Moja pierwsza myśl była nieracjonalna, ale przerażająca: „A jeśli to niewłaściwy bliźniak przeżył?”.

Byłam w dwunastym tygodniu, niebawem ciąża zacznie być widoczna. Musiałam powiedzieć matce i ojcu.

Rodzice nie byli religijni. Ich religią było arystokratyczne nazwisko i świat, który reprezentowali. I tak jak inni mają Boga w niebie, tak oni mieli coś, dzięki czemu utrzymali duchową siłę, coś, co można wychwalać, gdy nic innego nie stoi po ich stronie. Jak już wspomniałam, nie mieliśmy dużo pieniędzy. Nasz status stanowiły nazwisko i reputacja, niektóre rzeczy były po prostu nie do pomyślenia.

Od początku roku utrzymywałam w tajemnicy najpierw kochanka, potem dziecko. To, co się wydarzyło, było dla mnie przerażające, dramatyczne, ale w pewnym sensie odbywało się jedynie podskórnym. Jak dotąd moja historia należała tylko do mnie. Wiedziałam, że gdy tylko wyjawię tajemnicę, nie będę miała nic do powiedzenia. Miałam osiemnaście lat, byłam niepełnoletnia, bez dochodów i wyższego wykształcenia. Najgorsze było to, że w moim wychowaniu nie było niczego, co zaopatrzyłoby mnie w zdolności potrzebne do samodzielnego życia.

Kiedy sztorm się rozszalał, wyrzucił wszystko do góry nogami. Nasza rodzina, której członkowie zawsze trzymali na wodzy wszelkie zwierzenia dotyczące uczuć, nagle była zmuszona się otworzyć. Musieliśmy to zrobić, żeby już nigdy więcej tego nie powtórzyć. Mieliśmy bardzo konkretnie zmierzyć się z czymś tak abstrakcyjnym jak miłość. A moja prywatna historia stała się częścią wspólnego interesu: kłamstwa.

Postanowiłam opowiedzieć im o wszystkim w liście, by mogli przeczytać, a potem przespać się z tym przed konfrontacją. Problem był tylko taki, że nie miałam okazji przekazać im tego listu. Cały czas byłam w domu, kilka kroków od nich. Więc zaczęłam planować ucieczkę. Na kilka dni. Miałam zostawić list na stole w jadalni, a potem zniknąć. Matka i ojciec martwiliby się. Po powrocie czuliby taką ulgę, że nic mi się nie stało, że zawartość listu zeszlaby na dalszy plan wobec dramaturgii mojego powrotu. Tak zaplanowałam.

Przez ponad tydzień spałam z listem starannie ukrytym pod materacem, próbując jednocześnie zebrać się na odwagę. Wątpiłam, czy w ogóle to nastąpi. A jeśli wbrew wszelkim przypuszczeniom jednak bym to zrobiła, wątpiłam, czy kiedykolwiek odważę się wrócić do domu.

Któregoś wieczora siedziałam z mamą i słuchałam radia, kiedy nagle ona zaczęła opowiadać o pewnym młodym przystojnym mężczyźnie, który według niej pasowałby do mnie. Staralam się zmienić temat, ale moja matka nie była osobą poddającą się po pierwszej porażce. Jej córka musiała wyjść za mąż, nie było czasu do stracenia. Znów przerażała ją wizja starej panny w rodzinie. O ile było jej wiadomo, wciąż nikt mnie nie pocałował, wnioskowałam zatem, że tak pozostanie. Słuchałam jej zażartej kampanii, podczas gdy we mnie tylko rosła panika. Mówiła o życiu, które nigdy miało mi się nie przydarzyć. To wtedy, przy najgorszej z możliwych okazji (czy nie jest tak zawsze?), usłyszałam siebie mówiącą: „Będę miała dziecko”.

Tak długo obawiałam się zdemaskowania, że teraz znalazłam w tym wyznaniu jakby pocieszenie. Sądziłam, że wyobraziłam już sobie najgorsze, co może się zdarzyć. Niestety nie. Matka najchłodniejszym tonem kazała mi iść do swojego pokoju. Drzwi zamknęła od zewnątrz. Minęło kilka godzin,

zanim ojciec wrócił do domu, zdesperowana starałam się rozróżnić słowa szeptane za drzwiami.

Gdy tylko usłyszałam klucz w zamku, rzuciłam się na łóżko i udawałam, że śpię. Ojciec wszedł do pokoju i spokojnym głosem poprosił, żebym przyszła do salonu.

Spodziewałam się łez matki, wyobraziłam sobie, jak pyta, czym sobie na to zasłużyła po tym wszystkim, co i tak już przeszła. Sądziłam, że ojciec się rozżłości, że będzie wrzeszczał, że nie tak mnie wychowywali. Zamiast tego wszystkiego zaczęli już szukać rozwiązania, a ich metodyczne kalkulacje były o wiele okrutniejsze.

Reakcje, których się obawiałam, oznaczałyby przynajmniej jakieś emocje. Prawda była dużo bardziej poniżająca. Nie byłam ich córką, lecz towarem handlowym. Mieniem, które zostało uszkodzone, inwestycją, która okazała się bezwartościowym kotem w worku. Żądali, bym podała nazwisko przyszłego ojca. Za każdą odmowę dostawałam od ojca po twarzy. Powiedzieli, że musimy się pobrać, zanim dziecko się urodzi. Wtedy wydusiłam z siebie, że ojciec jest już żonaty. Następny policzek był tak silny, że sądziłam, iż pękła mi skóra.

Ale nie płakałam.

Matka stwierdziła z rezygnacją, że jest za późno na aborcję. Jedyne, co pozostało, to wysłać mnie gdzieś za miasto, dopóki dziecko się nie urodzi. Potem miałam wrócić sama.

Żadne z nich nie zapytało, jak się to mogło stać ani jak się czuję. Wysłano mnie z powrotem do pokoju i nie pozwolono wyjść przez kilka dni. Matka zamknęła się u siebie na ponad tydzień. Prawie się nie pokazywała, dopóki nie odkryto tajemnicy Viktora. Miało się okazać, że istnieją gorsze rzeczy niż ciąża z żonatym kochankiem.

Po pożegnaniu z Petrą Jessica znosi ze strychu projektor filmowy i ekran na statywie.

Mija trochę czasu, zanim zrozumie, jak działa projektor, ale wkrótce udaje jej się założyć wąski, brązowy negatyw.

Filmy podpisane datami od połowy lat siedemdziesiątych do połowy osiemdziesiątych leżą w nieładzie w wielkim koszu, większość w żółtych bąbelkowych kopertach z logotypem Kodaka. Wybiera film podpisany „Nowo narodzona Jessica, wiosna 1976 rok”.

Światło na białym ekranie oślepia, potem pojawiają się dobrze znane drgania i czerwone paski tuż przed filmem.

W końcu widzi siebie na ekranie, kilkutygodniową. Leży na przewijaku w brązowym, pluszowym pajacyku. Małeńka rączka wyciągnięta do kamery. Rozbiegany wzrok.

Potem nagła zmiana obrazu, słoneczny, wiosenny dzień na Djurgården, mama i babcia spacerują z wózkiem nad wodą. Mama ma przedziałek pośrodku głowy, jej włosy wyglądają, jak dawno niemyte. Babcia ma na sobie sztuczne futro. Obie mrużą oczy przed słońcem za plecami kamerzysty. Wózek lekko podskakuje na żwirowej ścieżce. Rozmawiają ze sobą, a potem zaglądną do wózka, babcia wkłada rękę do środka, uśmiecha się i mówi coś do dziecka. Ale film jest niemy, jedynym dźwiękiem jest terkotanie projektora. Mijają kamerę, obraz zatrzymuje się przez moment na ich plecach.

Filmującym jest najpewniej Viktor. Każde ujęcie precyzyjnie planuje, ośmiomilimetrowe filmy mają tylko po kilka minut, ich wywołanie jest kosztowne. Kiedy babcia i mama znikają za rogiem, kamera zatrzymuje się, na następnym ujęciu widać, jak kobiety zakręcają i wracają spacerem. Jessica wyobraża sobie, jak Viktor nimi dyryguje: „Cofnijcie się, znajdę za róg i będę

stamtąd nagrywał”. Podbiega, żwir szura pod podeszwami. „Jestem gotowy, a wy? Filmuję, możecie iść! Viola, nie patrz w kamerę!” – a potem nowe ujęcie, kawiarnia w Hasselbacken. Mama trzyma Jessicę na jednej ręce, drugą beztrąsko pali papierosa. Miękkie policzki dziecka są widoczne w ultrafioletowych kłębach dymu. Jessice trudno jest powiązać to stworzonko ze sobą, wyobrazić sobie, że tamte pulchne paluszki zamieniły się w jej zgrabne dłonie pianistki, z których jest taka dumna.

Na następnym ujęciu dziadek i mama rozmawiają. Dziadek się z czegoś śmieje, Jessica żałuje, że nie słyhać z czego. Ekran znów robi się biały. Koniec filmu.

Jessica ogląda swoje wczesne dzieciństwo w kolejności chronologicznej. Pierwsze święta, raczkuje, bardziej interesuje ją papier niż prezenty, ale wśród wszystkich zabawek widać pluszaka: długą, chudą małąkę, która stanie się jej ulubieńcem, nazwie ją Pluring. Babcia siedzi w fotelu, uśmiecha się nieco skrępowana ostrym, gorącym światłem lampy, którą kamerzysta kieruje na swe ofiary. Następnie tata kąpie Jessicę w pomarańczowej misce. Ma bujne wąsy na modłę lat siedemdziesiątych. Potem urlop w Halmstadzie, wybrzeże przypomina to w okolicach Solbacki, Jessica ma dwa lata, stawia niepewne kroki po wydmie. Całą twarz ma usmarowaną lodami, nagle przystaje i pokazuje na coś w piasku. Dziadek ma na sobie czarne kąpielówki naciągnięte wysoko na brzuch. Babcia nadal jest piękna, nosi szare bikini. Viktor podrzuca Jessicę do góry, aż ta dusi się ze śmiechu. W tle mama, której piach dostał się do oka.

Wyglądają na szczęśliwą rodzinę. Najzwyczajniejszą rodzinę pod słońcem. Rodzinę, której życie składa się z weekendów, śmiechu i słonecznych urlopów.

Twarcz Jessiki jest kompletnie bez wyrazu, gdy oświała ją migający biały ekran.

Budzi się w środku nocy. W domu panuje cisza. Ciepły oddech odbija się od kołdry, którą naciągnęła na nos. Ale uczucie niebezpieczeństwa jest zimne, powoli rozchodzi się po rękach i nogach. Coś ją obudziło. Szuka po omacku

lampki, kiedy wreszcie znajduje pstryczek, pokój jawi się zbyt ostro. Jak fotografia wykonana z za mocnym fleszem. Mruga oczami, by wzrok przyzwyczaił się do światła. Nikt nie czeka na nią przy łóżku. Powinna poczuć ulgę,

*ale są tam*

jednak strach nie puszcza, uczucie zagrożenia, bycia obserwowaną nie znika,  
*za oknem, zaglądają do środka*

wstaje z łóżka, ostrożnie otwiera drzwi, wychodzi na korytarz. Chce

*jest obserwowana, stoją tam, zaglądają*

biec, ale jej nogi jakby zastygły. Chwiejnym krokiem zbliża się do schodów. Ciało jest nieposłuszne. Nogi ma tak ciężkie, że niemożliwe wydaje się wejście na pierwszy stopień.

W końcu dociera na parter, pełźnie po podłodze, brakuje jej jeszcze siły, by wstać.

Pomieszczenia Solbacki zamieniły się miejscami, powiększyły się albo skurczyły wedle własnego uznania.

Kuchnia jest wąskim korytarzem, który wydłuża się z każdą sekundą. Jessica zmusza się, by klęknąć, potem żeby wstać, powietrze jest jak piana, przez którą musi się przecisnąć. Spieszy się. Jej oprawcy są już w środku.

Rzuca się do drzwi, wypada prosto do ogrodu. Przetacza się na plecy. Słyszy, jak ktoś ciężko sapie. Coś porusza się za rogiem.

Babcia.

Na czworakach przedziera się przez trawę. Ma podartą i zabrudzoną sukienkę. Jessica rozumie

*wydostała się z grobu, żyła, gdy ją zakopano, powinnam ją ocalić*

budzi się pod wpływem własnych jęków przerażenia.

Po omacku szuka lampki, pstryka włącznikiem, mruży oczy. Okna są puste. Nikt na nią nie czeka. Zrzuca z siebie kołdrę, ściąga mokrą koszulkę, która przykleiła się do ciała i straszy, że ją udusi. Stare radio pokazuje godzinę 03:47. Nie ma sensu zasypiać. Pościel też jest mokra od potu, wstaje,

ściąga wszystko z łóżka i zanoszą do pralni. Kiedy kawa jest gotowa, wychodzi na taras otulona dwoma kocami, patrzy, jak nad jej małym światem wstaje słońce.

Myśli krążą, przekręcają się wte i wewte. Sobowtór Jakoba straszy w zielonym kombinezonie. I to, co dotychczas przeczytała w pamiętniku babci... Potrafi czytać jedynie krótkie fragmenty na raz, jest niepewna, jak ma się z nimi obchodzić. Boi się tego, co zaraz się okaże, reszty historii, którą już potrafi przewidzieć. Jednocześnie zastanawia się, czy to faktycznie ma jakieś znaczenie. Tak naprawdę.

Ależ tak. Jeśli jej podejrzenia się sprawdzą, wszystko stanie do góry nogami. Babcia, dziadek i Viktor stanowili pewny punkt w jej życiu. Zawsze tam byli, niezmienni, podczas gdy jej życie ciągle się przekształcało. Jeśli ich istnienie zbudowane jest na kłamstwie, jeśli cały ich obraz trzeba zmodyfikować, to pamiętnik babci porządnie nią wstrząśnie. Jej perspektywa już zaczęła się chwiać.

Co wiedziałam o homoseksualności? Słyszałam o starożytnych Grekach i o skandalicznym raporcie Kinseya, który ukazał się kilka lat wcześniej – wynikało z niego, że żonaci mężczyźni mieli potajemne kontakty seksualne z innymi mężczyznami. Plotkowano, że w Humlegården przechadzają się mężczyźni i kupują od żołnierzy towarzystwo na jedną noc. (Tak blisko naszego domu!) Słyszałam takie słowa jak „ciota” i „pedzio”. Augusta, starsza pani, kuzynka ojca, mieszkała z zatrudnioną damą do towarzystwa, wyciągnęłam pewnie wnioski z tego, jak moi rodzice na siebie spoglądają, mówiąc o tych dwóch kobietach. Jednak nie mogę przyznać, że w jakikolwiek sposób to rozumiałam. Nie miałam wystarczająco bujnej fantazji, by naszkicować w świadomości wyraźny obraz. „Ciota” była mi tak samo obca jak jednorożec.

Okazało się, że jeden homoseksualista mieszkał ze mną pod jednym dachem przez całe moje życie. Chodziło o Viktora. Był młody, zakochany i nieostrożny. Kiedy on i jego „przyjaciel” zostali nakryci w sytuacji, której nie chcę opisywać bez ich pozwolenia, ale która u większości ludzi rodziłaby pragnienie, by zapaść się pod ziemię, Viktor zadeklarował, że ma zamiar żyć na swój sposób.

Razem z Billym Wilcoxem.

To wielkie słowa, ale prawda jest taka, że Viktor miał równie mało do powiedzenia na temat swojego życia jak ja. Żadne z nas nie było dorosłe, żadne nie miało pracy. Wszyscy zostawili Viktora w spokoju, przekonani, że nocne eskapady go znudzą i że weźmie się w garść, więc wykorzystał sytuację.

W pewnym sensie Viktor i ja sami byliśmy sobie winni. Byliśmy całkowicie zdani na rodziców. Chciałabym móc powiedzieć Viktorowi, że go rozumiem i jak bardzo jesteśmy podobni. Ale zadarłam nosa, mając nadzieję,



że jego hańba przyćmi moją. Czułam obrzydzenie. Uważałam, że to, co zrobił (z moim Billym), było potwornym błędem, nigdy nie przeprowadziłam oczywistej analogii, nie przyszło mi do głowy, że ktoś mógłby powiedzieć to samo o mnie.

Na zawsze zapamiętam pewien późny wieczór, kiedy Viktor przyszedł do mnie i ponownie usiadł na brzegu łóżka. Odwróciłam się do niego plecami, wciąż zadzierając nosa. Kiedy zmęczyło mnie słuchanie jego wyjaśnień, syknęłam:

– Ty masz przynajmniej wybór! Możesz zmienić zdanie, być normalny! Dlaczego nie jesteś w stanie po prostu dalej być taki jak wcześniej?

Przez dłuższą chwilę było cicho, potem Viktor odparł:

– No właśnie. Taki właśnie byłem przez cały czas.

Ale ja wciąż nie rozumiałam.

No więc siedzieliśmy przy stole, ja i Viktor, nie potrafiąc spojrzeć sobie w oczy, a wraz z nami rodzina (matka, ojciec i Henrik), obcy (rodzice Billy'ego) i Billy we własnej osobie. Dzięki skrupulatnej kalkulacji matka i ojciec osiągnęli w końcu wynik, którego jeden czynnik eliminuje drugi. Jeśli nieszczęścia chodzą parami, być może jest jakiś pozytyw tego, że mają na głowie dwa problemy, a nie jeden. Nie będą musieli mnie nigdzie wysyłać.

W ciągu dnia wysprzątało i wywietrzono mieszkanie. Pokoje, na co dzień ciemne, ponieważ ojciec uważał, że należy oszczędzać elektryczność, teraz tonęły w świetle. Matka ubrała się jak na przyjęcie koktajlowe, w letnią sukienkę. Chcieli zaimponować przyszłym krewnym.

Według rodziców było to oczywiste rozwiązanie. Kulejącym angielskim (Billy zmuszony być siedzieć między jednymi a drugimi rodzicami i tłumaczyć, jeśli wyjaśnienia stawały się zbyt skomplikowane) wyłożyli, na czym polega ich misternie utkany plan. Mieliśmy zatem dwie „delikatne sprawy”, z czego jedna dotyczyła obu rodzin. Załatwienie obu za jednym zamachem wydawało się najbardziej logiczne. Miałam wyjść za mąż za Billy'ego. Dziecko miało mieć „ojca” (będą szeptać, że dziecko nie

doczekało dziewiątego miesiąca po ślubie, ale można było z tym żyć), a Billy miał mieć „żonę”. To jedyny sposób (dla wszystkich zainteresowanych, podkreślili), by zachować twarz. Bo jak by to wyglądało, gdyby się okazało, że tak wspaniały dyplomata wychował jednego z tych perwersyjnych? Po ślubie mieliśmy zamieszkać razem, ja z Billym. Co potem się będzie działo za zamkniętymi drzwiami, nie miało większego znaczenia.

To, czego moi rodzice nie wyłożyli na stół, a z czego i Viktor, i ja doskonale zdaliśmy sobie sprawę, to fakt, że to oni mieli największe korzyści w tym interesie. Możliwe, że my mieliśmy nazwisko, ale oni mieli pieniądze. Odtąd miałam nosić nazwisko Billy’ego, ale rodzina Wilcoksów miała przelewać pieniądze naszej rodzinie.

Wciąż wzdrygam się na tę myśl, a jednak nie potrafię obwiniać dorosłych siedzących wtedy wokół stołu. Byli produktami swej epoki, to na nią powinno się rzucić odpowiedzialność. Za każdym razem gdy idylliczne lata pięćdziesiąte powracają w modzie lub w nostalgicznych fotoreportażach, myślę o wszystkim, czego nie wolno było eksponować. Jak ciężko było tym ludziom (nam), którzy nie pasowali do czasów wyrównywania. Wszystkie gospodarstwa domowe miały być standaryzowane według jednego wzoru, to, co nie pasowało, miało zostać porządnie oszlifowane, odcięte, zmiecione.

Bardzo dobrze pamiętam tamten wieczór, chociaż wówczas, siedząc tam, byłam ledwo obecna. Czułam się porzucona, nie posiadałam się ze wstydu. Nie tylko ze względu na to, co zrobiłam czy z powodu poczynań Viktora i Billy’ego, ale ponieważ tak otwarcie o tym mówiono.

Chciałam się przenieść w czasie do momentu, aż będzie po wszystkim. Byłam gotowa powiedzieć i zrobić cokolwiek, oby tylko zakończyć to potworne zgromadzenie. Mam zrezygnować z reszty życia? Bardzo proszę, bylebym tylko nie musiała tu siedzieć!

Piękny, stylowy, męski Billy, ten, który miał zostać moim mężem, ale który nigdy nie będzie mój, skapitulował. Miał dwadzieścia jeden lat, był dorosły, jako jedyny z nas miał coś do powiedzenia. Jednak jego rodzice wyraźnie zaznaczyli, że nie będzie mógł liczyć na ich wsparcie, ani ekonomiczne, ani emocjonalne, jeśli nadal będzie ryzykował karierę ojca

w ten „egoistyczny” sposób.

Tylko Viktor się zdenerwował. Bo w całym planie nie było miejsca dla niego. Nie mam pojęcia, skąd miał tyle odwagi, ale powiedział, że nie zgodzi się na nic, jeśli nie załatwią mu mieszkania położonego bezpośrednio obok naszego, by on i Billy mogli żyć razem. W ostatniej sekundzie wykombinowano rolę dla Viktora. Wieczny kawaler, który przestałby jeść, gdyby jego wspaniałomyślna siostra nie karmiła go co wieczór.

Wspomnienia wydostają się na powierzchnię świadomości Jessiki.

Kiedy balansuje na stołku, by dosięgnąć puszek z fasolą na najwyższej półce spiżarni.

*Miałam pięć, sześć lat, spadłam z krzesła w kuchni w ich mieszkaniu na starym mieście, głośno płakałam, głównie po to, by ktoś zwrócił na mnie uwagę, dziadek wybiegł z pokoju gościnnego w szlafroku, w chwili gdy drzwi się otworzyły, ze środka usłyszałam głos Viktora.*

Kiedy słyszy w radiu piosenkę Niny Simone.

*W sylwestra, kiedy miałam osiem lat i pozwolono mi zaczekać do północy, dziadek i Viktor tańczyli w kuchni, pewnie myśleli, że nikt ich nie widzi. Byli pijani, przytulali się, wybuchali głośnym śmiechem. Oczywiście myślałam, że żartują. Ale i tak miałam w żołądku dziwne uczucie. Jakby to było coś, czego nie powinnam widzieć.*

Kiedy ogląda głupią komedię romantyczną.

*Nigdy nie zastanawiałam się, dlaczego dziadek i babcia się nie całują, nawet się nie dotykali. Uznałam za pewnik, że ich życie erotyczne wygasło krótko po narodzinach taty, a przynajmniej na długo, zanim ja się pojawiłam. Przez całe życie byli starzy. Nigdy nie potrafiłam sobie ich wyobrazić jako stworzeń seksualnych.*

Teraz walczy z obrazem, który wyłania się w jej głowie, ciała dziadków, jedno przy drugim, skóra luźno zwisająca z ramion jak za duży garnitur, pomarszczone usta spotykające się podczas cichych objęć w ciemności.

*Jak długo babcia żyła bez miłości? Czy kiedykolwiek ponownie uprawiała seks? Czy może, po pierwszej relacji z żonatym mężczyzną, stało się to zamkniętym rozdziałem jej życia?*

Po raz kolejny Solbacka zmienia się na jej oczach. Porcelanowa zastawa,

ślubny prezent babci i dziadka. Pierwsza wspólnie kupiona kanapa – to już nie zakochana para ją wybrała. Stoi w drzwiach do sypialni babci i dziadka, przygląda się porządnie zaścielonemu małżeńskiemu łóżku. Nic nie jest już takie samo. Nic.

Wiedziałam, że kiedy wyjdę za mąż, moje życie będzie z góry określone. Będę żoną męża, którego nigdy nie będę mogła osiąść. Wmanewrowana w małżeństwo z obcym człowiekiem, który nigdy nie pokocha mnie tak, jak zawsze chciałam być kochana. Obcy, który na domiar złego, dopóki nie stanę się pełnoletnia, będzie pełnił funkcję mojego opiekuna.

Być może zabrzmiało to dziwnie, ale przyjemnie było rzucić się w planowanie, zanurzyć się w zadaniach związanych ze ślubem. Kolejne tygodnie upływały nam na przygotowaniach. Teraz, kiedy ustalono plan, należało się spieszyć z jego wypełnieniem. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, jak moja rodzina współpracuje. W nawale zajęć (od szukania mieszkania po stroje ślubne) nie miałam zbyt wiele czasu na myślenie.

Po tych wszystkich przygotowaniach sam akt zawarcia ślubu w ratuszu trwał chwilę. Viktor, Henrik i nasi rodzice byli jedynymi obecnymi, w powietrzu czuło się napięcie, gdy Billy i ja składaliśmy sobie przysięgę. Potem przycisnął usta do moich, po raz pierwszy i ostatni, i oto byliśmy małżeństwem.

Dziś kocham tego męża, ale nie znoszę patrzeć na ślubną fotografię. („Zgubiłam” ją wiele lat później, podczas przeprowadzki do Skanii). Za każdym razem, gdy ją oglądałam, przypominał mi się moment, w którym uświadomiłam sobie, co się stało, w co się wplątaliśmy. Stoimy przed ratuszem w promieniach słońca, oczy mi łzawią od wiatru, a fotograf patrzy na nas z miną, w której paranoicznie dopatruję się podejrzeń. Przez dłuższą chwilę instruuje nas, że mamy stanąć bliżej siebie, uśmiechnąć się. Miałam wrażenie, że doskonale nas przejrzał, że miał wytrenowane oko. Jeśli nie potrafiliśmy nawet pozować do zdjęcia w wiarygodny sposób, jak mielibyśmy odgrywać tę komedię przez resztę życia?

Weszliśmy do naszego nowego domu. Billy starał się, udając rozbawienie, przenieść mnie przez próg. Nie chciałam. Już i tak wystarczająco ośmieszyliśmy tę jakże popularną instytucję zwaną małżeństwem.

Viktor był z nami. W milczeniu chodziliśmy po wielkich pokojach. Obcasy głośno stukały po drewnianej podłodze, w pustych pomieszczeniach rozlegało się echo. Najchętniej położyłabym się do łóżka, ale uświadomiłam sobie, że nie rozstrzygnęliśmy jeszcze sprawy aranżacji sypialni.

Nawet kiedy fotografię ślubną opublikowano w „Dagens Nyheter” i „Svenska Morgonbladet”, nie chciałam na nią patrzeć. Billy odłożył gazetę na stół podczas śniadania. Uśmiechnął się szeroko.

– Przynajmniej mam najpiękniejszą pannę młodą – powiedział, ale ja odgoniłam jego komplement jak natrętą muchę. Kiedy już odważyłam się podnieść wzrok znad filiżanki z kawą, nadal na mnie patrzył. – Mówię serio – zapewnił, a potem wrócił do śniadania.

Po raz pierwszy w życiu ktoś mi powiedział, że jestem piękna. Nie miałam pojęcia, jak powinnam zareagować.

– On ma rację – odezwał się Viktor siedzący między nami. Ale nie patrzył na mnie. Za to ścisnął dłoń Billy’ego i spojrzał w drugą stronę, jeszcze bardziej zawstydzony.

Byliśmy piękną parą, Billy i ja. Widzę to teraz na starych zdjęciach. Piękno marnuje się na młodych osobach, które nie mają odwagi mu zaufać. A potem jest za późno.

Dni w białym domu mijają powoli, Jessica kontynuuje swą podróż w przeszłość. Czyta pamiętnik babci i ogląda stare filmy. Lata siedemdziesiąte w migających obrazach na ekranie zamieniają się we wczesne osiemdziesiąte. Dżinsy taty nie są już rozszerzone u dołu. Wąsy są coraz gęstsze, a potem całkiem znikają. Oprawki maminych okularów mieniają się teraz tęczowo. Poduszki na ramionach mamy i babci rosną tak, że niebawem obie wyglądają jak bramkarze hokejowi. Jessica powoli się rozpoznaje, do tego, co widać na ekranie, potrafi dołożyć własne wspomnienia. Na zjeździe w parku wodnym koło Halmstadu. Miętowozielony strój i kanarkowe buty koszykarskie na zakończenie drugiej klasy. Dziurki w uszach, gdy spędzają lato na Gotlandii, różowy sprej na grzywce. Zaczyna być coraz bardziej świadoma kamery, ostrożniejsza, coraz bardziej nadąsana, gdy zbliża się do wieku cieleącego.

Na ostatnich filmach dziadkowie właśnie kupili Solbackę. Dziadek i Viktor z nagimi torsami malują fasadę, babcia opłukuje wykopane ziemniaki w kranie za domem. Jessica leży w hamaku, ma okulary słoneczne w kształcie serc z lustrzanymi szklami, które odbijają donkey kongę. Rzuca zirytowane spojrzenie do kamery, po czym wraca do gry.

Potem filmy się kończą. Jessica przejrzała wszystkie. Szukała znaków tego, co demaskuje pamiętnik babci, próbowała znaleźć ślady w spojrzeniach, w rozsadzeniu gości przy świątecznym stole, wokół urodzinowych tortów i wielkanocnych jaj. Ale wszystkie ślady są dobrze zatarte. Kiedy filmy się kończą, dziadkowie od czterdziestu lat żyją w kłamstwie.

Obraz ze snu z babcią pochowaną żywcem nie zostawia jej w spokoju.

*Musiła być strasznie samotna. Cały czas sądziłam, że to z Viktorem*



*najlepiej się rozumiemy. Że to my wiemy, jak to jest nie dzielić z kimś życia.*

Biegnie po plaży. Gdy zaczyna się męczyć, przyspiesza, muzyka w słuchawkach jest nastawiona tak głośno, że bołą ją uszy. Ale nie da się uciec od złości. Wypełnia ją jak bąbelki w butelce, którą potrząsano przez wiele dni, tygodni.

Niebawem wybuchnie.

Przez resztę dnia zajmuje się ogrodem. Zbiera truskawki, połowę zamraża, zrywa mangold i blanszuje. O zmroku, kiedy robi się chłodniej, kosi trawę.

Po pracy jest przepecona. Idzie nad morze, zanurza się w falach albo kładzie na nich, a te kołyszą jej ciało. Kiedy wychodzi z wody, jest prawie całkiem ciemno. Daleko na plaży jakaś grupa z kempingu urządziła imprezę. Właśnie rozpalili ognisko, słyszy, jak wołają do siebie pijanymi głosami.

Jessica wkłada sukienkę na mokre bikini. Wraca do domu bosy, sandały niesie w rękach.

Teraz na gołe ciało narzuca szlafrok, siada przy ladzie w kuchni i powoli wypija lampkę wina. Rozmowa, którą ma przed sobą, przeraża ją. A jednak trochę też kusi: ten jeden punkt, od którego nie ma odwrotu.

Słuchawkę podnosi Viktor. Dziadek nie znosi rozmawiać przez telefon, nie lubił tego, jeszcze zanim pogorszył mu się słuch, więc nie spodziewała się, że teraz będzie inaczej. Przez chwilę rozmawia z Viktorem o pogodzie i Solbacce, podtrzymuje rozmowę, by zyskać na czasie.

– Cieszymy się, że jest ci dobrze – mówi Viktor. – Możesz u nas mieszkać, kiedy tylko zechcesz.

W tle słycać muzykę jazzową ze starego gramofonu.

Jessica przygląda się dłoniom w słabym świetle lampy nad stołem. Dłoniom, które w jakiejś mierze tworzy DNA jakiegoś nieznanego w przebraniu kaczkę, nikt inny w rodzinie nie ma takich dłoni. Czy kiedykolwiek się dowie, co jeszcze po nim odziedziczyła?

*Wciąż mogę zmienić zdanie i o niczym nie wspominać. Ciągnąc to kłamstwo.*

– Wiem o wszystkim – mówi.

To jedyne, co jej przychodzi do głowy.

– O czym wiesz, kochanie? – dziwi się Viktor.

– O tobie i dziadku.

– Nie rozumiem. Co z nami?

– Wiem – powtarza.

Przez kabel telefoniczny, mila za milą, rozciąga się napięta cisza. Zastanawia się, czy kabel przez całą drogę jest zakopany pod ziemią. Kiedy tak naprawdę zniknęły wszystkie słupy telefoniczne? Czyżby ich rozmowa szła przez dno morza?

– Babcia opowiedziała mi o wszystkim.

Muzyka jazzowa cichnie, daleko, tam, gdzie są teraz Viktor i dziadek. Ciekawe, czy płyta się skończyła, czy może ktoś przyciszył muzykę, żeby móc słuchać rozmowy.

Łzy pojawiają się bezgłośnie i niepohamowanie, zakrywa oczy dłonią, żeby ukryć płacz, chociaż nikt jej nie widzi.

– Jessico – odzywa się dziadek, który przejął telefon.

Przez swój słaby słuch mówi za głośno. Jessica gwałtownie odsuwa słuchawkę.

– Przykro mi, że musiałaś się o tym dowiedzieć. To nie było potrzebne.

– Dobrze się bawicie? Opłakujecie trochę babcię? Czy może cieszycie się, że już nie musicie robić dobrej miny do złej gry? Teraz możecie żyć tak, jak chcecie.

Wie, że go rani, uspokaja ją to, a jednocześnie... nie.

– Ależ Jessico! – mówi dziadek.

– Już dawno mogliście mi o tym powiedzieć. Nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobiliście. To dlatego wszystko wydaje mi się takie obrzydliwe.

– Nie mów tak. Wszystkim nam było ciężko...

– Nie waż się mówić, że wszystkim było ciężko. Mieliście siebie. Babcia nie miała nikogo, kogo mogłaby kochać. Poza tatą, a...

Jessica chce powiedzieć, że tata nie chciał przyjąć tej miłości, ale jeśli on

był złym synem, to ona była potworną wnuczką. Oczywiście, cały czas wiedziała, że babcia umrze. Była stara i chora. Ale nawet jeśli babcia byłaby zdrowa jak ryba... Jeśli Jessica byłaby dobrą wnuczką, i tak by ją odwiedziła. Chciałaby móc to zrobić.

– Nie miała nikogo, rozumiecie? – krzyczy.

Słowa uderzają także w nią.

– Żyliśmy jak rodzina. Na nasz sposób – mruczy dziadek.

Ma chyba sucho w ustach, bo gdy mówi, słysząc, jakby język przyklejał mu się do podniebienia.

– Aha, to żyjcie sobie tak dalej, żyjcie w resztkę waszej małej świętej cholernej rodziny. Ale ja już nie chcę być jej częścią.

– Chyba nie mówisz poważnie.

– Wyobraź sobie, że jestem bardzo poważna. Ale dlaczego masz się tym przejmować? Wszystko było jednym wielkim kłamstwem od samego początku. Tata i ja byliśmy przecież tylko piątym kołem u wozu.

Dziadek

*nie: Billy*

milczy, gdy łyzy na jej policzkach schną. Słyszy, że Viktor szepcze. Billy odmrukuje coś w odpowiedzi, najpewniej nie usłyszał, co powiedział Viktor.

– Musisz wiedzieć, że nigdy nie myślałem o tobie inaczej niż o wnuczce. A twój tata zawsze był dla mnie synem. Nie jesteśmy idealni, ale ja i Viktor kochamy cię. Tak samo, jak kochała cię babcia. Cokolwiek się wydarzyło, akurat to nigdy nie było kłamstwem.

Mówi szybko, jakby miał z góry przemyślane, że jeśli taka rozmowa się wydarzy, musi powiedzieć właśnie te słowa.

– Ale nie jesteście tymi, za kogo was miałam. Nie możecie być. Ten dziadek i ten Viktor, których znałam, nigdy nie pozwoliliby, żeby babcia tkwiła w jakimś cholernym fikcyjnym małżeństwie. Już dawno mogliście ją uwolnić i nie musiałyby...

– Wystarczy tego melodramatycznego tonu! – wybucha Billy.

Jessica cofa się o krok, jakby on rzeczywiście przed nią stał.

– Babcia została, bo był to układ, który pasował nam wszystkim. Nie była żadną bezwolną ofiarą. I nigdy nie chciała, żeby tak ją postrzegano. Gdybyś znalazła czas, by ją lepiej poznać, wiedziałabyś o tym.

Jessica czuje dziurę w brzuchu. Trudno jej oddychać, wciska powietrze do płuc, wypycha je przez nos.

– Szlag by cię trafił – mówi i nienawidzi swojego głosu, pokonanego tonu.

– Porozmawiamy o tym, jak się uspokoisz. Ale pamiętaj, że twoja babcia została z własnej woli. Zawsze dużo prościej jest zostać w tym, co się zna, niż wyruszyć w świat. To jedyne, co ją powstrzymywało. Nigdy ja czy Viktor.

Jessica ciężko oddycha, opiera się o ladę. Nie ma już słów.

Odkłada słuchawkę.

Stare miasto to zupełnie inny świat niż Östermalm. Jakbyśmy wyprowadzili się za granicę. Olbrzymie zderzenie kulturowe. W dawnej dzielnicy domy były dyskretne, szare i zadziwiająco do siebie podobne. Tu żadna kamienica nie przypominała drugiej, były tak różnokolorowe, że tworzyły barwną mozaikę. Kamienice były lustrem ich mieszkańców. W tamtych czasach stare miasto stanowiło oddzielną miejscowość zanurzoną w delikatnym dymie z pieców węglowych. Tu rozmawiało się z nieznajomymi, tu niektóre kobiety chodziły do piekarni w szlafrokach, a dzieci biegały samopas po uliczkach. Tu szybko stawano się kimś znajomym, czy się tego chciało, czy nie.

Moja coraz bardziej widoczna ciąża sprawiła, że niełatwo było uniknąć komentarzy, ciekawskich pytań i obcych rąk chcących dotknąć brzucha. Nigdy nie rozumiałam ludzi, którzy uważają, że ciężarne kobiety to dobro publiczne, i przyznają sobie prawo do dotykania człowieka w sposób, który uznano by za kompletnie chory albo przynajmniej otwarcie napastliwy w przypadku kogoś, kto nie byłby w ciąży. Och, złoścuję się na samą myśl o tym.

W tym czasie rzadko widywałam Viktora i Billy'ego. Sądzę, że byli niezwykle zajęci faktem, że mogli razem spędzać czas w mieszkanku Viktora tuż obok naszego. Niekiedy słuchaliśmy wspólnie radia, ale Billy był mniej cierpliwy niż ja i Viktor, poza tym wciąż miał braki w języku szwedzkim, nie rozumiał też niektórych min i gestów. Kilka razy w tygodniu jadalśmy razem kolację, ale najczęściej chłopcy bawili się na mieście albo zaszywali się w kawalerce Viktora. Kiedy Billy zostawał w „naszym” mieszkaniu, spał w pokoju gościnnym, nad ranem starannie ścielił łóżko, by wyglądało na nieużywane, na wypadek gdyby ktoś niespodziewanie nas odwiedził.

Po raz pierwszy w życiu mieszkałam sama, wszystko było dla mnie nowe. Na przykład nigdy wcześniej nie zajmowałam się pieniędzmi, a teraz miałam

planować domowy budżet. Na początku mnie to przerażało. Podobnie jak wolność. Nagle mogłam jeść to, co chciałam i kiedy chciałam. Nikt nie zwracał mi uwagi, jeśli przez cały dzień siedziałam z nosem w książce. Mogłam się kłaść i wstawać, kiedy mi pasowało. Możliwości wyboru były tak nieskończone, że prawie mnie to paraliżowało. Skąd wiadomo, że wybrałam dobrze, jeśli za każdym razem odrzucałam jakiś inny wybór?

Wkrótce nauczyłam się być sama. Oczywiście czytałam, godzinami rozmawiałam z moim brzuchem, śpiewałam mu cichutko. Rozwinęliśmy relację, ja i nieznane życie we mnie, zaczęłam tęsknić do tej osóбки kryjącej się tam w środku. Owszem, bałam się, zastanawiałam się, czy będę mogła liczyć na pomoc Viktora i Billy'ego. Czyżbym w rzeczywistości miała zostać, za tą schludną rodzinną fasadą, samotną matką? Jak wytłumaczę całą tę aranżację dziecku? Co mu powiem?

Później, w połowie ciąży, poczułam się silniejsza niż kiedykolwiek dotąd, niemal niezwyknięta, zaczęłam w szale sprzątać mieszkanie. Nauczyłam się używać wszystkich nowych środków czystości, które zalały wtedy rynek, wytoczyłam wojnę drobinkom kurzu i ziarenkom piachu. Byłam opętana porządkiem i czystością. Ponieważ znasz się na psychologii, z pewnością potrafisz wyciągnąć z tego własne wnioski.

Dopiero pod koniec jesieni poznałam sąsiadkę Solveig, a uwierz mi, że starałam się uniknąć tego spotkania, jak mogłam. Można oczywiście sądzić, że nowa znajomość powinna mnie ucieszyć, ale Solveig była typem kobiety, którego jednocześnie nie znosiłam i którego się bałam. Przekorna, głośna i bez zahamowań. Poza tym przeszkadzały mi jej przesadna kobiecość, ciężkie perfumy, duże piersi i włosy śmierdzące płynem do trwałości.

Dziś z pewnością nazwano by ją grubą, podobnie jak Marilyn Monroe. Solveig była pełna, kształtna i piękna, była jedną z tych kobiet, które bez problemu wychodziły z domu w szlafroku i papilotach, niosąc na rozkołysanym biodrze krzyczącego bachora.

Ta przekorna osóбка, wiedząc, że jestem w domu, zaczęła coraz częściej przychodzić w jakiejś sprawie. Pożyczała jajka albo szklankę mąki i nagle

siedziała przy stole w kuchni, w oczywisty sposób czekając, aż ją zaproszę na kawę.

Była irytująco zuchwała, zawsze mówiła z wyższością. Głośno siorbiąc kawę, obmawiała kobiety z okolicy i ich zasmarkane bachory, śmiała się z własnych opowieści. Przez to jeszcze bardziej się jej bałam, byłam pewna, że równie zajadle będzie obmawiała i mnie za moimi plecami.

Nie potrafiłam dostrzec, że większość gadaniny Solveig płynęła z dobroduszości, a jedyną osobą, z której tak naprawdę się naśmiewała, była ona sama. Tak bardzo zamknęłam się w moich lękach. Viktor i Billy bywali nieostrożni, zachowywali się głośno, gdy nad ranem wracali do domu. A jeśli moje dziecko będzie kopią swojego prawdziwego ojca, okaże się tak bardzo różny od Billy'ego, że zacznie się o tym mówić? Przerazało mnie, że kobieta taka jak Solveig mogłaby poznać prawdę o moim małżeństwie. Nie miałam odwagi odmówić jej gościnności z obawy, że znajdę się na liście jej wrogów, byłam przekonana, że pilnie jej strzeże i wciąż wydłuża.

No tak, Solveig była potwornie irytującą kobietą. Wyjątkowo nie znosiłam, gdy trąbiła o jakichś oczywistościach, jak gdyby to były unikalne obserwacje lub oznaki, że jest osobą o niezwykle złożonej osobowości. Banalny komentarz o pogodzie podawała w taki sposób, że należało bić pokłony przed tą fontanną tryskającą wiedzą meteorologiczną. Równie banalna wypowiedź o gryzącym swetrze w jej pyszałkowatej wersji stawała się recenzją od znawcy tematu. Jakby nikt nie potrafił wyczuć w powietrzu nadchodzącej burzy. Jakby nikt nie wolał niegryzących ubrań.

Czasem dość daleko posuwałam się z wbijaniem jej szpilek, ale nawet gdy były bardzo ostre, nie miało to znaczenia. Solveig nie dostrzegała ich.

Potrafiła powiedzieć: – Jestem osobą, która uważa, że robi się drętwo, gdy jest nudno,

Wtedy odpowiadałam jej zagorzałym: – Tak, ja też.

– Jakie to szczęście, że szklanki są okrągłe, idealnie pasują do kształtu ust – filozofowała, a ja w odpowiedzi potakiwałam zamyślona.

Najbardziej irytujące były jej długie wykłady o tym, jakim genialnym

dzieckiem jest Gunnar. W moich oczach nic nie wyróżniało tego chłopca. Był jasnym blondynkiem, miał rozwodnione błękitne oczy, apatycznie połyskujące w twarzy bez wyrazu. Najbardziej fascynujące w nim było to, że w ogóle pojawił się na świecie. W jaki sposób Solveig udało się namówić umęczonego życiem ojca Gunnara do czegoś tak pracobłonnego jak zapłodnienie?

Anemiczny mąż Solveig był jakimś inżynierem, ale rzadko widywałam go obudzonego. Te kilka razy, gdy to nastąpiło, uderzyło mnie przede wszystkim to, że wyglądał na skonanego. Zdawało się, że mięśnie twarzy dawno mu zamarły. Brak wyrazu i energii był w nim doprawdy uderzający. Byli kompletnie różni, on i Solveig. Może dlatego tak do siebie pasowali. Ich małżeństwo musiało być długim solowym utworem, Solveig w świetle reflektorów i jej mąż jako wykończona, ale cierpliwa publiczność. Podczas moich kilku wizyt u Solveig, kiedy mąż był w domu, naszej rozmowie akompaniowało delikatne chrapanie. Zasypiał w każdym miejscu, gdzie dopadło go zmęczenie: na kanapie w kuchni, w fotelu w salonie, na łóżku w ubrani.

Zastanawiałam się, jak to mogło wyglądać, kiedy Solveig i on się w sobie zakochali, i czy wówczas okazywał jakiegokolwiek oznaki życia. Wyobrażałam sobie, jak Solveig niczym nieprzerwanie trajkocząca wampirzyca pomалу wysysa z niego resztki sił. Sama czułam się kompletnie wyczerpana po kilku godzinach spędzonych w jej towarzystwie. Solveig rzadko mówiła o mężu, dopiero po jego śmierci zrozumiałam, jak bardzo go kochała. Opowiadała o wszystkim innym, o sprawach, o których człowiek przy zdrowych zmysłach raczej by milczał, interpretowałam jej niechęć do wspomnienia o mężu jako brak zainteresowania jego osobą, podczas gdy w rzeczywistości był dla niej jedyną świętością.

Inną rzeczą, która przyczyniła się do mojego błędnego odczytania małżeństwa Solveig, był jej zachwyty Billym. Nie robiła nic, żeby się z tym kryć. Kiedy ich drogi skrzyżowały się w naszej kuchni, potrafiła za jego plecami wznosić rozmarzony wzrok ku górze, po jego wyjściu potrącała mnie, nazywając cholerną szczęściarą. Uważałam, że to brak szacunku,



a najgorsze było to, że Billy'emu chyba się podobała. Śmiał się z jej niemądrych komentarzy i bezwstydných komplementów.

Natrętne pytania Solveig nie tylko mnie szokowały, ale też wywoływały napięcie do granic możliwości. Chciała wiedzieć wszystko o tym, kiedy, gdzie i jak poznałam Billy'ego, co myślę o swoich teściach (którzy w tym czasie wrócili do Waszyngtonu) i czy planujemy wspólną podróż do Ameryki. Gdzie odbyła się nasza pierwsza randka? I kiedy właściwie zrozumiałam, że go kocham? Spytała, dlaczego wzięliśmy ślub cywilny, i dała mi do zrozumienia, że domyśla się, iż nie mogłabym mieć na sobie welonu.

Wierciłam się niespokojnie i odpowiadałam na jej pytania najlepiej, jak umiałam, błędząc po omacku. Powinniśmy byli lepiej się do tego przygotować – myślałam często. Zdarzało się, że nie mogłam zasnąć, rozmyślając nad tym, o co też Solveig może jeszcze zapytać i co byłoby właściwą odpowiedzią. Ale kiedy w rozbawieniu zaczęła drażnić temat „małżeńskiego łoża” i „amerykańskich zdolności”, powiedziałam stop. To pytania, na które nie odpowiadałabym, nawet gdybym potrafiła. Solveig się roześmiała i nazwała mnie pruderyjną.

A jednak coraz częściej przyłapywałam się na tym, że mam nadzieję na kolejną jej wizytę. W dziwny sposób uzależniła mnie od siebie, pewnie dlatego że nawet taki Kłapouchy jak ja nie potrafiłby w jej obecności zanurzyć się w smutkach. (W ogóle myślenie o czymkolwiek było niemożliwe). Zbliżał się poród i moje ukochane książki nie były w stanie powstrzymać we mnie lęku. Kiedy brzuch się obniżył, zaatakowałam ją pytaniami, których nigdy nie mogłam zadać matce.

Należy dodać, że za jaskrawą fasadą Solveig zaczęłam dostrzegać jakąś głębię. To, że tak desperacko potrzebowała towarzystwa, miało swe przyczyny. Zachowam te szczegóły dla siebie, w końcu opowiadam tu swoją historię, ale fakt jest taki, że polubiłam ją, gdy zaczęłam jej współczuć. A kiedy zaczęły się skurcze, pragnęłam, żeby to Solveig pojechała ze mną do szpitala. (Ale nie poprosiłam o to).

Jessica łapie się na tym, że kiedy babcia pisze o oczekiwaniu na dziecko, głaska się po brzuchu. Ich życiorysy łączą się w jeden. Babcia, która niebawem urodzi tatę Jessiki. Jessica, która nigdy nie urodziła dziecka. Gdyby nie poroniła, miałyby teraz pięcioletnią córkę albo syna. Czy byłaby bardziej stabilna? Szczęśliwsza? A może w ogóle by temu nie podołała?

Żal po babci urasta czasem do takich rozmiarów, że ma wrażenie, iż się rozsypie. Jakby pamiętnik rozpuszczał ich ustalone role. Babcia jest kimś więcej niż tylko babcią. Ona jest kimś więcej niż tylko wnuczką.

Jessica mówi czasem do niej coś na głos, ale niczego nie czuje, nikt nie słucha, tylko jej głos wisi w powietrzu. Zawstydzą się i zaczyna szukać czegoś do umycia, podlania albo wytarcia.

Kiedy urodził się Twój tata, był w moich oczach uderzająco podobny do swojego biologicznego ojca. Ale nikt tego nie zauważał, gdy Billy brał go w swoje wielkie, silne ramiona. Nazwaliśmy go Robert po ojcu Billy'ego, który z kolei dostał imię po swoim pradziadku.

Nie rzuciłam się zaraz na Roberta, jak się spodziewałam (a wyobrażałam sobie, że tak powinnam zrobić). Bałam się, że będę kopią mojej matki, egoistyczna i zdystansowana. Fakt, że nie poczułam od razu instynktu macierzyńskiego, wskazywał na to, że moje obawy się spełnią. Nowe, małe stworzenie wydało mi się nierzeczywiste i obce. Przed chwilą znajdował się w moim brzuchu, czułam między nami więź, jakby pępowina przekazywała emocje i prymitywne myśli. Teraz, kiedy był tu, na wolności, musieliśmy na nowo się poznać.

Dopiero po powrocie do domu zdenerwowanie ustąpiło. Zaczęłam wierzyć, że jestem zdolna do zajęcia się przynajmniej praktyczną stroną macierzyństwa. Nasz cichy, pusty dom odmienił się, nagle wypełniło go życie. Odwiedzali nas matka z ojcem. Rodzice Billy'ego zdążyli raz przyjść, zanim odpłynęli do Ameryki. Solveig zjawiała się z naręczem ubrań, z których Gunnar wyrósł, i sfatygowanych zabawek. Odzywały się moje dawne koleżanki ze szkoły po tym, jak przeczytały ogłoszenie w gazecie. Ale przede wszystkim Viktor i Billy byli w domu każdego wieczora. Nigdy nie poradziłabym sobie w pierwszym okresie bez ich pomocy, przyjął ją z wdzięcznością.

W końcu się stało. Kiedy już przestałam nerwowo czekać na instynktowną, bezpośrednią miłość matczyną, pojawiła się. Dotąd nigdy nie rozumiałam, na czym polega zagadka, że emocje znajdują się w sercu. Jeśli już, to raczej pojawiały się w brzuchu. Ale teraz to pojęłam, poczułam, jak serce bije mi mocniej z dumy. To w sercu pojawiały się wszystkie obawy, gdy tylko

zostawałam z Robertem sam na sam.

Ostrożnie dotykałam mięciutkich ciemiączek, drżałam na myśl o tym, jakie kruche jest to życie, za które odpowiadam. Oczami wyobraźni widziałam, jak go upuszczam na podłogę. Kiedy gotowałam jedzenie, wyobrażałam sobie, jak garnek spada, a wrząca woda parzy go albo w jakiś niemożliwy sposób strącam nóż, który frunie w powietrzu i przebija dziecko.

Kochałam Roberta bardziej, niż kochałam kogokolwiek i cokolwiek w życiu. Po prostu nie istniało nic podobnego. Kochałam go tak bardzo, że aż mnie to przerażało, obiecałam sobie, że będę go wspierać we wszystkim, co zechce robić, i że zawsze będę go bezwarunkowo kochać.

Nie mogłam się nim nacieszyć. Kiedy nie spał, trzymałam jego ciało blisko mojego, gdy zasnął, nerwowo sprawdzałam, czy oddycha, i tęskniłam do chwili, aż się obudzi. Nie mogłam się na niego napatrzeć, nawąchać jego szyi. Robert był nadzwyczaj ślicznym dzieckiem (stawałam się niemal tak zadufana w sobie jak Solveig, z tą różnicą, że ja miałam ku temu powody), a kiedy skończył pół roku, dobrze wiedział, jak zauroczyć otoczenie. Dołeczki, gruchający śmiech... Z zapartym tchem obserwowałam każdy etap w jego rozwoju, rysy twarzy i osobowość, która zaczęła się tworzyć.

Wspominanie tamtego okresu jest słodko-gorzkie (używam określenia, którego tak naprawdę nie znoszę, ale jako jedyne może ono w miarę dobrze oddać moje uczucie). Miałam wrażenie, jakby Robert był częścią mnie, jakby wszystkie pozytywne cechy zostały ze mnie wydestylowane i przelane w nowe, idealne stworzenie. Nowa więź między nami była tak silna, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, że cokolwiek może ją zerwać.

Dziś Twój tata jest mi obcy. Z czasem stał się osobą, którą coraz mniej rozumiałam.

Podczas przewrotu sześćdziesiątego ósmego on i Gunnar byli już młodzieńcami, konserwatywnymi studentami, którzy wstydzili się naiwnych i „nienaturalnych” poglądów swoich rówieśników, według nich te poglądy miały doprowadzić do upadku społeczeństwa. Ironiczne w tym wszystkim jest to, że zarówno ja, jak i Robert urodziliśmy się nie w tym czasie: mój syn

był właśnie tym rodzajem dziecka, którego pragnęli moi rodzice. Natomiast ja i Viktor mielibyśmy zupełnie inne możliwości, jeśli wszystko to, co wydarzyło się w naszej młodości, przeniesiono by na koniec lat sześćdziesiątych, kiedy po raz pierwszy głośno podważono stare konwencje.

Być może była w tym nie tyle ironia losu, ile czysta logika; bycie konserwatywnym stanowiło dla Twojego taty sposób na bunt wobec dzieciństwa.

Ale nie wiedziałam tego wtedy. Byłam młodą matką, która po raz pierwszy w życiu mogła dawać i dostawać bezwarunkową miłość, o jakiej wcześniej nawet nie śniłam.

– Boże, jaki los – mówi Petra.

– A jeszcze nie doczytałam do końca.

Przez chwilę milczą. Petra nigdy nie wydawała się tak odległa. Jessica słyszy w tle szokująco dojrzały głos Enza i cichy głos dziewczyny. Stukanie sztućcami. Jakiś hip-hop. Świat Petry jest pełen życia i ruchu.

– Piję wino w samotności – odzywa się Jessica.

– E tam. Jestem przecież z tobą – pociesza Petra.

Wtedy Jessica wybucha płaczem. Rzewnym płaczem. Tykająca bomba, którą nosiła w sobie, w końcu eksploduje, cieknie jej z nosa, głośno chlipie.

– Zamierzałam ci powiedzieć wcześniej. Tylko że... To miała być tajemnica między mną a babcią i chciałam się najpierw przekonać, co sama o tym myślę, zanim zacznę to opowiadać. Ale nie dam rady, nie wiem, co ze sobą zrobić, nie wiem nic. Nie potrafię już jasno myśleć, musisz mi pomóc.

Wyciera łzy wierzchem dłoni. Głośno pociąga nosem. Nie chce myśleć o tym, jak to brzmi w telefonie Petry.

– Jeśli powtórzą się jeszcze takie wieczory, musisz mnie wziąć do szpitala – mówi Jessica.

– Nie sądzę, żeby koniecznie trzeba było się tym martwić.

– Nie bądź tego taka pewna. „Piję wino” to tylko upiększający opis, tak naprawdę leżę pod kranikiem całego kartonu.

Jessica próbuje się zaśmiać.

– Co jest problemem? – pyta Petra.

– Poza tym wszystkim?

Jessica zapala papierosa, stojąc pod okapem wentylacyjnym. Huczy jak samolot. Potrzebuje pomocy właśnie w związku z tym pytaniem. Co tak

naprawdę jest problemem?

– Powiedziałałam Billy’emu i Viktorowi, że mają się wypchać – mówi.

– Okej.

Głos Petry brzmi, jakby czekała na ciąg dalszy.

– Wiem, że powinnam popatrzeć na to z ich perspektywy. Dla nich to też nie było łatwe, oni też sami nie wybrali tej sytuacji, bla, bla, bla...

– Ale?

– Ale powinni mi już dawno o tym powiedzieć.

– Może nie zależało to tylko od nich. Babcia też dopiero teraz ci o tym mówi.

– Wiem. Ale nie mogę się złościć na babcię.

Przeponą Jessiki znów wstrząsa płacz, jednak się powstrzymuje.

– Za bardzo rozpoznaję w jej życiu siebie. Trudno to wytłumaczyć. Jakbym była bliżej niej teraz, niż kiedy żyła. Jakbym widziała człowieka. Rozumiesz czy tylko majaczą?

– Nie, świetnie rozumiem. Ale w jaki sposób jesteście do siebie podobne?

Jessica znów pociąga nosem. Gładzi chłodną, marmurową powierzchnię kuchennego blatu.

– Pamiętasz, jak w noc świętojańską rozmawialiśmy o tym, że być może kobiety z pokolenia babci były takie same jak my?

– No.

– Nie wiem, czy w to wierzę. Być może dzisiaj babcia byłaby zupełnie inną osobą, gdyby to wszystko się nie zdarzyło. Coś wyrzuciło ją z orbity i skazało na rolę, która nie była jej przeznaczona. A ja... Może i mnie się to przytrafiło. Po Jakobie.

– Macie różne punkty wyjścia – mówi Petra. – Ona miała zupełnie inny wpływ na swoją sytuację, a mówiąc „zupełnie inny”, mam na myśli „żaden”.

– Nie wybrałam poznania Jakoba.

– Nie, słabo byłoby, gdybyś tak wybrała. Ale to niebezpieczne, jeśli zaczniesz wierzyć, że jesteś swoją babcią. Ty możesz wybrać, jak to, co ci się

przytrafiło, wpłynie na twoje życie. To różnica.

Jessica słyszy, jak Enzo woła mamę. Ma nadzieję, że Enzo nie myśli o niej tak, jak ona zazwyczaj myślała o Solveig: samolubna złodziejka czasu.

– Nie jestem w stanie uciec od Jakoba! Naprawdę wydaje mi się, że go widziałam wtedy na stacji benzynowej. Petro, byłam pewna, że to on. Jest jak duch, od którego nie mogę się opędzić, nieważne gdzie przebywam. Jestem tu otoczona duchami.

– Jessico. Sądzę, że powinnaś wrócić do domu. Nabrać do tego trochę dystansu.

Dziwnie jest słyszeć, jak Petra mówi „wrócić do domu”, mając na myśli Sztokholm.

– A ty nie możesz tu przyjechać? – pyta.

– Carlo zabiera Enza na przyszły tydzień. Mogę przyjechać w niedzielę wieczorem. Wytrzymasz?

– Jasne, że wytrzymam. Dziś jestem po prostu trochę zmęczona. Być może brzmi to gorzej, niż jest w rzeczywistości.

Stara się mówić z pewnością siebie. Kończą rozmowę. Jessica gasi papierosa, który nietknięty po pierwszym zaciągnięciu zamienił się w słupek z popiołu.

Zapala nowego.



Dużo wyraźniej dostrzegałam upływ czasu, widząc, jak Robert rośnie. Minęło jego pierwszego Boże Narodzenie, a zaraz potem skończył roczek. I kolejne urodziny, kolejne Wigilie, a wszystko dokumentowane przez kamerę Viktora. Robert zaczął mówić, teraz miał jeszcze jeden sposób na to, by roztopić moje serce w małą kałużę uwielbienia.

Staliśmy się rodziną, podczas gdy lata pięćdziesiąte pędziły obok nas. Sztokholm zamienił się w plac budowy, pełen rowów poprzecinanych rozchybotanymi tymczasowymi kładkami. Architekci miejscy przeforsowali ustawę Lex Norrmalm, która dawała im prawo do przepędzenia właścicieli butików i burzenia kamienic w centrum miasta. Hałaśliwe koparki, podziemne eksplozje i wbijanie pali słychać było i czuć aż w naszym mieszkaniu.

Większość mieszkańców, z Viktorem i Billym włącznie, była przeciwna tej modernizacji, ale ja nie widziałam powodu do nostalgii, pod warunkiem że zmiany nie dotyczyły starego miasta. W środku hysterii wszyscy zdawali się zapominać o tym, że budynki w dzielnicy Klara i tak były w ruinie, popękane i niebezpieczne, oraz że drogi nie nadawały się do chodzenia. Dopiero gdy zrozumiałam, jak wiele z duszy miasta przepadło, żałowałam, że nie przyłączyłam się do protestu.

Dziś lata pięćdziesiąte wydają się idyllą, ale były to ciężkie czasy. Często myślałam o tym, że Robert nigdy nie doświadczy lat sprzed bomby atomowej. Zimna wojna wisiała cały czas w powietrzu jak głucho brzęcząca groźba, żar, który w każdej chwili może zapłonąć i pochłonąć świat. Francja, Wielka Brytania, USA i Związek Radziecki miały bombę wodorową, jeszcze bardziej przerażającą niż te, które zniszczyły Hiroszimę i Nagasaki, ze strachem czytałam o próbnym wybuchach na pustyni w Nevadzie, o sowieckich czołgach w Europie Wschodniej i atomowych łodziach

podwodnych krążących pod lodami bieguna północnego. Pod jednym z miejskich skwerów budowano gigantyczny schron, który miał powstrzymać promieniowanie na wypadek ataku bronią atomową. Zdawało się, że świat jest skazany na zagładę.

W Sztokholmie natomiast rosła przemoc, wybuchały zamieszki, panoszyły się szajki młodocianych, pijaczkowie rozzłoszczeni wprowadzeniem prohibicji i dynamitardzi wysadzający sejfy. Kiedy znaleziono brązową walizkę z pięciolatką, którą wcześniej zgwałcono, zaczęłam się zastanawiać, dokąd zmierza świat.

Opowiadam Ci o tym, ponieważ moim obowiązkiem jest wyjaśnić, że ludzie nie znajdują się w nieuniknionym ruchu ku totalnej ciemności. Ciemność zawsze istniała. Chodzi o to, żeby się umieć z nią obchodzić.

Wtedy tego nie potrafiłam, z pewnością dlatego, że żyłam w określony sposób. Nigdy nie doświadczyłam tych lat pięćdziesiątych, o których wielu moich rówieśników dziś opowiada: długich nocy w klubach i regularnych wizyt w kinie. Epoki wiary w przyszłość opartej na sukcesach techniki, kwitnącej ekonomii i nieskończonych możliwościach. Mój świat kurczył się do rozmiarów kruchej bańki, którą musiałam za wszelką cenę ocalić. Podczas gdy świat poza moim najbliższym otoczeniem stawał się coraz bardziej obcy i przerażający, żyłam w ciągłym strachu, że tajemnica moja, Billy'ego i Viktora wyjdzie na jaw.

W okresie dzieciństwa Roberta homoseksualność stała się gorącym tematem. Jeśli sądzisz, że nagłówki dzisiejszych gazet są kontrowersyjne, powinnaś zobaczyć tamte. Wykrzykiwały o homoorgiach, homoseksualnych stadach, przesłuchaniach i homobagnie. Homoseksualiści byli oskarżani o zastraszanie innych, czczenie szatana i handel niewolnikami. Homoseksualność właśnie przestała być przestępstwem, za to zaczęto uważać, że chodzi o wrodzoną chorobę. Rozprzestrzenił się strach, że homoseksualiści będą wabić do siebie dzieci. Reprezentantka Szwedzkich Matek, stowarzyszenia założonego w celu wytępienia tej potwornej epidemii, próbowała mnie namówić do przystąpienia do organizacji, odmówiłam po dłuższej chwili zastanowienia: bałam się, że moje „nie, dziękuję” wystarczy,

by zaczęła podejrzewać mnie i moją rodzinę.

Viktor i Billy oczywiście rozmawiali o tym, co się działo, nierzadko mocno rozbawieni. Zdawali się tym nie przejmować, być może dlatego, że podyktowana paniką pisanina była tak przesadzona, że nie dało się jej brać na poważnie. Natomiast ja się pociłam, słysząc fragmenty rozmów gospodyń w kolejce w sklepie, bałam się, że lada dzień wygnają mnie z domu, strasząc ostrzami grabi połyskującymi w płomieniach pochodni. To w tym czasie rozwinął się we mnie potworny lęk przed ciemnością, swego rodzaju suma wszystkiego, czego się obawiałam w świetle dziennym. W niektóre noce pukałam do Viktora, prosząc, żeby on i Billy do mnie przyszli. Billy zaczął awansować w banku, musiał wcześniej wstawać, ale i tak całymi nocami rozmawiał z nami, popijając herbatę.

Jak wiesz, ja również miałam uprzedzenia, ale te oddalały się, w miarę jak słyszałam coraz więcej „perwersyjnych” rzeczy. Kiedy Robert dorósł na tyle, że mógł czasem nocować u moich rodziców (którzy nagle ochoczo wcielili się w rolę dziadków), Billy i Viktor zaczęli zapraszać do domu przyjaciół i organizować przyjęcia. Te barwne postaci stały się wkrótce także moimi przyjaciółmi. Zostałam dopuszczona do świata, który cały czas istniał, niewidoczny dla moich nieobeznanych oczu. Nikogo z nich nie dziwiła nasza rodzinna fasada, potem zrozumiałam, że relacje, które u nas panowały, nie były takie wyjątkowe.

W tamtym czasie podwójne życie było prostsze, niż to sobie pewnie wyobrażasz; przestrzenie kobiet i mężczyzn były wciąż od siebie tak rozdzielone, że łatwo unikało się nieporozumień. Ale niektóre z żon tych mężczyzn były całkowicie wtajemniczone, wiele z nich pojawiało się u nas od czasu do czasu. Mimo że tak dużo mówiło się i pisało o homoseksualności, a może właśnie dlatego, że przekazywany wszędzie obraz był tak skrzywiony, większość „normalnych” osób była zadziwiająco nieświadoma, jeśli chodzi o to, kim byli ich sąsiedzi, krewni czy przyjaciele.

Szkoda, że Cię tam nie było, Jessico. Podobałoby Ci się. Kiedy Viktor i Billy byli w humorze, organizowali wytworne kolacje, zapraszali mężczyzn

we frakach i przesadnie eleganckich sukniach galowych. Był to spektakl, teatr, z wyraźnym podziałem na cioty i mężczyzn. Nie potrafię analizować tego inaczej niż na podstawie własnych wspomnień, być może nie mam racji, ale według mnie wyglądało na to, że wielu z nich korzystało z męskich i żeńskich atrybutów, ponieważ oni też nie umieli wyobrazić sobie dwóch „męskich” mężczyzn razem. Tak pryncypialny był obraz płci w owych czasach. Natomiast brakowało jednego, a początkowo było to dla mnie równie szokujące: wyraźnych podziałów klasowych. Do naszego domu schodzili się napuszeni geje spod kandelabrow na Östermalme w towarzystwie chłopców z robotniczego Södermalmu. Ich romanse były przelotne, niezdolne przetrwać w świetle dnia, za to intensywne.

Używali serdecznego, lecz surowego żargonu, więc milczałam na końcu stołu, rumieniąc się i gapiąc jak kretyńka. To oczywiście jeszcze bardziej rozpałało w nich płomień. Sądzę, że to szczególne poczucie humoru było obroną przed światem na zewnątrz tego bezpiecznego azylu. Głęboko pod powierzchnią dowcipnych replik słyhać było nutkę smutku, z którą się identyfikowałam. Jechaliśmy na tym samym wozie, wreszcie to zauważyłam. Świat nie chciał takich jak my. Jedyne, co nam zostało, to śmiać mu się prosto w nos.

Wielką różnicą między mną a nimi były oczywiście sprawy erotyczne. To znaczy: oni je mieli, a ja nie. Z każdym kolejnym rokiem przestawałam myśleć o tym rodzaju miłości. W moim życiu nie istniało nic, co mogłoby zaspokoić te uczucia, więc pozwoliłam, by zwiędły i umarły w miarę niezauważenie. Teraz miałam inny dom, nawet jeśli wysoce niekonwencjonalny. Te wytworne kolacje były czymś na kształt dziwacznych zjazdów rodzinnych, z tym że członków rodziny wybraliśmy sami.

Kontrast między naszym tajemnym życiem a codzienną krzątaniną, którą okazywałam przed resztą świata, był tak ostry, że przyprawiał o zawroty głowy. Zbliżyłam się do Solveig. Zdarzało się, że miałam ochotę powiedzieć jej prawdę, ale nie wiedziałam, jak zareaguje. Za każdym razem porzucałam jednak pomysł „wyjścia z szafy”. Zdecydowałam, że takie ryzyko się nie

opłaca. Szczególnie ze względu na przyjaźń Roberta i Gunnara. Gunnar był starszy o dwa lata, Robert podziwiał go niczym idola. Wymyślili nawet własny język, nazwany przez nich świńskim niemieckim – niezrozumiałą paplaniną, którą w tajemniczy sposób potrafili się komunikować.

Zawsze bardzo starannie skrywaliśmy nasze sekrety przed Robertem, choć tak wiele razy słyszałam, że dzieci rozumieją więcej, niż nam się wydaje. Dlatego bałam się, że jego niewidzialne antenki wyłapią sygnały, których my nie byliśmy świadomi. Oczami wyobraźni widziałam, jak bawi się z Gunnarem w kuchni u Solveig i nagle mówi coś o swoim tacie i wujku, co budzi podejrzenia.

Trudno jest być czyimś bliskim przyjacielem, kiedy trzeba ukrywać tak wielkie i istotne szczegóły z życia, wymyślać historię, zamiast mówić prawdę. Wciąż miałam się na baczności. Czasem zdawało mi się, że słyszę sarkazm w komentarzach Solveig na temat Billy'ego lub pułapkę w jej, na oko niewinnym, pytaniu.

Jessicę bolą dłonie, jutro będzie miała na nich pęcherze, powinna była od początku nosić rękawice ogrodowe. A jednak dalej maniakalnie szuka mleczy. Trawnik wokół rabatek zamienił się w pole bitwy. To, co po sobie zostawia, przypomina kratery po bombach. Uparte chwasty mają korzenie, które chyba rozrastają się pod całą Skanią. Nigdy nie wygra tej wojny, to wendeta skazana na niepowodzenie, ale dalej dziobie w ziemi, przetrząsa garści ziemi, ciągnie i wrywa korzenie. Stos pokonanych chwastów rośnie w błękitnym plastikowym koszyku, który ciągnie za sobą przez strefę wojny. Każdy nowy trup napędza ją poczuciem zaspokożenia. Skupia się na pracy, jakby medytowała. Przez jakiś czas pomaga jej to nie myśleć o niczym innym.

Jessica ociera pot z czoła. Napisanie kolumny do gazety zajęło jej cały ranek i pół przedpołudnia. Siedziała w hostelu Sjöbacka, na swoim miejscu w bibliotece, wpatrując się w tekst przesuwaną się po ekranie, i czuła narastającą beznadziejność.

Wszystkie te problemy. Kim ona jest, żeby dawać rady innym? Już wcześniej zadawała sobie to pytanie, dostrzegała ironię w tym, że ona sama ma wszystko, tylko nie poukładane życie prywatne. Teraz pytanie wgrzyzło się głębiej, całkowicie ją zablokowało. Zarabia co najmniej trzy razy tyle co przeciętna Szwedka – kobiety z porządnymi zawodami! – ale na czym? Na wyrafinowanych odgadnięciach, zamaszystych frazesach, najbardziej ogólnych odpowiedziach na najintymniejsze problemy ludzi. Wysyła swoje teksty w bezosobowy eter i nigdy się nie dowie, jak poszło czytelnikom.

Jessica mocno dziobie w ziemi, żłobi trawnik szerokim łukiem wokół sporego zbioru mleczy. Historia z pamiętnika wciąż jest opowieścią o babci młodszej od niej, a ta już tyle przeżyła. Babcia utknęła w sytuacji, która wydaje się średniowieczna, staromodna, a jednak oddalona tylko o dwa

pokolenia. Dostała takie życie, jakie dostała, i jedyne, co mogła zrobić, to przeżyć je najlepiej, jak potrafiła. Dziś wciąż są ludzie żyjący w zniewoleniu. Ofiary przemocy, osoby, których nie stać na rozwód, albo tacy, którzy się boją, że tracą prawa do swoich dzieci, jeśli nie będą posłuszni. Ale ci stanowią jedynie promil korespondentów Jessiki. Większość należy jak ona do nowoczesnej klasy średniej, nikt nie może ich do niczego zmuszać.

Jessica wstaje, nogi jej zeszywniały. Prostuje plecy, próbuje rozbudzić ścierpnięte dłonie. Nie czuje ramion, jutro będą bolały.

Idzie do łazienki, żeby się umyć, zanim pojedzie po zakupy. Ściąga ubranie. Twarz w lustrze jest ubrudzona ziemią i potem. Oczy jej płoną, włosy sterczą na wszystkie strony. Za paznokciami ma mnóstwo ziemi, kłykieć na prawej dłoni lekko krwawi. Przygląda się swojemu nagiemu ciału, jakby należało do kogoś innego. Po raz pierwszy od dawna podoba jej się.

Jessica podłącza iPoda do stereo w samochodzie, siedząc za kierownicą podryguje do starego kawałka Bruce'a Springsteena. Przypomina jej się pierwsza szkolna dyskoteka i to mroczne łaskotanie, które tekst *This Gun's for Hire* wywoływał w niej przez kilka kolejnych lat.

Kiedy skręca do Hammenhög, dostrzega na chodniku mężczyznę w zielonym kombinezonie. Jej serce podskakuje w dobrze znany sposób. Jakby ktoś wstrzyknął w nie adrenalinę. Ale to nie Jakob, ten mężczyzna nie jest nawet podobny. Tylko ten sam zielony kombinezon.

Cholerny kombinezon. Przygląda mu się we wstecznym lusterku, na plecach rozpoznaje logotyp sklepu ogrodniczego, który leży – odruchowo rozgląda się wokół, a jej serce spawa dwie myśli w jeden łańcuch – po drugiej stronie drogi.

Jej serce próbuje w desperacji ją powstrzymać. Myśli pędzą przez głowę jak galopujące konie o ciężkich kopytach. Ciało napina się niczym w postawie obronnej. Gotowe do ucieczki. *Nie rób tego, nie rób tego* – to jedyne złożony przekaz końskich kopyt. A jednak zajeżdża na parking sklepu ogrodniczego. A jednak wysiada z samochodu, zamyka go pilotem przez ramię, idzie przez parking.

Jessica z daleka dostrzega Jakoba. Nie ma wątpliwości. Mimo że tyle razy wcześniej wydawało jej się, że go widzi, fakt, że widzi go naprawdę, jest czymś zupełnie innym.

Jakob na czworakach przywiązuje łodyżki pomidorów do bambusowych tyczek. Jego policzki są wklęsłe, twarz kanciasta. Dzięki krótko ściętym włosom łatwo wyobrazić sobie kształt czaszki. Między oczami ma zmarszczkę, która pogłębiła się teraz, gdy skupia się nad glebą pod grubymi rękawicami. Tym, co ją powstrzymuje, jest nierówna powierzchnia pionowej blizny, która biegnie od jednego oka,

*na stacji widziałam go tylko w profilu*

w dół policzka. Jakob wygląda strasznie. Gdyby spotkała go późnym wieczorem na ulicy, przeszłaby na drugą stronę. Ale to jest Jakob – mówi sobie. Coś w nim przyciąga ją w podobny sposób jak zawartość pamiętnika babci. Nie chce wiedzieć, lecz musi się dowiedzieć. Nie ma odwagi, nie ma odwagi nie wiedzieć.

Prawie sześć lat prowadzi do tego momentu.

Jej nogi zwiększają tempo, głośno stukają, podczas marszu spływają z niej wszystkie emocje.

On słyszy jej kroki, podnosi wzrok, gdy jest w połowie drogi.

Widzi ją.



– Jakob! – woła Jessica.

On rozgląda się, odgrywa zdeorientowanego. Ona powtarza jego imię, już jest przy nim. Nagle nie wie, co powiedzieć. Co się mówi w takiej sytuacji? „Dawno się nie widzieliśmy, kopę lat?”

Milczy, a on powoli wstaje, zdejmując rękawice.

– Czy mogę w czymś pomóc? – odzywa się ostrożnie, jakby Jessica była wściekłym psem, którego nie należy drażnić.

– Może byś zaczął od wyjaśnienia mi, gdzie się podziewałeś przez ostatnie pięć, sześć lat – wyrzuca z siebie. Wpadła w furję.

Nie potrzebuje instrukcji do tego, co ma powiedzieć. To nie ona powinna się wstydzić.

On znów ma rozbiegany wzrok. Jego dezorientacja jest tym razem wiarygodniejsza. Jej przekonanie nieco się chwieje. Czy to naprawdę Jakob?

*to Jakob!*

– Zdaje się, że pani mnie z kimś pomyliła – odzywa się.

Nie rozpoznaje jego dialektu. Ale głos jest ten sam, nie może go zmienić, jak mogłaby się pomylić?

– Przestań! – krzyczy.

– Przykro mi, nie wydaje mi się, żebyśmy się znali – odpowiada.

– Więc próbujesz mi wmówić, że nie jesteś Jakobem? – Przesłupuje z nogi na nogę.

Wiele razy wyobrażała sobie tę scenę, ale nigdy tak.

On potrząsa głową.

– Chcesz powiedzieć, że mnie nie poznajesz? Widziałam, że mnie poznałeś.

– Tylko z telewizji. – Jest już nieco zniecierpliwiony.

Ona rozrzuca ręce w geście rezygnacji.

– Co się z tobą dzieje? Jak możesz zaprzeczać, że to ty. Jak możesz... Nie jesteś mi winien nawet...

Znów robi ten gest rękami, nie potrafi skończyć zdania.

– To przecież ja! – wybucha Jessica.

Jej głos jest ostry, histeryczny.

On zaczyna szukać czegoś w kieszeniach zielonego kombinezonu, wyławia zniszczony skórzany portfel.

– To jest mój dowód osobisty. Nazywam się Erik Andersson i zdecydowanie nie przypominam sobie, żebyśmy się kiedykolwiek spotkali. Jestem przekonany, że zapamiętałbym panią. Jest pani zadowolona? Jeśli tak, byłbym wdzięczny, gdyby pozwoliła mi pani wrócić do pracy.

Ona wpatruje się w dowód osobisty. Na zdjęciu wygląda młodo, twarz bez wyrazu skierowana w stronę obiektywu. Erik Andersson urodził się w 1972 roku, dwa lata przed Jakobem.

– Nie wiem, co powiedzieć – mruczy Jessica.

– Nie ma sprawy – odpowiada Erik. – Najwidoczniej ten Jakob to ktoś, kto nieźle panią kiedyś wkurzył. Ale mogę panią zapewnić, że nie ja nim jestem.

– Jest pan taki podobny. Ma pan nawet ten sam głos – próbuje go przekonać, a także siebie samą, że nie jest wariatką, że każdemu mogło się to zdarzyć.

– Spokojnie. Ale teraz muszę wrócić do pracy.

Kłęka przed sadzonkami pomidorów.

– Jest mi naprawdę przykro – rzuca Jessica.

Odwraca się od Erika i wychodzi szybkim krokiem, biegnie przez parking. Ciężko opada na siedzenie za kierownicą, szuka blistra z tabletkami, przełyka atarax, gorzki smak utrzymuje się w gardle przez całą drogę.

Spieszy się, żeby dotrzeć do domu, zanim tabletka zacznie działać i ją odurzy.

Jessico, jeśli celem tych zapisków jest opowiedzenie prawdy, muszę się przyznać do jeszcze jednej rzeczy. Wciąż darzyłam Billy'ego pewnymi niemożliwymi do spełnienia uczuciami. Jakkolwiek idiotyczne zdawały się te marzenia, był moją pierwszą prawdziwą miłością.

Oczywiście sama przed sobą temu zaprzeczałam, ale czasem trudno było przymykać oko na uczucia. W odosobnieniu potrafiłam bezwiednie oddawać się marzeniom. Czasem widziałam z okna, jak idzie ulicą. Przez moment coś we mnie trzepotało, myślałam: „Idzie mój mąż. Idzie mój przystojny małżonek”. Kiedy indziej, a zdarzało się to często, potajemnie przyglądałam mu się przez dłuższy czas. Byłam zafascynowana jego twarzą, starałam się wmówić sobie, że moje obserwacje tych szczegółów nijak się mają do romantyczności. Patrzyłam na niego, jak się patrzy na dzieło sztuki, wyłącznie obiektywna ocena piękna, nic więcej.

Kiedy wieczorem Billy i Viktor szli do siebie albo gdy dotykali się w jakiś szczególny sposób, starałam się wmówić sobie, że pustka i smutek, które wówczas odczuwałam, nie mają nic wspólnego z Billym, tylko z moją samotnością.

Trudno wytłumaczyć, jak to jest kochać kogoś, kto jest tak daleki, tak zupełnie nieosiągalny, a jednak cały czas w pobliżu, nie da się o nim zapomnieć. Być może rozumiesz, co mam na myśli, ale dla Twojego dobra wolę, żebyś jednak nie rozumiała.

Kiedy Robert zaczął chodzić do szkoły, miałam większą swobodę w ciągu dnia. Był to rok pełen wydarzeń, po raz pierwszy mogłam odkrywać, kim jest dorosła Viola.

Zaczęłam chodzić z Viktorem do kina. Uwielbiałam filmy, szczególnie z Marlonem Brando, Montgomerym Cliftem, Rockiem Hudsonem

i niedawno zmarłym Jamesem Deanem. Viktor i jego przyjaciele twierdzili, że wszyscy wyżej wymienieni za kulisami woleli towarzystwo mężczyzn, ale trudno mi było w to uwierzyć. Z jakiegoś powodu mówiło się tylko o najprzystojniejszych gwiazdach, że są homoseksualne (raczej nie przypadkiem plotki ominęły Mickeya Rooneya), ale trwano w tym przekonaniu.

Straciłam głowę dla Audrey Hepburn, kilka dni z rzędu wymyślałam się na przedpołudniowe pokazy *Zabawnej buzi*. Przejęłam nawet częściowo jej styl, sterczący koński ogon i bluzki z dekoltem w łódkę. Po raz pierwszy byłam świadoma tego, jak wyglądam.

Solveig natomiast nauczyła się chodzić w szpilkach. Po sukcesie Marilyn Monroe pofarbowała włosy na blond, aż przypominały szorstką wate cukrową. Miała właściwą figurę, by upodabniać się do biuściastych królowych, za pomocą gorsetów i miseczek balkonetek zamieniła się w Marilyn, Jayne, Sopię albo Ginę starego miasta, obcisłymi bluzkami i czerwonymi ustami wzbudzała (rzecz jasna) sensację. Uwielbiała to (rzecz jasna).

Osobiście wolałam znacznie skromniejszy styl, ale ja także odkryłam magię stroju. Że można się było ubrać jak ktoś, kim się chciało być, zmienić zarówno swój nastrój, jak i postawę. Uczepiłam się tego, co kiedyś Billy powiedział o mojej urodzie, więc po raz pierwszy odważyłam się eksperymentować z różnymi stylami. Sprawdzałam, w jakich kolorach mi do twarzy, pierwszy raz w życiu zwróciłam uwagę na to, że buty i torebki pełnią nie tylko praktyczną funkcję. (Oczywiście na początku popełniłam mnóstwo błędów, jak na przykład dopasowanie butów, torebki, kapelusza i parasola w przesadzony sposób. Nie byłam w tym jednak osamotniona wśród rówieśniczek).

Im bardziej interesowałam się ubraniami, tym więcej myślałam o tym, co Billy powiedział podczas naszego pierwszego spotkania o stylu Szwedek. Miał rację. Brakowało urozmaicenia. Dojrzewały we mnie pierwsze ziarna pomysłu o własnym butik.

Jestem, kurwa, nienormalna. Kompletnie mi odbiło... Ale muszę się dowiedzieć.

Jessica skręca na krajową dziewiątkę, spojrzenie utkwione w aucie przed nią. Siedzi w nim Erik Andersson, w drodze z pracy.

Wróciła do Solbacki, zasnęła na kanapie, ale po dwudziestu kilku minutach ocknęła się z szarpnięciem, które niemal złamało jej kręgosłup. Stres dostał się do snu i obudził ją. Zanim otworzyła oczy, miała wrażenie, jakby wypełzała z własnej skóry.

Przestała myśleć. Podniosła się z kanapy. Wyszła do auta. Pojechała w stronę Hammenhög. Jej umysł się wyłączył, jechała jak lunaticzka. Wciąż nie była pewna, czy się obudziła, a jednak nigdy nie czuła się tak rześka jak teraz.

Pół popołudnia przesiedziała na parkingu sklepu ogrodniczego aż do chwili, gdy zobaczyła, jak Erik wsiada do bordowego audi, a teraz śledzi go jak detektyw amator.

*Czego się spodziewasz, Jessico? Myślisz, że to doprowadzi cię do jakichś odpowiedzi?*

Jedyne, czego jest pewna, to tego, że nie ma zamiaru siedzieć beczynn timer i rozmyślać.

*Muszę coś zrobić.*

Mijają rozległe pola, równiutkie rzędy buraków cukrowych, pszenicy i owsa, zakończone iskrzącymi się makami. Dalej galeryjki artystyczne tuż przy drodze, chorągiewki w kolorach szwedzkiej flagi i ręcznie robione szyldy zachęcające turystów do obejrzenia wazonów, landszaftów i haftowanych kapturków z filcowej wełny na imbryki.

Stara się utrzymać odpowiednią odległość od auta przed nią. Nie stracić go

z oczu, ale też nie być zobaczoną.

*A jeśli się mylę? Jeśli to nie jest Jakob?*

*Ale kiedy zobaczyłam, jak wsiada do auta, znów miałam pewność. Nie musiałam nawet widzieć jego twarzy pod naciśniętym na czoło kaszkietem. Ciało również ma charakter. Znam je.*

Za szybą samochodu wznoszą się wiatraki. Lubi je, lubi czystość, którą reprezentują. W dzieciństwie myślała, że wyglądają, jakby to one poruszały planetą, olbrzymia latająca maszyna na niezwykle długim torze, osiemset kilometrów na godzinę.

Zwalnia, gdy zbliżają się do ronda, na którym dziewiątka łączy się z drogą do Ystad. Audi jedzie dalej do Simrishamn. Srebrny samochód za nim, niczym strzała przecinająca powietrze w stronę celu. Niebawem dotrą do centrum miasta, oba auta telepią się po kocich łbach.

Właśnie dojechali do centrum, gdy audi przyspiesza i znika za rogiem.

Jessica dodaje gazu, ale nie ma odwagi poruszać się tak szybko po uliczkach miasta. Próbuje narysować w głowie mapę, zobaczyć ją przed sobą, uspokoić myśli. Miasto jest skomplikowane, mnóstwo tu ulic jednokierunkowych, deptaków i ślepych uliczek. Gorączkowo rozgląda się na wszystkie strony. Widzi, jak auto

*Jakoba!*

zjeżdża w dół wzgórza w kierunku parkingu przed hipermarketem. Cholera. O kilka sekund przegapiła zjazd. Jessica patrzy w jedną, potem w drugą stronę, niezdarnie zawraca, przecina drugą stronę drogi, zjeżdżając w stronę parkingu, ostrożnie dodaje gazu.

Serce jej wali.

Na parkingu jest zadziwiająco mało samochodów.

*Jest za gorąco, wszyscy leżą na plaży.*

Zatrzymuje auto, rozgląda się. Żadnego audi. Czyżby zdążył zniknąć po drugiej stronie sklepu? Nerwowo stuka palcami o deskę rozdzielczą. Spogląda w ciemność pod dachem parkingu. Wykręca kierownicą.

Tutaj jest nieco więcej aut, chronią się w cieniu. Zrywa z nosa okulary słoneczne i sunie dalej w ciemność parkingu. Jej spocone dłonie ślizgają się po kierownicy.

Jakiś gruby mężczyzna bez koszulki i w japonkach stoi obok volva kombi zaparkowanego przy wyjeździe. Wkłada do bagażnika wypchane żółte reklamówki, rzuca złowieszcze spojrzenie w kierunku auta stojącego na wolnym biegu między nim a Jessicą. Jessica wstrzymuje oddech. To audi.

Powoli podjeżdża.

Gruby mężczyzna ciężko siada za kierownicą swojego auta. Zamyka za sobą drzwi.

W momencie gdy volvo pomału wyjeżdża z miejsca parkingowego, audi zbliża się tak, że prawie się zderza z manewrującym samochodem. Ten ostro hamuje, kierowca rzuca się na klakson, którego dźwięk odbija się echem o beton, ale audi udaje się go wyminąć i z piskiem opon zniknąć w promieniach słońca.

Jessica wrzeszczy, kiedy volvo staje jej na drodze. I ona, i kierujący volvem są równie wściekli, oddają się siarczystem obelgom, podczas gdy auto przed nią dalej się cofa. Jessica jest uwięziona za nim.

Jej oddech jest ciężki, jest tego świadoma jak wtedy, gdy człowiek wybudza się ze snu, słysząc, jak dyszy w ciasnym pomieszczeniu. Ręce jej się trzęsą, wjeżdża na miejsce, które właśnie zwolniło volvo. Nie ma odwagi jechać dalej.

Zamyka oczy i opiera się o siedzenie.

Z czasem odkryłam, że dorosła Viola była odważniejsza, niż myślałam. Są granice tego, jak długo można żyć w strachu. W końcu trzeba wybrać, czy chce się załamać, czy iść dalej. Moje ukryte życie sprawiało, że byłam, jak sądziłam, bardziej światowa niż pozostali. Teraz patrzyłam z góry na tych, których poglądy jeszcze niedawno napawały mnie strachem.

Kiedy wprowadzono nowe papierosy z filtrem, zaczęłam palić, buntując się wobec pierwszych raportów o szkodliwości palenia. Wybór padł na Johna Silvera, przekornie zaciągałam się kilka razy dziennie. Mrużyłam oczy, wyobrażając sobie, że wyglądam jak Jeanne Moreau, zblazowana francuska gwiazda filmowa, która zajęła miejsce obok Hepburn na moim piedestale.

Teraz wiem, że w wielu sprawach wciąż zachowywałam się jak dzieciak. Ale skończywszy właśnie dwadzieścia pięć lat, byłam dojrzałą kobietą, gotową na kolejną fazę życia. Jedynym, co wstrząsnęło moją nową, dorosłą samooceną, był pewien tydzień w listopadzie, kiedy wysłano w kosmos sukę Łajkę. Sputnik II miał nigdy nie wrócić na Ziemię. Myślałam o martwym ciele psa latającym w kapsule między gwiazdami, chciało mi się płakać jak małej dziewczynce, ale się powstrzymałam.

Było tylko kwestią czasu, kiedy Solveig wtrąci się w to czy owo, naiwnie byłoby sądzić inaczej.

Wydaje mi się, że przez większą część naszej przyjaźni nie doceniałam Solveig. Z pewnością wielokrotnie nie doceniłam jej inteligencji, o której zresztą nietrudno było zapomnieć, bo sama ją umniejszała. Jest nieco uzależniona od wzbudzania w swych rozmówcach śmiechu, a żartowanie z siebie samej jest najprostszym sposobem zjednania sobie ludzi. Przez te wszystkie lata nie doceniałam również jej empatii, jej lojalności i, może przede wszystkim, jej roli w moim życiu. Teraz, gdy niebawem opuszczę to



życie, uświadamiam sobie, że będę za nią tęsknić równie mocno jak za dziadkami.

Solveig oczywiście zwróciła uwagę na to, że często mieliśmy w domu dużo gości, zaczęła więc zadawać pytania. Rozumiałam, że tak naprawdę zastanawiała się, dlaczego jej się nie zaprasza. Pospiesznie wyjaśniłam, że nasi goście to biznesowe kontakty Billy'ego.

– A zatem to bardzo wesołe kolacje biznesowe – mruknęła Solveig. Domyśliłam się, że przejrzała moje kłamstwo.

– A czasami to przyjaciele jego rodziny albo koledzy z kursu szwedzkiego. Poza tym on i Viktor mają tak wielu wspólnych znajomych – brnęłam dalej.

– No właśnie, skąd oni się właściwie znają? Są taką niedobraną parą – dopytywała Solveig.

Wzdrygnęłam się na słowo „parą”. Udawałam, że próbuję sobie przypomnieć.

– To było tak dawno temu. Spotkali się na długo przed naszym ślubem.

Solveig przytaknęła. Jej cichy uśmiezek wprawiał mnie w większe zakłopotanie niż jej zwyczajowe gradobicie pytań. Przynajmniej wiedziałam, z czym się mierzę. To nowe milczenie było o wiele groźniejsze, zrobiłam wielki błąd, zaczynając gadać jak najęta.

– Wydaje mi się, że byli zakochani w tej samej dziewczynie. Tak, chyba tak właśnie było. Czyż to nie zabawne? Nie pamiętam, jak miała na imię, jest już zamężna. Spotkałam ją tylko raz, jeśli mam być szczerą, była brzydka, miała wielkie zęby ze sporymi odstępami między nimi. No, żaden z nich jej ostatecznie nie zdobył, ale za to obaj się zaprzyjaźnili na całe życie. Nie wydaje mi się, żeby któryś z nich na poważnie był nią zainteresowany, chodziło raczej o rywalizację...

Tak właśnie opowiadałam, trajkotka, która nie mogła się zatrzymać. (Billy i Viktor spotkali się tak naprawdę późnym wieczorem na Strandvägen. Z tego, co zrozumiałam, był to dość powszechny sposób poznawania się. Samotni mężczyźni spacerowali po ulicy, udając, że oglądają wystawy, zagadywali obcego o ogień).

W każdym razie Solveig nadal przyglądała mi się z tym swoim tajemniczym uśmieszkiem, trochę jakby patrzyła na mnie z daleka. Z ulgą usłyszałam, jak Gunnar wrzeszczy na Roberta w pokoju obok. Pobiełam do nich, ze wzrokiem Solveig przewiercającym mi plecy.

Twarz Petry wygląda, jakby płonęła od wewnątrz. Padają na nią promienie zachodzącego słońca, które świeci przez wysokie, szczelinowe okna restauracji hotelu.

Petra wróciła do Solbacki, większą część dnia spędziły na strychu. Rozdzieliły między siebie ubrania babci. Na szczęście mają różne upodobania, Petra mogła zaanektować maleńkie buty babci, na które czterdziestki trójki Jessiki nie mają szans. Petra postanowiła zaprosić Jessicę na kolację do odremontowanego szaro-białego budynku przy plaży w Vitemölla.

– Mam wrażenie, że chcesz zostać w Skanii? – zagaduje Petra.

Kończy się lipiec. Do niedawna Jessica traktowała to lato jako dobrowolną ucieczkę od zwykłego życia. Teraz zaczyna się zastanawiać, czy czasami tu nie rozgrywa się jej prawdziwe życie. Tutaj lepiej jej się oddycha. Tutaj świat nie rozrywa jej, nie wpycha się w nią, nie stara się być jej częścią. Nie ma tu masy krzyczących tekstów, żadnej informacji, która prosi o uwagę, domaga się jej, teraz, natychmiast.

– Nie wiem. Mieszkanie tu zimą jest czymś zupełnie innym.

– A więc zastanawiasz się nad tym?

Jessica przytakuje. Ale nie może zostać w Solbacce. Za miesiąc wracają Viktor i Billy.

– Musiałabyś zrezygnować z pracy w telewizji – mówi Petra.

Jej wypowiedzi są żwawe, ale Jessica dobrze ją zna.

– Nawet nie wiem, czy planują nowy sezon.

Myślała, żeby dojeżdżać, jeśli będzie taka potrzeba, ale teraz nie jest wcale pewna, czy będą ją chcieli z powrotem. Wspomnienie fiaska na koniec poprzedniego sezonu wciąż wywołuje w niej chęć skoczenia z bardzo

wysokiego budynku.

– A mieszkanie?

– Mogłabym przez jakiś czas je wynajmować. Sprawdzić, jak się z tym czuję.

Petra potakuje.

– Tylko żebyś się nie zapędziła w zawodową ślepią uliczkę.

Jessica wzrusza ramionami.

– Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Nie czuję się tu bardziej wyizolowana. W domu też nie jestem typem, który chodzi po barach i nawiązuje kontakty, poza tym...

– Brakowałoby mi ciebie.

Petra mówi to szybko, potem milknie.

Wygląda na smutniejszą, niż Jessica oczekiwała. Uświadamia sobie – dziwne, że dopiero teraz – że Petra też nie ma zbyt wielu przyjaciół. Owszem, ma sporo znajomych, kontaktów służbowych, które zręcznie podtrzymuje, bywając w knajpach, na piknikach w parku Haga i niby bezpretensjonalnych koktajlach u siebie w domu. Ale prawdziwi przyjaciele?

– Też bym za tobą tęskniła – odzywa się Jessica. – Ale przyznaj, że fajnie mieć psiapsiółkę z domem na Österlenie.

Petra zastanawia się przez chwilę, opróżnia kieliszek.

– Czy te plany przeprowadzkowe mają coś wspólnego z...

Petra milknie w połowie zdania. Unikają tematu od tamtej rozmowy telefonicznej.

– Z Jakobem? – kończy Jessica.

– Z jego sobowtórem.

– Znalazłam go – mówi Jessica.

Petra jest w szoku.

– Gdzie?

– Przypomniałam sobie, że w takich zielonych kombinezonach pracują w weibullsie. Mają duży sklep kawałek stąd.

Przy ich stoliku pojawia się kelner z espresso, truflami i koniakiem. Jest dość przystojny, ale w jego wyglądzie czai się ten rodzaj szarości, który sprawia wrażenie, jakby ów mężczyzna przez całe życie nie zjadł ani jednej witaminy. Jest dyskretny, nie pokazuje, że rozpoznaje Jessicę. Ale robi wrażenie, jakby był gotowy zerwać z siebie fartuch i odjechać w stronę zachodzącego słońca na pierwszym lepszym białym koniu z Petrą przerzuconą przez ramię. Odchodząc, rzuca jej jeszcze jedno spojrzenie. Jessica zastanawia się, jak to jest być tym uniwersalnym typem kobiety.

– Byłam przekonana, że to Jakob – mówi. – Ale to nie on. Ten facet nazywa się Erik Andersson.

– Erik Andersson? To brzmi tak banalnie, jakby ktoś to wymyślił – odpowiada Petra, parząc język kawą, więc przeklina.

Odstawiając filiżankę, zastyga. Patrzy na Jessicę.

– Sądzisz, że to zmyślane, prawda? Wciąż jesteś przekonana, że to Jakob.

Jessica się waha.

– Pokazał mi dowód – mówi.

– Naprawdę poprosiłaś, żeby pokazał ci dowód?

Jessica wierci się zawstydzona.

– Nie. Ale chyba uznał to za swoją ostatnią szansę obrony przed szaloną kobietą, która go śledzi.

*Boże, Petro. Gdybyś tylko wiedziała, że dosłownie śledziłam go. Z pewnością zadbałabyś o to, żeby mnie zamknęli. I prawdopodobnie dobrze byś zrobiła.*

Petra gładzi brzeg swojego kieliszka.

– No dobra – odzywa się. – Załóżmy, że się mylę i że to ty cały czas miałaś rację. A jeśli to rzeczywiście jest Jakob?

Jessica patrzy na nią zdziwiona.

– Chodzi mi o to... Co ty właściwie wiesz o Jakobie? A jeśli rzeczywiście go odnalazłaś? Co zrobisz? Miałaś rację wtedy w noc świętojańską. Cała ta historia jest cholernie dziwna. Nie tylko ciebie zostawił. Zostawił... wszystko. Musiało się wydarzyć coś wielkiego. Trudno mi wyobrazić sobie choćby

jedno racjonalne wyjaśnienie. Może nawet jest kryminalistą. No wiesz, jak długo go znałaś? Dziesięć minut?

– Przestań. Wiem, że nie była to żadna epicka historia miłosna, licząc czas, ale do diabła, Petro, znałam go.

– Mówię tylko, że to możliwe. Nawet prawdopodobne. Nie byłabyś pierwszą, która nieświadomie wpadła w...

– Jakob nie jest kryminalistą. Nie ma szans.

Wyciąga papierosy i robi pytający gest. Petra potakuje, wychodzą na taras. Wiatr porywa im włosy. Jessica mocuje się z zapalniczką, wreszcie zapala papierosa.

– Chcę powiedzieć – ciągnie Petra – że coś zmusiło Jakoba do takiego zniknięcia. Dlaczego miałyby się dać rozpoznać, gdybyś go znalazła?

Jessica przełyka głośno ślinę. To coś, o czym nie pomyślała. Zawsze postrzegala to jako serię filmowych klitek, różne warianty tego, co się wydarzy w dniu, kiedy odnajdzie Jakoba. Cokolwiek by się stało na ekranie w jej głowie, ich spotkanie oznaczałoby jakąś odpowiedź. Ale jeśli nie będzie potrafił jej udzielić?

Teraz w jej wyobraźni rozgrywa się inny film, rekonstruuje wydarzenia w sklepie ogrodniczym. Była taka pewna. A potem szybko przeprosiła, natychmiast uznała, że to pomyłka, że to ona jest nieobliczalna.

*Łatwiej jest sądzić, że jest się szaleńcem, niż wierzyć, że ktoś, kogo się kochało, kłamie prosto w twarz w takiej sprawie.*

– Jeśli to rzeczywiście był on i nie mówił prawdy... to nigdy nie poznam odpowiedzi – mówi zrezygnowana.

Ta myśl ją nokautuje, czuje, że mogłaby zdać się na wiatr i pozwolić się porwać. W głębi serca zawsze wierzyła, że pewnego dnia znajdzie odpowiedź, że to nieuniknione, nawet jeśli miałyby to nastąpić, gdy będzie miała osiemdziesiąt lat. Wszystko zmierzało do tego, by ponownie spotkać Jakoba – ale być może to nie wystarczy.

– Jessico, pomyśl, że może i dobrze, że się nigdy nie dowiesz.

– Chyba masz rację – odpowiada Jessica.

Tak naprawdę ma ochotę wrzasnąć na Petrę, żeby się zamknęła. Że nie ma bladego pojęcia, jakie to uczucie. Od rozvodu Petra mogła przemieszczać się w swoim uporządkowanym życiu i próbować tego, na co miała ochotę, wypluć, jeśli jej nie odpowiadało, iść dalej.

Petra obejmuje ją ramieniem, ale Jessica je strąca. Petra bez słowa wchodzi do restauracji i płaci za kolację.

– Nie chcę cię denerwować – mówi, gdy wsiadają do taksówki.

– Jestem po prostu zmęczona – odpowiada Jessica.

Rzeczywiście jest. Zmęczona całym tym gównem.

Billy dał mi pieniądze potrzebne do otwarcia butik. Nie chciałam przyjmować ich jako podarunku, więc uzgodniliśmy, że to jego inwestycja.

Był to najbardziej fascynujący okres w moim życiu. Planowanie, podróże, wyposażenie – wreszcie widziałam, jak powstaje coś tylko mojego. Mój nastrój wahał się między euforią a z wątpieniem. Viktor wziął się do szpachlowania i malowania lokalu. To także on znalazł śliczne sofy, na których mogli spocząć znużeni mężowie, podczas gdy ich żony wydawały ich pieniądze, oraz lampy dające miękkie, przychylne klientkom oświetlenie, które wyczarowywało piękno w lustrach przymierzalni.

Dzięki butikowi zdobyłam własną tożsamość i tylko moją sieć kontaktów. Dawno przestałam być zawstydzoną dziewczyną, tą ciężarną i nowo poślubioną, która starała się stopić z otoczeniem, stać się niewidoczna, tak by nikt się jej nie przyglądał. Wszystkie oszałamiające rzeczy, które zdarzyły się od tamtego czasu, a także ludzie, których poznałam, tak wiele mnie nauczyli. Odkryłam sztukę dobrego traktowania osób najróżniejszego pokroju, sprawiałam, że czuli się mile widziani i bezpieczni. Dużo klientek zaczęło zaglądać do butik, żeby po tym, jak coś kupiły, usiąść na kanapie i opowiedzieć o ostatnich zdarzeniach ze swojego życia. Wydaje mi się, że wiele z nich było przekonanych, iż mnie dobrze zna. Żadna nie zauważyła, jak mało mówię o sobie. To Billy nauczył mnie różnicy między życiem osobistym i prywatnym, tego, jak zdobyć zaufanie, nie inwestując nic z siebie.

Zaczęły spływać zaproszenia na najróżniejsze wytworne przyjęcia, przyjmowałam je, o ile widziałam możliwość poznania na nich kogoś ważnego. Billy bywał ze mną jako kochający mąż, był świetny w tej roli. Naprawdę tak dobry, że czasem zaczynałam mu wierzyć. Był to oczywiście beznadziejnie romantyczny pomysł, ale kuszący, by na krótkie chwile się



zapomnieć. Potem dopadała mnie rzeczywistość.

Przez całe swoje dzieciństwo Robert był dla mnie na pierwszym miejscu, ale wszystkie inne wolne przestrzenie mojego życia wypełniła praca. Statystyki sprzedaży i wciąż rosnący stos wycinków z gazet obudziły we mnie instynkt gracza – nie miałam wcześniej pojęcia, że mam taki instynkt w sobie. Robert przychodził do butiku po szkole, odrabiał lekcje na zapleczu. Razem wracaliśmy do domu, gotowałam obiad, a kiedy usnął, siedziałam pół nocy, wypełniając kwity, zamówienia, porządkując dokumenty i wklejając paragony do skoroszytów.

Nie minęło wiele czasu, aż pewna osoba znów wywróciła mój świat do góry nogami, właśnie kiedy odzyskałam nad nim panowanie. Ale przedtem miała się spełnić jedna z moich największych obaw – Solveig odkryła w końcu naszą tajemnicę.

Przez kilka kolejnych dni pada deszcz. Jessica i Petra, uwięzione w domu, robią, co mogą, żeby nie włożyć sobie na głowy. Całymi popołudniami gotują skomplikowane kolacje. Po jedzeniu rozpalają w kominku i grają w Monopol albo w Trivial Pursuit – zdezaktualizowane pytania w starym wydaniu gry sprawiają, że liczy się raczej łut szczęścia niż wiedza. Są jak para staruszków. Dopasowują do siebie swoje sondy. Jeśli jedna z nich chce przez chwilę pobyc sama, pozwala jej się na to.

Ale czas umyka. Petra ma zlecenie, które czeka na nią w Sztokholmie w przyszłym tygodniu. Powinności dnia powszedniego czają się za rogiem. Jessica ma coraz mniej czasu na decyzję. Dziadki wracają za miesiąc. Przejrzała ogłoszenia o sprzedaży domów w okolicy, ale jest zrezygnowana, wszystko, co jej się podoba, jest za drogie. Bardzo drogie. Żeby móc się tu przeprowadzić, musiałaby najpierw sprzedać mieszkanie.

Któregoś wieczora przed kolacją Petra wkłada płaszcz od deszczu i idzie na spacer po plaży. Jessica siedzi na szafce w kuchni, rozwiązuje krzyżówkę w jednej ze starych gazet babci, nagle zimno rozlewa się po jej twarzy, wzdłuż mięśni karku, w górę skroni, przez ramiona. Wie, co to oznacza. Prostuje się. Wyczekuje pierwszej fali paniki. Trwa to dłuższą chwilę. Najpierw ukłucie w piersiach, narastające powoli, aż w końcu ma wrażenie, jakby ktoś siedział jej na klatce piersiowej, tak że nie może wypełnić płuc wystarczającą ilością powietrza. I wtem zalewa ją to potworne uczucie całkowitej utraty kontroli. Mechanicznie wyjmuje blister ataraksu z szafki, wyciska tabletkę.

*Nie ma obaw, nie rozchorujesz się. Po prostu wszystkiego było ostatnio za dużo. Jesteś wypoczęta, przez całe lato prawie w ogóle nie pracowałaś, ale prawda o babci, Billym, Viktorze... spotkanie z tatą i Glorią... rozmyślanie o przeprowadzce... No i Jakob. Plus to, że zmniejszyłaś dawkę zolofu. Nie*

*dziwota, że się stresujesz. Wszystko jest teraz w zawieszeniu. Ale w porządku. Przejdzie, samo przejdzie, nie ma sensu myśleć o kilku rzeczach naraz. Wszystko się ułoży jak trzeba. Wszystko się ułoży jak trzeba.*

Nie daje rady ze strachem w głowie. Nie powinna była zmniejszać dawki leku. Rozchoruje się. Znowu się rozchoruje i tym razem tego nie przeżyje.

*wszystko się ułoży jak trzeba wszystko się ułoży jak trzeba wszystko się ułoży jak trzeba*

Wybiera numer do mamy, tyle tych cyfr, spocony palec ślizga się po przyciskach.

– Rozchoruję się – szepcze Jessica, gdy mama podnosi słuchawkę.

– Nie – odpowiada mama z taką pewnością, na jaką tylko ją stać.

– Tak – upiera się Jessica.

Chce, żeby ją przekonano.

– Nie rozchorujesz się. Co się stało?

Jessica opowiada o fali paniki, która ją właśnie dopadła. Mama w ogóle nie jest zaniepokojona, samo to uspokaja Jessicę.

– Musisz pamiętać, że nadal jesteś nadwrażliwa po tym, co przeszłaś – tłumaczy mama. – Wykurowanie się po czymś takim trwa. Czasem tak jest, w górę i w dół. Ale chyba nie da się porównać dzisiejszej paniki do tego, jak czułaś się kiedyś?

Jessica milczy przez chwilę. Prawdą jest, że nie pamięta, jak się czuła w najgorszym okresie. Podobnie jak z porodem. Kobiety, które cierpiały godzinami, czasem przez całą dobę, zarzekały się, że już nigdy nie narażą się na coś podobnego, a gdy tylko niemowlak zaczyna raczkować, one rozważają kolejne dziecko. Myśli, że ten sam mechanizm obronny sprawia, że nie może pamiętać paniki z pierwszego, najczarniejszego okresu.

– To nawet nie jest w pobliżu tego, co czułaś wtedy – mówi mama.

Jessica jest wdzięczna, wciąga w płuca duży zapas powietrza, znów działają normalnie. Czuje zażenowanie, to pierwsza oznaka, że panika przechodzi. Zaczyna jasno myśleć, dlatego się wstydzi.

– Babcia zostawiła mi pamiętnik – mówi. – To zbiór listów do mnie.

Opowiada, jak to było, kiedy... tata się urodził. O sobie i Billym. Jak to naprawdę było.

– Przeczytałaś do końca?

– Jeszcze nie. Nie wiem tylko, jak mam się do tego ustawić. I nie wiem, jak dużo ty wiesz...

Jessica słyszy szum na linii, żałuje, że nie są bliżej siebie. Tak, by mama mogła przyjechać na kilka godzin, wypić z nią filiżankę herbaty. Tylko móc ją zobaczyć, mocno przytulić. Jessica przez długi czas była oddalona od wszystkich. Nie chce już tego.

– Sądzę, że jak przeczytasz do końca, musisz pamiętać, że jesteś po drugiej stronie z kluczem w dłoni. Oni byli w środku tego wszystkiego, starali się przeżyć każdy kolejny dzień. Więc ty powinnaś odróżnić to, co wiesz, od tego, co oni wiedzieli wtedy, choć to trudne.

– To brzmi, jakbyś się wszystkiego dawno domyśliła.

– Nigdy nie byłam pewna. Nie chciałam w tym grzebać, może to niemądre z mojej strony. Staralam się namówić Violę do zwierzeń, ale... nigdy nie zapytałam wprost. Po części dlatego, że stchórzyłam, ale też bo przeczuwałam, że jeśli przyprę ją do ściany, twoja babcia ze strachu wszystkiemu zaprzeczy.

– Zastanawiam się, jak wiele tata zrozumiał. Boże, przecież to ich syn. Musiał rozmyślać. Nigdy nic nie powiedział?

Mama wzdycha.

– Nigdy nie potrafił okazywać emocji, a tym bardziej o nich rozmawiać. Za to jest świetny w przymykaniu oczu na rzeczy, o których nie chce nic wiedzieć. To, czego nie widać, nie istnieje.

– To dlatego tak łatwo o mnie zapomniał, gdy pojawiła się Gloria – domyśla się Jessica.

– Nie wydaje mi się, żeby to cokolwiek mu ułatwiało. Uważam, że nie powinnaś lekceważyć jego zdolności emocjonalnych tylko dlatego, że nie potrafi ich okazywać.

– Przecież właśnie to mu zarzucałaś przed rozwodem.

– Ale to prawda.

– Mam to gdzieś – Jessica podnosi głos. – To, że „boi się uczuć”, nie usprawiedliwia jego egoizmu.

– Nie podoba mi się, że tak łatwo oceniasz ludzi.

– A mnie się nie podoba, że tak łatwo pozwalasz, by po tobie deptać.

Milkną. Jessica już żałuje.

– Zostawmy to – mówi.

Tak jest za każdym razem, gdy rozmawiają o tamtym okresie. Mama wciąż stara się bronić ojca, dwadzieścia lat później, a Jessica odpowiada ze złością, która się w niej zebrała przez te wszystkie lata. Ciężar czasu wisi nad nimi. Najmniejszy błędny krok w tamtą stronę może wywołać lawinę.

– Nie chcę, żebyś robiła ze mnie ofiarę, Jessico. Czasem wydaje mi się, że mylisz emocje ze słabością. Być może to moja wina, nie byłam dobrym wzorem, gdy dorastałaś...

– Proszę cię!

– ...ale nie chcę, żebyś się bała czuć. Wydaje mi się, że twój strach być może by zelżał, gdybyś odważyła się czasami wszystko przewietrzyć. Zawsze dużo dumiałaś, też jako dziecko, ale od kiedy zniknął ten Jakob, stałaś się taka... zamknięta. Nie wszystko da się wydumać. Nic dziwnego, że mózg ci siada, jeśli starasz się unikać uczuć.

*Gdybyś tylko wiedziała, jaka jestem zła, nie mówiłabyś mi, że mam problemy z uczuciami. Ale masz rację. Jezu, jak ja nienawidzę tego, że masz rację.*

– Co powinnam według ciebie zrobić? Brzmi oczywiście ładnie, racjonalnie, ale to trochę, jak powiedzieć komuś ze złamaną nogą: „Spróbuj się przebiec kilka razy wokół domu, ruch dobrze ci zrobi”.

– Nie bądź niemądra.

– Nie masz pojęcia, jak się czuję.

– A może jesteś bardziej podobna do taty, niż ci się wydaje.

Jessica odkłada słuchawkę. To zwykły odruch, a jednak potem obserwuje

telefon z podejrzliwością.

Minął tydzień, zanim znów spotkałam Solveig, wpadła w odwiedziny do butiku.

– Chyba musisz upomnieć Billy’ego i Viktora, żeby byli bardziej dyskretni – zaczęła.

Rozejrzałam się pospiesznie, by się upewnić, że w lokalu nie ma klientek.

– Co masz na myśli?

Nagle trudno mi się przełykało. Zimna, metaliczna ślina zbierała mi się w ustach, ale jakby zapomniałam, co należy zrobić.

– Nie wiem wprawdzie, jak wygląda wasz układ, ale jestem pewna, że twój mąż częściej sypia u twojego brata niż we własnym łóżku – powiedziała Solveig. – Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Wreszcie udało mi się przełknąć, ale nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Tak – odparłam w końcu, Solveig skinęła głową.

– To dobrze. No wiesz, ludzie zaczną plotkować. To tyle.

Spojrzałyśmy na siebie, przestrzeń między nami rozlała się. Tyle niewypowiedzianego, a tylko ja mogłam zrobić krok przez tę przepaść.

– Robert zaczął mieć koszmary – odezwałam się – nie mam serca mu odmówić, kiedy przychodzi do naszego łóżka. A Billy potrzebuje snu.

Solveig wzruszyła ramionami. Było mi wstyd.

– Przykro mi, Violu, ale nie sądzę, byśmy mogły kontynuować naszą przyjaźń.

Zdziwiło mnie, jak silnie odebrałam te słowa.

– Nie jest tak, jak myślisz – dodała. – To znaczy, chyba nie rozumiesz, dlaczego tak uważam. Nie wiem tylko, czy mogę się przyjaźnić z kimś, kto wie o mnie tak dużo, ale nie potrafi wykrzesać z siebie odrobiny szczerości.

Sądziłam, że się przyjaźnimy, ale nie mogę ufać komuś, kto nie ufa mnie.  
I opuściła butik.



Wychodzą przez okno w sypialni babci. Tam można przejść po dachu werandy z blachy falistej. Siadają na skraju, spuszczaają nogi i zrywają wiśnie z najwyższych gałęzi drzewka. Ich palce są ciemnoczerwone.

– Złożył wypowiedzenie dzień po tym, jak tam byłam – mówi Jessica. – Pracował tylko na zlecenie, więc mógł od razu zniknąć.

Wypowiada to jak jakąś najzwyczajszą rzecz pod słońcem, ale długo przygotowywała się do tego wyznania.

– Kto? – pyta Petra.

– Erik Andersson. Zadzwoiłam do sklepu ogrodniczego.

Petra wypluwa pestkę. Obserwują jej spadanie.

– Chciałam wyciągnąć od nich jego adres, ale nie udało się. Więc zadzwoniłam do biura numerów. Zgadnij, ilu Erików Anderssonów mieszka w tej okolicy? A i tak wątpię, czy on widnieje na tej liście – wyjaśnia Jessica.

Jest uparta. Prowokuje przyjaciółkę.

– A więc to musiał być Jakob – kończy.

Wreszcie Petra nie wytrzymuje.

– Jessico, musisz przestać.

– Jak mam przestać? Sama powiedziałaś, że to może rzeczywiście był Jakob. Muszę się dowiedzieć prawdy.

– Nie, nie musisz. Możesz zdecydować, że idziesz dalej. Posłuchaj mnie chociaż raz. Być może nigdy nie dowiesz się, co się stało. Musisz to zaakceptować.

– Nie liczę na to, że mnie zrozumiesz, ale powinnaś być po mojej stronie – mówi Jessica.

– Jestem po twojej stronie! To właśnie dlatego mówię, żebyś przestała.

Zachowujesz się jak psychopatka! To nie jest zdrowe!

Wpatrują się w siebie.

– Boże, nie wytrzymam – zaczyna Petra. – Za każdym razem, gdy o tym rozmawiamy, kręcimy się w kółko. Zrobiliśmy już tyle kółek, że mam zawroty głowy.

– Może najlepiej będzie, jak wrócisz do domu – decyduje Jessica.

Petra wygląda na zranioną.

*Co ja wyprawiam?*

– Nie wiem, czy dam radę pomóc ci jeszcze raz. Enzo zaczyna być w tym wieku, że muszę sprawdzać każdy...

– Świetnie! Nie potrzebuję twojej pomocy! Nie rozumiesz? Nie jestem twoim małym projektem. Nie chcę, żebyś się ze mną cackała. Jestem dorosła.

– To może pora, żebyś się zaczęła zachowywać jak dorosła. – Petra wstaje.

Widać, że się zastanawia, czyby nie zeskoczyć z dachu, chce odejść od Jessiki najszybciej, jak się da.

– Chyba masz rację – mówi. – Najlepiej, jak wrócę do domu.

– Przepraszam. Po prostu byłaś pod ręką.

– W porządku.

– Nie, nie jest w porządku. To w ogóle nie jest w porządku. Sama nie wiem, co wyprawiam.

– Tylko się spakuję.

*Nie zostawiaj mnie. Też bym wyjechała na twoim miejscu, ale proszę, nie rób tego.*

– Nie mogłabyś przynajmniej zostać do jutra? Nie dasz rady prowadzić przez całą noc.

– Zatrzymam się w jakimś hotelu po drodze – mówi Petra.

Jej kroki wybrzmiewają głośno po blaszanym dachu.

Jessica macha Petrze na pożegnanie, stara się nie myśleć o tym, że być może nie zobaczą się bardzo, bardzo długo.

*To lato. Jest końcem czegoś i początkiem. Nie wiem czego. Jest jak karczowisko.*

*Może muszę się przekonać, co po tym wszystkim zostanie.*

Kolejne tygodnie były męczarnią. Po raz pierwszy zrozumiałam, jak dużo Solveig dla mnie znaczyła, ale jak wspomniałam, nie po raz ostatni. To był ten rodzaj przyjaźni, który czasem się wypala.

Bardzo chciałabym napisać, że tamtego dnia zrozumiałam, że mogę liczyć na moją przyjaciółkę. Ale z zupełnie innych przyczyn, po długim namyśle, zdecydowałam się powiedzieć jej prawdę. Pomyślałam bowiem, że jeśli tego nie zrobię, a zdawało się, że i tak już zna prawdę, pójdzie do innych przyjaciółek i zacznie o nas plotkować. A zatem to mój dawny strach, ubrany tylko w dostojny kostium dążenia do prawdy w przyjaźni, zaprowadził mnie do kuchni Solveig.

Niełatwo było mówić, nie wiedziałam, jak zacząć. Wyjawienie wszystkiego, co dotychczas starałam się ukryć, kłóciło się z moim instynktem. Tak długo szukałam właściwych słów, że Solveig w końcu mi przerwała. Dobrze pamiętam, jak to powiedziała.

– Violu – zaczęła – wiem, że kochasz Billy’ego. Widzę to po tobie. Ale on ciebie nie kocha. Nie w ten sposób. Jest po prostu do tego niezdolny. Czy tak?

Rozpłakałam się, co mnie zaskoczyło. Rzadko się rozklejałam, a to miał być ostatni raz w życiu. Zaplanowałam, że wyjawię jej prawdę jako serię konkretnych faktów, porządnie ułożonych dowodów rzeczowych, potem ona będzie mogła się im przyjrzeć. Ale Solveig wdepnęła prosto w emocje.

Nasza historia, Billy’ego, Viktora i moja, wylała się ze mnie. Kiedy skończyłam, Solveig wzięła mnie w swoje wielkie, miękkie ramiona. Płakałam jeszcze bardziej, jej ciche zapewnienia o sympatii tylko podsycaly moje rozżalenie nad sobą, które próbowałam zdusić. Spojrzałam na siebie z zewnątrz, jej oczami, zrobiło mi się strasznie szkoda mnie samej.

Było to jak jakieś *katharsis*. Wreszcie mogłam się zgodzić, że zostałam oszukana w bardzo ważnej kwestii. Sama brałam udział w budowaniu tej eleganckiej fasady, która ukrywała wszystkie tajemnice, ale jednocześnie pozostawiła na zewnątrz możliwości czegoś prawdziwego i uczciwego. Wcześniej nie potrafiłam okazać mojego rozżalenia, ponieważ cały czas myślałam, że przecież Billy i Viktor też są zmuszeni do życia w kłamstwie i w jakiś sposób jest to moja wina. (Viktor, jak pamiętasz, chciał żyć z Billym. Wymagałoby to ogromnej odwagi, ale być może by im się udało).

Teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo im zazdroszczę, zazdroszczę Viktorowi, który ma Billy'ego, zazdroszczę im wolności i tego, że Robert był w nich wpatrzony jak w obrazek. Wracali przecież z podróży ze wspaniałymi prezentami, bawili się z nim w wojnę, podczas gdy ja byłam nudnym tyranem, który zmusza go do jedzenia warzyw i każe wcześniej chodzić do łóżka.

W kuchni u Solveig po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, ile wyrzeczeń mnie to kosztowało. Wprawdzie miałam Roberta. Ale już wiedziałam, że zbyt mocno go kocham. Dziecko nie może i nie powinno spełniać wszystkich potrzeb matki. Bycie jedynym sensem życia rodzica jest dla dziecka zbyt wielkim ciężarem. Już wtedy zbudowałam fundament tego, jak Robert będzie mnie unikał w dorosłym życiu, jak będzie się bał, że zabiorę całą rękę, gdy wyciągnie do mnie palec.

Przepraszam cię, Jessico, jestem zmęczona, wszystkie te myśli wychodzą ze mnie w jakimś chaosie. Jedna ciągnie za sobą kolejną, coraz trudniej je od siebie oddzielić. Nie byłam tego wszystkiego świadoma wtedy, gdy trzęsłam się z płaczu w kuchni Solveig. Fakt, że to do mnie dotarło, nie oznaczał, że teraz przestanę się tak zachowywać. Wiem, że w pewnym sensie zrobiłam ten błąd także z Tobą.

Pisanie o tym jest bardzo bolesne, ale jak wiesz, nie ma w życiu nic bardziej bolesnego niż

WYRWANA KARTKA

nerwowo otworzyłam drzwi. Solveig się spóźniła, rzecz jasna, zawsze się spóźniała. Czekanie na nią było jak czekanie na Godota. Przygotowałam sobie kilka siarczastych komentarzy, ale gdy ją zobaczyłam, wszystkie wyleciały mi z głowy. Weszła, oczy błyszczały jej z napięcia, psotnie uśmiechnięte. Mimo ciężkiego makijażu wyglądała jak mała dziewczynka, która pierwszy raz w życiu wymknęła się nocą z domu.

Chwyciłam ją pod ramię i poprowadziłam do pełnego gości salonu. Natychmiast spotkała się z gwizdami zachwytu.

Dziwne, że nigdy (mimo jej obcisłych bluzek) nie zrozumiałam, jak bardzo Solveig ocieka seksem. To wrażenie wzmogło się tym bardziej, że w pokoju nie było ani jednego odpowiedniego dla niej obiektu. Błyszczała i czarowała, odgrywała rolę *femme fatale*, jej widownia ryczała ze śmiechu. Pokochali ją od pierwszej chwili, a ona pokochała ich.

Fakt, że przyznałam się do mojego zakochania w Billym, pomógł mi je przezwyciężyć. Kiedy już nie musiałam się przed nim wzbraniać, pojawiły się inne, głębsze uczucia. Swego rodzaju miłość rodzeństwa. W ten sposób Viktor i ja ponownie się do siebie zbliżyliśmy.

Boże, jak głupio to wszystko teraz brzmi. Doszłabym do tego dużo wcześniej, gdybym miała dostęp do dzisiejszych odkryć psychologii albo gdybym wcześniej otworzyła się przed Solveig. Przedtem nie miałam z kim o tym rozmawiać. (Bałam się nawet spisywać moje myśli w pamiętniku w obawie, że mógłby trafić w niepożądane ręce). Moja przyjaźń z Billym i Viktorem pokonała pewną przeszkodę. Nie wiem, jak wiele zrozumieli, ale sądzę, że to zauważyli.

Kiedy wtajemniczyliśmy Solveig w nasze życie, poczułam się nagle, jakbym odzyskała całą siebie. A więc dało się połączyć te dwie całkowicie różne rzeczywistości! Być może było więcej takich jak Solveig, więcej „normalnych”, którzy potrafili nas zrozumieć. Wcześniej czułam się, jak gdybym stała na dwóch kawałkach kry, starając się utrzymać równowagę i nie wpaść do lodowatej wody. Teraz moje życie robiło się stabilne, twardo stąpałam po ziemi.

Tak sądziłam. Zanim moja historia się skończy, chcę Ci opowiedzieć o jeszcze jednej rzeczy. Myślę, że może stanowić odpowiedź na pytanie, które z pewnością sobie stawiasz: dlaczego pozostaliśmy małżeństwem, mimo że czasy się zmieniły? Mogliśmy się rozwieść już dawno temu, byłam wolna, mogłam odejść, kiedy tylko chciałam, ale postanowiłam zostać.

Jessica nakrywa do stołu w altance. Gdy niesie tacę z kawą, słysząc dobrze jej znany dźwięk najładniejszych filiżanek babci. Siadając, Solveig wkłada połyskujące brokatem okulary słoneczne na swój mały, okrągły nosek.

Jessica zastanawia się, czy starsza kobieta patrzy jej w oczy zza wielkich czarnych szkieł. Sprawdza to uśmiechem.

– Dziękuję, że przyszłaś – mówi.

– Ależ nie ma sprawy, kochanie – odpowiada Solveig.

Jessica otwiera usta, by coś powiedzieć, nie jest pewna co, i nagle dostrzega na policzku Solveig łzę. Milczy.

– Dziwne uczucie być tu u Violi.

Jessica wyciąga dłoń przez stół, Solveig ją przyjmuje, ściska, a potem puszcza.

– No, ale nie przyszłam tu, żeby się nad sobą uzalać. Jak się masz?

– Dobrze – odpowiada Jessica. – Możesz tu przychodzić tak często, jak zechcesz.

– Nie musisz mi tego mówić, kochanie. Jesteś taka podobna do babci. Najchętniej byłabyś sama. Ja nie potrafiłam być sama ani przez sekundę, w twoim wieku już dawno bym chodziła po ścianach. Ale człowiek uczy się z czasem.

W głosie Solveig nie ma niczego, co wskazywałoby na to, że się uzala, ale Jessica się wierci.

– Nie jestem pewna, czy ja i babcia jesteśmy takie podobne.

Babcia była silna w sposób, którego Jessica w ogóle w sobie nie rozpoznaje.

– Viola była z ciebie taka dumna – mówi Solveig.



Z powodu tych słów krtai Jessiki zaciska się tak, że prawie boli. Boi się odpowiedzieć.

– Zachowała każdą linijkę, którą napisałaś do gazety. I każdy wywiad z tobą. Gdzieś w domu znajduje się cały stos albumów z wycinkami. Było jej tak smutno, że nie ma tego kanału, na którym pokazują twój program.

– Nie wiedziałam o tym. Miałam... miałam nadzieję, że nie bardzo wie, czym się zajmuję zawodowo.

– Ależ kochanie. Dlaczego?

Jessica wzrusza ramionami.

– No, sam temat. Nie chciałam, żeby babcia mnie...

Myśli o felietonach, o wszystkich tych lepkich, śliskich, rozmazanych sprawach.

– ...z tym kojarzyła.

Solveig chichocze.

– Może nie zawsze rozumiała. Ale wiedziała, że byłaś zdolna. To znaczy: jesteś.

– W tych tekstach nie do końca jestem sobą – wyjaśnia Jessica.

Na plaży wieje. Wiatr od morza jest dziś silny, ale w altance jest spokojnie, słońce pali ich twarze. Ręce Solveig są pulchne, obwieszane ciężkimi bransoletami, które stukają i dzwonią, gdy podnosi filiżankę. Ręce Jessiki są szczupłe i nagie. Gładkie. Na razie. Solveig zapala papierosa. Kolejne stuki i dzwonki.

– Ostatnio często uderzało mnie to, jak wiele się zdarzyło, od kiedy ty i babcia byłyście młode.

– Zakładam, że przeczytałaś jej pamiętnik? – pyta Solveig.

– Prawie. Czasem musiałam robić sobie przerwy.

– Sporo tego jest. Rozumiem.

Jessica zastanawia się.

– Ktoś wyrwał z notesu kilka stron.

Wyczekuje reakcji Solveig, ale jej wielokrotnie operowana twarz to bardzo

efektowna *poker face*, nieruchoma, jakby wpatrywała się w oczy Meduzy.

– To ty czy babcia?

– Nie czytałam pamiętnika, Jessico. To raczej twoja babcia wyrwała strony.

– Jesteś pewna?

– Och, nienawidzę tego „jesteś pewna?”. Zapytaj mnie wprost, czy kłamię. Jessica waha się.

– Nie będę zła, jeśli to ty. Chcę tylko wiedzieć.

– No więc to nie ja. Uwierz mi, zrób to dla siebie. No i masz o jedną rzecz mniej na głowie.

Jessica potakuje. Wierzy jej.

– Viola z pewnością wiedziała, co robi, jeśli w jakimś momencie zmieniła zdanie – wyjaśnia Solveig.

– Wiesz, co to mogło być?

– Nawet jeśli potrafiłabym zgadnąć, to Viola decyduje, co chce ci powiedzieć. Chyba rozumiesz.

Jessica musi się uśmiechnąć. Oto wierna Solveig, tego babcia nie potrafiła dostrzec przez tak długi czas. Ta, której Jessica w ogóle by nie poznała, gdyby nie przeczytała pamiętnika babci.

– Szkoda, że babcia nie opowiedziała mi o tym, gdy żyła – mówi Jessica. – Mogłybyśmy lepiej się poznać.

– Czy nie to właśnie robicie?

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie jest tak, że nie rozumiem, dlaczego chciała albo nie chciała mi o czymś powiedzieć, ale sądzę, że powinnam była coś zauważyć już dawno temu. Być może dostrzegłabym, gdybym się bardziej nią przejmowała, kiedy jeszcze żyła. Brałam ją za opokę, chociaż wiedziałam... myślałam, że później, któregoś dnia...

– To właśnie jest młodość.

– Nie jestem znów taka młoda.

Solveig wybucha śmiechem.

– Ech, nawet nie wiesz, jaka jesteś młoda.

– Cieszę się, że siebie miałyście – mówi Jessica.

Solveig uśmiecha się, mały, okrągły Sancho Pansa w brokatowych okularach słonecznych.

*Muszę zadzwonić do Petry.*

Duch Święty się rozwiódł. Dowiedziałam się o tym od znajomych, których spotkaliśmy z Viktorem w operze. Mówili, że za dużo pił i że przez ostatni rok zupełnie posiwiiał. Pomyślałam o jego żonie Idun, bogini wiecznej młodości na tamtym przyjęciu sylwestrowym, to było tak dawno temu. Wiosna 1950 roku, zatęchłe powietrze w wynajmowanym mieszkaniu, to wszystko było jak książka, którą już dawno przeczytałam i ledwo pamiętałam jej treść.

Usłyszałam dzwonek przy drzwiach, przybrałam swój profesjonalny uśmiech, po czym odwróciłam się do klienta, czując zimne powietrze z zewnątrz. Stał tam on, ojciec Roberta, Twój biologiczny dziadek. Rzeczywiście poszarzał, nie tylko na włosach. Jak gdyby wszystkie te lata wycisnęły z niego wszelkie barwy. Zrobił się szerszy w pasie, koszula i blezer brzydko na nim leżały. Ale włosy miał elegancko zaczesane i mocno zaciśnięty krawat, zdaje się, że starannie się przygotował na te odwiedziny. Świadomy tego, jak źle czas na niego wpłynął, próbował złagodzić wrażenie zaniedbania.

Uśmiechnęłam się zachęcająco. Nie chciałam zażenować żadnego z nas, pokazując, co tak naprawdę sobie pomyślałam.

Było to w roku 1961, Łajka i jej kapsuła spłonęły w końcu gdzieś w kosmosie, a Robert miał już dziesięć lat, gdy jego ojciec ponownie pojawił się w moim życiu. Jak już wspomniałam, minione lata nie rozpieściły go. Ale to jego żałosna postać sprawiła, że nie byłam w stanie odpowiednio wcześniej go powstrzymać.

Chciał mnie z powrotem, był uparty. Pojawiał się w butikku codziennie, tuż przed zamknięciem, i upierał się, że odprowadzi mnie do domu.

Dlaczego od razu nie odprawiłam go z kwitkiem? Nie miałam serca. Poza

tym zachowywał się przyzwoicie. Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że chce mnie ponownie zdobyć, ale nigdy nie pozwolił sobie na jakiegokolwiek fizyczne zbliżenie, trzymał się na dystans. Ani razu nawet nie zapytał, czy może wejść ze mną na górę. Wieczorne spacery kończyły się przy bramie.

Wpadliśmy na nowo w stare tory. Znów wysłuchiwałam jego problemów. Tym razem chodziło o kosztowny rozwód, trudności ze znalezieniem przyzwoitego mieszkania. A potem słuchałam jego komplementów, jego błagań. Właśnie uświadomił sobie, jakim błędem było odtrącenie mnie. Zapewniał, że jestem piękniejsza niż kiedykolwiek, że dojrzałam, stając się silną i pod każdym względem godną podziwu osobą. Głośno ubolewał nad tym, że wyszłam za mąż za kogoś innego, i przeklinał siebie, że nie zostawił żony w 1950 roku.

Słuchałam tych wywodów, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo przekręca prawdę. Wiedziałam, że przecież nigdy mnie nie kochał, nigdy nie rozwiódłby się z żoną (córką szefa!), by związać się z ciężarną, nastoletnią kochanką. Ten skandal na zawsze zepsułby mu reputację.

W jego wersji na temat naszej krótkiej relacji to nie on wykorzystywał mnie, a przeciwnie. To ja, kusicielka, porzuciłam go bez pardonu, nie dając mu szansy na wyprostowanie spraw, a potem wyszłam za mąż za pierwszego lepszego naiwniaka. Jednak nigdy nie mówił tego z pretensją, raczej był to kolejny dowód tego, jak bardzo niesprawiedliwie potraktował go los.

To jasne, że miał nadzieję, iż będę siatką ochronną, na której on mógłby miękko wylądować teraz, gdy jego rozwód stał się faktem. Był typem mężczyzny, który nie potrafi żyć bez kobiety ani nie potrafi żyć z kobietą, nie poniżając jej. Sposób, w jaki je poniżał, był dziwny, odwrócony, jakby zadawanie się z kobietami było poniżej jego godności, a jednocześnie pozostawał bezbrinnie uzależniony od ich żeńskich uroków. Kilka razy poczułam od niego kwaśny odór alkoholu, paliłam się ze wstydu, gdy zdarzyło mu się rozplakać na środku ulicy.

Zawsze łatwo było obudzić we mnie poczucie winy, po jakimś czasie pomyślałam, że zasługuje przynajmniej na to, żebym go słuchała. Byłam matką jego syna. To ja zakończyłam nasz związek. Brzydziłam się nim.

Och, jaką byłam idiotką, że od razu nie powiedziałam mu, żeby zniknął.

Kilka tygodni później zdarzyło się coś, co kompletnie wyprowadziło mnie z równowagi. Umarła moja matka. Jej stargane chorobą ciało cały czas żyło na kredyt. A jednak zaskoczyła nas jej śmierć, może właśnie dlatego, że kiedyś pokonała niemożliwe przeciwności. Viktor i ja sądziliśmy, że przeżyje wszystko.

Przez ostatnie dziesięć lat moja relacja z nią była bardziej skomplikowana niż wcześniej. Trudno nam było spojrzeć sobie w oczy po okresie poprzedzającym ślub z Billym. Jednak nigdy nie miałam wątpliwości, że Robert powinien znać swoją babcie, i rzeczywiście była wspaiała w tej roli – odgrywała ją dużo lepiej niż rolę matki. Nie była stworzona do tej odpowiedzialności i ciągłych wymagań, które stawia własne dziecko. Wnuka mogła po prostu rozpieścić, bawić i kokosić się z nim na własnych warunkach.

Pogrzeb był wielkim wydarzeniem, przybyły setki gości. Daliśmy z Billym wystarczającą sumę pieniędzy ojcu, by mógł zorganizować taki pogrzeb, jakiego by sobie życzyła. Nie oczekiwałam wdzięczności, ale też nie spodziewałam się oskarżeń, które wydusił przez zaciśnięte zęby, oskarżeń o to, że ja i Viktor złamaliśmy serce matki i doprowadziliśmy do jej zbyt szybkiej śmierci. Mówimy o kobiecie, która za wcześnie się zestarzała, która miała ciężkiego raka, przeszła drastyczne operacje, a potem poniewierała swoje okaleczone ciało między przyjęciami a potwornym zgorzknieniem. Mimo to nasz ojciec musiał kogoś oskarżyć, a ja i Viktor byliśmy pod ręką.

Ojciec i Henrik z żoną wystąpili na pogrzebie u mojego boku, natomiast Viktor i Billy jako zwarta grupa najbliższych żałobników. Po raz ostatni zrobiliśmy takie przedstawienie; od tej pory ojciec całkowicie się od nas odciął. Przed końcem lat sześćdziesiątych umarł i on, i Henrik, ale teraz stali twardzi, zjednoczeni i moralnie przewyższający wszystkich. Robert natomiast nigdy mi nie wybaczył, ponieważ sądził, że to ja nie pozwalałam mu spotykać się z dziadkiem.

To był zawikłany czas. Viktor i ja różnie do tego podchodziliśmy. Ja przeżywałam to, co ciężkie i trudne, nie potrafiłam się pogodzić z tym, co nierozwiązane. Uświadomiłam sobie, że nigdy nie przestałam wierzyć, że matka i ja możemy mieć jakąś godziwą relację. Viktor chciał po prostu zapomnieć. Zaczął pić, a ja i Billy bardzo się martwiliśmy.

Ojciec Roberta wiedział, rzecz jasna, że moja matka umarła. Pojawił się na pogrzebie, ale trzymał się z dala, uważał na swoją byłą żonę i jej przyjaciółki. Dopadł mnie przy schodach kościoła. Chyba miał nadzieję, że jestem tak wstrząśnięta, że wreszcie ulegnę jego namowom.

Stało się inaczej. Moja cierpliwość się skończyła. Nie powiodły się moje próby nakierowania go na lepsze myślenie, zmęczyłam się już byciem śmietnikiem na jego niesmaczną mieszankę oskarżeń i nadskakiwań. Przez jego próby zdyskwalifikowania mojego życia z Billym, którego postrzegał jak prawdziwego męża, zapaliło mi się czerwone światło. Nigdy wcześniej nie czułam takiej bliskości z moją rodziną, jak w pierwszym okresie po śmierci matki i oskarżeniach ojca (były bardzo podobne do tych ze strony ojca Roberta, świadczyły o jego niemocy oddzielenia mojego życia od tego, czego sobie życzył).

Więc zdecydowałam, że to koniec. Tak chłodno, jak tylko potrafiłam, poprosiłam, żeby zniknął z mojego życia, bo nie ma tu czego szukać.

Sądysz, że posłuchał?

Zaczął się pojawiać przy bramie w najmniej oczekiwanych momentach. Wrzeszczał pod naszymi oknami, aż sąsiedzi zaczęli się skarżyć. Viktor i Billy próbowali przemówić mu do rozsądku, ale na próżno. Przez całe popołudnia stał przy witrynie butiku, wpatrując się we mnie. Starłam się go ignorować, ale jego przejmujący wzrok denerwował mnie, robiłam się nerwowa i niezdarna.

Pewnego dnia gdy wracałam do domu, wyszedł zza rogu i wpadł prosto na mnie. Był pijany, oczy mu błyszczały, powiedział, że miał nadzieję mnie spotkać. Tak przesadnie prosił o wybaczenie, że prawie mu uwierzyłam.

Kilka dni później przyszedł pierwszy list, w którym straszył, że odbierze

sobie życie, jeśli nie dam mu szansy. Wydawało mi się, że wszędzie go widzę, także w domu. Mój lęk przed ciemnością dopadał mnie nawet w świetle dziennym.

Po dłuższym okresie spokoju zaczęłam sądzić, że wreszcie poszedł po rozum do głowy. Niestety, wykorzystał te tygodnie na pilne śledztwo czy jakiś inny rodzaj poszukiwań. Nie wiem, jak do tego doszło, ale poznał prawdę o Billym i Viktorze. Może śledził ich do momentu, aż się odsłonili. Albo pilnował naszego domu, ale musiał to robić od dłuższego czasu, bo od śmierci naszej matki nie urządzaliśmy żadnych przyjęć, poza tym goście mieli zwyczaj przychodzić bardzo dyskretnie („przebierańcy” zmieniali ubranie w mieszkaniu). Zastanawiam się, czy nie skontaktował się z moim ojcem, a ten postanowił się zemścić na nas, mówiąc prawdę. To możliwe, ale nigdy nie byłam całkiem pewna.

Dostałam list, w którym straszył, że pójdzie na policję, jeśli się natychmiast nie rozwiodę i nie przeprowadzę do niego z naszym synem. W liście było mnóstwo dziwnych, wściekłych i niepowiązanych ze sobą oskarżeń o to, jak wychowywałam jego syna wśród pederastów, prostytutek i perwersyjnych osób. Pisał, jak brzydzą go te hańby, ci półmężczyźni, którzy starają się zakopać prawa społeczeństwa i natury, i o tym, że Robert stanie się jednym z nich, jeśli nie wezmę na siebie odpowiedzialności.

Czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, jak to jest, że najokropniejsze egzemplarze płci męskiej zawsze uważają się za godnych obrońców „męskości”? Och, jak ja nimi gardzę, tymi samomianowanymi nosicielami sztandarów z chromosomem Y, którzy bez krzty samokrytyki uważają się za wzorzec prawdziwego mężczyzny.

Jego groźby przerażały mnie. Oczywiście nie byłam w stanie wyobrazić sobie, że odchodzę z mojego życia i wywracam do góry nogami świat Roberta. Jak miałby znieść taki szok. Czy kiedykolwiek będę potrafiła powiedzieć Robertowi, że Billy nie jest jego ojcem, że jego ojciec to ten mentalnie niestabilny człowiek? Ale jeśli groźby ojca Roberta były realne, nie mogłam być pewna, czy nie odbierze mi syna. W normalnej sytuacji niemożliwe byłoby, by ojciec dostał prawo do opieki nad dzieckiem, ale nasz



przypadek był daleki od normalności, mogliśmy zostać zmuszeni do odegrania całego spektaklu na odsłoniętej scenie. Byłam przerażona, ale jak rozumiesz, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby to zgłosić na policję. Przyszło więcej listów, zachowałam je na wszelki wypadek. Nawet nie chciałam wyobrażać sobie, co ten „wszelki wypadek” mógł oznaczać.

Pewnego wieczoru, kiedy byłam w domu sama z Robertem, ktoś zadzwonił do drzwi.

Był to Duch Święty. Wpuściłam go.

Był pijany, zachowywał się głośno, starałam się go uciszyć na wszelkie sposoby, żeby nie obudził Roberta. Jeszcze bardziej go to rozwścieczyło. Błagałam, żeby zostawił nas w spokoju. Zaszłam tak daleko, że przeprosiłam go za wszelkie zło, które mu wyrządziłam, wzięłam na siebie całą winę. Rozpłakałam się, bardziej ze strachu niż z jakiegoś innego powodu, na chwilę go to uspokoiło.

Nagle usłyszałam za sobą skradanie, kiedy się odwróciłam, stał tam Robert w piżamie i z rozspaną miną.

– Wracaj do łóżka, kochanie – powiedziałam.

– Kim jest ten pan? – spytał zawstydzony.

W klatce piersiowej otworzyła mi się przepaść, czarna dziura strachu. Ale ojciec Roberta milczał. Huśtał się tylko na stopach.

– To przyjaciel z dawnych czasów – odparłam, Robertowi wystarczyła ta odpowiedź. Plecy oblewał mi zimny pot, gdy starałam się uśmiechnąć uspokajająco do syna.

– Dobranoc – pożegnał się swoim dzieciennym głosikiem i wrócił do pokoju.

Nie chcę wracać do tych wspomnień. Sądziłam, że zostawiłam je daleko za sobą, ale teraz widzę, że istnieje inny rodzaj wyparcia: to, kiedy pamięta się fakty, ale nie emocje. Teraz te emocje do mnie wracają.

Kiedy zrozumiałam, co się zaraz wydarzy, starałam się to oddalić w czasie, dlatego mówiłam, mówiłam, mówiłam, aż nie było już nic do powiedzenia.

Kiedy po raz pierwszy mnie uderzył, wrzasnąłam, ale tylko w środku, zacisnęłam usta, żeby nie wystraszyć Roberta.

To Solveig znalazła mnie na podłodze w przedpokoju. Drzwi były wciąż otwarte, gdy usłyszałam, jak zbiega po schodach.

Wyrzuciła ojca Roberta, który zdążył się już zamienić w pochlipujący wrak na podłodze kilka kroków ode mnie, zajęła się płaczącym Robertem, a ja pospieszyłam do sypialni, powoli ściągnęłam z siebie ubranie i zaczęłam badać ciało. Na klatce piersiowej wykwitły mi opuchlizny i siniaki. Na twarzy pojawiła się płonąca, czerwona plama, ale skóra nigdzie nie pękła, następnego dnia nikt nie będzie niczego podejrzewał.

Wątpię, że był to przypadek. Przez lata ten człowiek się zmienił. Wyniszczająca frustracja i alkohol przeobraziły go w potwora. Sądzę, że doskonale wiedział, jak uderzać, by jego Idun mogła ukryć ślady, po tamtym zdarzeniu często myślałam o tym, jak bardzo się cieszę, że należy ona do grona niewielu kobiet, które miały odwagę zostawić bijących je mężczyzn. Szczególnie w tamtych czasach, warto dodać. Ale niekiedy zastanawiam się, czy nasze społeczeństwo rzeczywiście dojrzało, czy tylko jesteśmy sprawniejsi w udawaniu.

Solveig siedziała na brzegu łóżka, szeptała uspokajająco, aż zasnęłam. Kiedy nad ranem obudziłam się z ciężką głową i obolała na całym ciele, ona, Billy i Viktor rozmawiali przy stole w kuchni ściszonymi głosami. Gdy weszłam, odwrócili się do mnie. Spytałam o Roberta, wystraszyłam się, że być może został porwany, ale Solveig mnie uspokoiła. Bawił się z Gunnarem u niej w mieszkaniu. Mąż Solveig był z nimi, wtajemniczony w całą sytuację.

– Poradzimy sobie z tym – powiedział Billy, obejmując mnie delikatnie. – Nie martw się. Nie będzie nam już dokuczał.

Nie spytałam, skąd może to wiedzieć. Powiedział to tak, by mnie zapewnić, że tak będzie najlepiej. Dla wszystkich. Billy wciąż miał kontakty w sferze dyplomatycznej, więc mógł

## WYRWANA KARTKA

można mówić o szczęściu w tej sytuacji – powiedziała Solveig.

Tym samym mieliśmy kolejną tajemnicę, która jeszcze bardziej zacieśniła naszą przyjaźń.

Przez całą noc siedziałam z Viktorem i Billym. Po raz pierwszy i ostatni w życiu upiłam się whisky.

Jessica z ulgą odkłada słuchawkę. Nie żałuje.

Producent dostał zielone światło na kolejny sezon jej programu, ale odmówiła. Rickard nie mógł w to uwierzyć. Dopytywał, czy naprawdę to przemyślała. Zapewniła go, że tak. A jednak nie rozumiał. Spytał, czy chodzi o pieniądze. „Nie, to żadne podchody negocjacyjne, po prostu tak zdecydowałam” – powiedziała.

Rozumie, że Rickard jest skonfundowany, nie podejrzewał, że ona zrezygnuje. Prezenterzy na jej poziomie zazwyczaj dziękują z pocałowaniem ręki za to, że mogą zrobić jeszcze jeden sezon.

Ale ona wystarczająco dużo zaoszczędziła. Stać ją na to, żeby odmówić. Petra nazywa to kontem „pocałujcie mnie w dupę” – większość ludzi go nie posiada. Chociaż będzie musiała zacisnąć pasa.

Dopiero gdy przestała czekać na tę wiadomość, poczuła, co naprawdę chce robić. Kiedyś, tak dawno, że ledwo to pamięta, chciała pracować z ludźmi: na pogotowiu dla uzależnionych, w centrum kobiet albo w przychodni dla młodzieży. Wciąż może to zrobić. Nagle spoglądając na życie z dystansu, nie rozumie, dlaczego uparcie trzymała się pracy w świetle reflektorów, skoro nienawidzi skupiania na sobie uwagi. Może to instynkt rywalizacji? Chęć, by się powiodło? Widzi to wyraźnie, ale nie przypisuje temu znaczenia. Pora, by pałeczkę przejął ktoś, kogo naprawdę to bawi.

Uśmiecha się. Ma w sobie lęk, ale i oczekiwanie, podoba jej się to.

Po tym poranku pozostała mi jeszcze ponad połowa życia, a jednak to tu kończy się moja opowieść. Nie piszę tego tylko po to, by Tobie to wyjaśnić, ale również, by przekonać siebie, że tak się mają sprawy. Tak jak trudno było mi zdecydować, w którym momencie zacząć, nie wiem, gdzie skończyć. Ale powiedziałam to, co musiałam powiedzieć, równie dobrze mogę skończyć pisać dobrowolnie, zanim ciało mnie do tego zmusi.

Tak jak Billy mi to obiecał, nigdy już nie spotkałam ojca Roberta, ale wiem, że zamieszkał gdzieś pod Uppsalą, tam powoli odbierał sobie życie przy użyciu butelki. Nie potrafię go nienawidzić, jego historia jest na to zbyt tragiczna.

Jeśli się zastanawiasz: nigdy już nie poznałam żadnego mężczyzny, nie w ten sposób. Po tym, jak nasza rodzina znalazła się w zagrożeniu, jeszcze bardziej zaczęłam się o nią troszczyć. Nie było to warte ryzyka ani kłopotu, poza tym nikt nigdy szczególnie mnie nie zainteresował. Jeśliby tak się stało, poczułabym, jakkolwiek żałośnie to zabrzmiałoby, że zdradzam Billy'ego. Żałośnie, tym bardziej że pod koniec lat siedemdziesiątych on i Viktor zawarli umowę, że wolno im się spotykać z innymi mężczyznami. Kiedyś zapytałam Viktora, czy nie jest zazdrosny. „Pewnie – odparł – jestem zazdrosny, bo Billy dostaje dużo więcej sprośnych propozycji niż ja!” Wyobrażasz to sobie? Mieli więcej facetów, niż trzeba, a ja prawie nikogo. Ale takie jest życie.

Wydaje mi się, że fizyczna miłość nigdy nie była dla mnie czymś szczególnym. Czyż nie starałabym się o nią, gdyby było inaczej? Nie wiem. Od dawna nie mam dostępu do tych uczuć. Nawet do wspomnień o nich.

Dużo trudniej było mi pogodzić się z tym, jak szybko Robert oddalał się z mojego życia. Zgorzkniałam, co jeszcze bardziej go dystansowało. Próbowałam się uodpornić, tworzyłam wokół siebie skorupę, jak żuk.

Twarda i błyszcząca na zewnątrz, w środku skrywałam to, co miękkie i wilgotne. Kiedy się urodziłaś, potrafiłaś na krótkie chwile rozbić tę skorupę, ale dopiero po przeprowadzce do Skanii na dobre się jej pozbyłam. Nie myślałam sobie, że nie miałam uczuć. Kochałam Cię do szaleństwa od pierwszej chwili. Dopóki Robert nie rozwiódł się z Twoją mamą, często się spotykaliśmy. Mam nadzieję, że choć trochę mnie pamiętasz z tamtego okresu, gdy wciąż byłam silna. Bardzo lubiłam Twoją mamę, było mi smutno, gdy się rozwiedli. Pozdrów ją, proszę, ode mnie.

Kiedy lata siedemdziesiąte dobiegały końca, ja i Billy mogliśmy od dawna się rozwieść. Rozwody były wówczas czymś normalnym, ale nasza sytuacja odpowiadała całej trójce. Zawsze byliśmy blisko siebie, nikt nie chciał zniszczyć tej harmonii, którą stworzyliśmy. Nie było powodu, by się nad tym zastanawiać. Jeśli nagle wywrócilibyśmy wszystko do góry nogami, wpłynęłoby to na wiele życiorysów, także na Twój, Jessico. Gdybym się rozwiodła z Billym, ujawniłaby się reszta kłamstwa: on i Viktor raczej nie mogliby nadal żyć razem, nie budząc podejrzeń.

Kiedy zaprzestano klasyfikowania homoseksualności jako choroby, nastąpiły nowe czasy, bardziej wolne, ale fakt, że epoka się zmieniła, nie oznaczał, że my także. Nadal byliśmy produktami naszej epoki i tego, co się wydarzyło.

Potem nadeszły lata osiemdziesiąte, tajemniczy gejowski rak powoli zabijał naszych przyjaciół. Nazwano go HTVL-III, a potem HIV i AIDS, poczuliśmy, jak atmosfera wokół nas znów się zagęszcza. Ludzie wpadli w panikę, obawiano się, że nawet komary mogą przenosić wirusa, nagle każdy homoseksualny mężczyzna stał się zagrożeniem. W powietrzu czuło się nową falę wrogości, dodaj do tego nasz smutek, gdy odchodzili kolejni przyjaciele. Wstyd się przyznać, ale nie mieliśmy nawet odwagi odwiedzać ich w szpitalu, zajmował się nimi personel ubrany w coś na kształt kombinezonów kosmonautów, unikający jakiegokolwiek kontaktu cielesnego.

Nic nie było jak dawniej. Sztokholm stał się miastem duchów. Wielokrotnie nie pozwolono nam przyjść na pogrzeb, którym zajęła się rodzina niezgadająca się na wyjawienie prawdy o nieboszczyku. Jednego

lata urządziliśmy aż trzy prywatne ceremonie, piliśmy wino, rozmawiając o zmarłych i próbując się śmiać z jasnych wspomnień. W ten sposób obudziliśmy mnóstwo dawnych chwil, zaklinając pamięć o ohydnej śmierci.

Tego lata postanowiłam, że się przeprowadzę. Chciałam zacząć wszystko od nowa. Marzyłam o ogrodzie.

Nadeszła jesień, kiedy w końcu zwierzyłam się Billy'emu i Viktorowi ze swoich planów. Bałam się tego momentu, bo traktowałam go jak pożegnanie. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i radości od razu zdecydowali, że przenoszą się ze mną. Oni również pragnęli wyjechać, zgodziliśmy się, że zaczniemy szukać domu na Österlenie. Ja chciałam wyprowadzić się na południe, oni pragnęli być bliżej kontynentu. Zamierzali podróżować. Ja przeciwnie, planowałam zakorzenić się najgłębiej, jak to możliwe, pozostać w jednym miejscu i zamienić je na moje własne.

Solbackę znaleźliśmy pewnego niedzielnego popołudnia. Padał taki deszcz, że nie miałam ochoty opuszczać hotelu w Ystad. Zdjęcie domu w gazecie nie zachęciło mnie, a nazwa Słoneczny Stok wydała mi się tego dnia zbyt ironiczna.

Byłam zmęczona. Zaczęliśmy wątpić, czy kiedykolwiek znajdziemy dom, który spodoba się całej trójce. Zawsze ktoś dopatrywał się jakiejś wady: za mały, za duży, za daleko, za blisko sąsiadów, zbyt zniszczony, zagracony... Sądzę, że stresował nas ten krok, krok przez pół kraju, dlatego znajdowaliśmy powody, by przesunąć go jeszcze trochę w czasie.

W każdym razie dziadki przekonały mnie, żebyśmy pojechali sprawdzić.

Ulewa sprawiła, że droga była prawie nieprzejezdna. Pełna nerwów słuchałam, jak opony samochodu zatapiają się w błocie, spodziewałam się, że w każdej chwili koła mogą zacząć buksować, a potem ugrzęzną na dobre. Nie miałam najmniejszej ochoty utknąć w nieznanym lesie, w ulewie o zmroku.

Gdy w końcu dojechaliśmy na miejsce, a Billy zaparkował auto, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna poczułam w sobie spokój. Nie potrafię tego opisać. To było jak powrót do domu.

Wybiegliśmy z samochodu, chroniąc się pod wysuniętym dachem.



Zajrzałam do środka przez okno w miejsce, gdzie potem mieliśmy wybudować schody do mojej sypialni, wtedy był to ponury pokój gościnny (teraz pewnie rozumiesz, że Billy i ja dzieliliśmy łóżko tylko wtedy, gdy Ty lub tata do nas przyjeżdżaliście; poza tym spał u Viktora w przybudówce, ale przez wszystkie te lata zawsze razem jadaliśmy śniadania).

Miałam łzy w oczach, nie wiedząc dlaczego. Możliwe jednak, że Gloria ma trochę racji, gdy bredzi o meridianach i energiach. Według statystyk może i dałoby się wyłowić jakiś okruszek złota z całej tej rzeki głupot, która wypływa z jej ust.

W każdym razie moje uczucie w tamtej chwili nie miało nic wspólnego z gołymi faktami. Dom był mały i niepozorny, czteroboczne pudło z pochyłym dachem i odłączoną ze ścian białą farbą. Wiedzieliśmy już, że droga przy złej pogodzie jest niemal nieprzejezdna, a to, że trójka starszków miała tu mieszkać zimą, było czystym szaleństwem. A jednak jakby ktoś podniósł przede mną kurtynę, spojrzałam w przyszłość, widziałam wyraźnie, co należy zrobić. A co tym bardziej było wyjątkowe: zgadzaliśmy się. Wszyscy mieliśmy to samo wrażenie. Było to miejsce, którego szukaliśmy.

Kochana Jessico. To będzie mój ostatni wpis. Nadal nie wiem, czy pozwolę Ci przeczytać te strony. Zastanawiam się, czy to nie egoistyczne z mojej strony, czy to nie dla siebie wyrzuciłam ten ciężar przed śmiercią. Nie wolno zadawać takich pytań, oczekując prawdziwej, jasnej odpowiedzi, ale i tak wydaje mi się, że dobrze postępuję, niezależnie od zamiarów, dbając o to, by ten pamiętnik znalazł się w Twoich rękach. Nie próbuję Ci powiedzieć, że „szczerść się opłaca”, ani mądrzyć się, że „prawda uwolni nas wszystkich”. Po prostu nie wierzę już w życiowe kłamstwa. Nie wierzę, że mają w sobie coś dobrego. Sądzę, że Twój tata byłby innym, szczęśliwszym człowiekiem, gdyby nie musiał dorastać jako nieświadomy uczestnik naszej gry. Myślałam, że postąpiłam dobrze, dając mu, a w przedłużeniu także Tobie, bezpieczne życie w „prawdziwej” rodzinie. Ale pewnie doszedł do wniosku, że robiliśmy coś wstydlwego, ponieważ to ukrywaliśmy. Być może nie byłby taki oskarżający, gdyby nie czuł, jak bardzo oskarżamy sami siebie. Czuję, że to

kłamstwo musi się zakończyć, a koniec zaczyna się w Tobie. Mam nadzieję, że to rozumiesz i że potrafisz to przyjąć z otwartym sercem.

Muszę wyjaśnić jeszcze tylko jedną rzecz. Teraz, gdy się kończy, jestem całkiem pogodzona z moim życiem. (Nie boję się śmierci. Wierzę, że to, co nas po niej czeka, jest wspaniałe, to dlatego nic o tym wcześniej nie wiemy. Najwidoczniej nie moglibyśmy wytrzymać i doczekać końca życia na ziemi, gdybyśmy byli tego świadomi). Mam męża i brata, których kocham, żyjemy razem w dość przyjemny sposób. Życie nigdy nie jest szczególnie trudne, o ile nie oczekuje się, że będzie inne. Niczego nie żałuję, ponieważ zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, i z tymi zasobami, które miałam. I wszystko, co się stało, także to, co złe, doprowadziło mnie tutaj. Mam więcej szczęścia niż reszta. Spójrz tylko na Solveig, która przeprowadziła się tu, kiedy jej zmęczony mąż po raz ostatni zasnął w ubraniu. Jest samotna w sposób, którego ja, mimo wszystko, nigdy nie doświadczyłam.

Dziś jestem również szczęśliwa z powodu tych pierwszych lat z Robertem, kiedy wciąż należał do mnie. Jeśli nie miałabym Roberta, nie miałabym również Ciebie! To ważne, Jessico, wiemy, na czym stoimy, Ty i ja. To ważniejsze niż liczenie godzin i minut przebywania w tym samym pokoju. Pomyśl o tym, jeśli kiedykolwiek dopadną Cię wyrzuty sumienia, do których obie mamy skłonność. Wszystko między nami jest dobre, kocham Cię. Jesteś kochana.

Jak wspomniałam wcześniej, zrób, co chcesz z tym pamiętnikiem. Bądź tylko ostrożna z Viktorem i Billym. Gdy tak długo żyło się z jakąś tajemnicą, trudno potem zdecydować, kiedy jest pora, by ją uwolnić. Pilnie się jej strzeże, odpierając konfrontacje. Miej cierpliwość, niech opowiedzą o tym na swoich warunkach, we własnym tempie. I pamiętaj, że Billy, we wszystkim co istotne, jest Twoim dziadkiem.

To wszystko.

Uściski

Babcia.

Mija kilka dni. Stoi na środku dużego pokoju i przez otwarte drzwi wygląda na ogród. Przypomina jej się, jak razem z babcią odmawiała wieczorną modlitwę i jak babcia zawsze kończyła prośbą, by Jessica „miała tyle miłości, żeby mogła się nią dzielić z innymi”.

Wyjmuje pamiętnik. Drapie paznokciem wzór wyhaftowany złotą nitką.

Prawda. Więc taka była. Ni mniej, ni więcej. Teraz jest częścią niej.

Nagle widzi to wyraźnie, ogromny mechanizm zegara, na którym wszystko się ze sobą łączy: ta, którą jest dzisiaj, to, kim stali się jej tata, babcia, Viktor i Billy

*nie: dziadek*

oraz rodzice babci i Viktora. Ich życiorysy to koła zębate, które napędzają się nawzajem, a poza nimi inne koła w niekończącej się perspektywie. Jest produktem tego mechanizmu, to właśnie chciało jej opowiedzieć minione lato.

Krzyżuje ręce na piersiach, chodzi po domu w tę i z powrotem. Uczucie przypomina niecierpliwość. Gromadzi się w niej, aż ciało jest naelektryzowane. Jak podczas ataku paniki. Ale

*nie*

to coś zupełnie innego. To coś zdrowego, żywego. Tak. Jest żywa. Ma przed sobą tyle życia, a jednak nie zamierza stracić ani dnia więcej. Już nie chce się ukrywać. Znowu pragnie żyć swoim prawdziwym życiem.

Więził ją lęk, bała się, że ktoś za bardzo się zbliży, bała się potwora pod łóżkiem. Ale oszukiwała się. Tak naprawdę nigdy nie bała się tego, co może przyjść z zewnątrz i ją schwytać. Bała się tego, co miała w sobie. Bała się strachu i innych silnych niekontrolowanych uczuć, których być może nigdy nie dałoby się ponownie zamknąć po tym, jak raz wypuści się je na zewnątrz.

Bała się, że ją rozerwą, że oszaleje. Ale teraz chce

żyć

żyć i nie może dłużej czekać. Jest gotowa. Zbyt długo pozostawała na przycisku pauzy. Już się nie boi. Czas wracać do domu, do Sztokholmu. To nie miasto było błędem, ale to, co ona z nim robiła.

Jessica idzie na strych – pakuje ostatnie rzeczy babci, których nikt nie chce, jutro odda wszystko na cele dobroczynne – wtedy dzwoni telefon. Zbiega, skacząc co drugi schodek, żeby zdążyć. Spodziewa się, że to Rickard chce jeszcze raz spróbować ją przekonać, żeby wróciła, ale ona ma nadzieję, że to jednak nie on.

Chwyta słuchawkę.

To nie Rickard.

– Tu Jakob – odzywa się głos.

Opiera się o blat w kuchni, nie może w to uwierzyć. Ale nie ma znaczenia, czy to tylko złudzenie. Musi zadać pytanie, które cały czas w sobie nosi.

– Gdzie jesteś?

– Jessico, nie mogę długo rozmawiać, ale chcę, żebyś wiedziała, że jest mi przykro z powodu tego, co ci zrobiłem. Musisz mi uwierzyć.

– To byłeś ty, prawda? Sądziłam, że ze mną coś jest nie tak, ale to ty byłeś Erikiem Anderssonem?

– Tak.

Scena ze sklepu ogrodniczego ponownie miga jej przed oczami. Stali tak blisko siebie. A jednak się nie dotknęli. Ani razu.

– Przykro mi – powtarza.

Jessica widzi swoje odbicie w oknie nad zlewem, jest blada i zestresowana. Zapala papierosa, mocno się zaciąga, tak mocno, że kiedy oddała go od ust, te mlaszczą.

– W dupie mam, że jest ci przykro. Dlaczego, Jakob? Tylko to chcę wiedzieć.

W jednej chwili boi się, że on odłoży słuchawkę. Na linii coś chrzęści.

– Nie mogę powiedzieć dlaczego. Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo chcę ci o tym opowiedzieć, ale nie mogę. Nie wolno ci mnie szukać. Jestem dla ciebie niebezpieczny, jeśli nie będziesz się trzymać z dala ode mnie.

Serce Jessiki pracuje jak szalone, żeby znaleźć odpowiednie słowa.

Przerwa. Trzask. Chrzęst na linii. Nie przerywaj, nie może się przerwać.

– Już powiedziałem za dużo – odzywa się – tylko dlatego, że znów muszę uciec.

Nie. Musi go spotkać. Musi.

– Dokąd? – pyta.

– Jeszcze nie wiem.

– Gdzie teraz jesteś? Możesz mi przynajmniej powiedzieć, czy dalej jesteś w Skanii.

– Nie mogę.

– Proszę, Jakobie. Muszę się z tobą spotkać. Musimy porozmawiać. Nie wytrzymam dłużej.

– Przepraszam – mówi.

Rozmowa się urywa.

Jessicę zawsze irytowały sceny w filmie, kiedy główny bohater stoi i krzyczy „halo” do milczącego telefonu, ale teraz robi to samo. Potem odkłada. Czy można wyśledzić zakończoną rozmowę?

Jej dłoń sunie po blacie. Zabiera ze sobą szklaną miskę z owocami. Dłoń rozpędza się, jakby sama z siebie, i miska leci z zadziwiającą siłą na przeciwległą ścianę. Powietrze wibruje od huku przez dobrych parę sekund. Odłamki szkła rozsypują się po podłodze razem z przejrzalymi bananami i jabłkami z ogrodu.

Jessica stoi nieruchomo, zafascynowana połyskującym stosem. Podchodzi do niego boso, uważa na odłamki, podnosi ostre kawałki, wkłada je do lewej dłoni. Wyobraża sobie, jak mocno zaciska na nich rękę, niemal czuje, jak szkło wbija się w skórę, przecina ścięgna, wrzyna się w cienkie kości. Ale nie jest osobą, która potrzebuje fizycznego bólu do uśmierzenia psychicznego cierpienia, mdli ją na samą myśl. Dalej podnosi szkło opuszkami palców

prawej dłoni.

Właśnie wyłączyła odkurzacza, dźwięk ostatniego odłamka szkła stukającego w rurze wypełnił ją poczuciem zadowolenia, kiedy nagle ktoś dzwoni do drzwi.

Otwiera je.

A tam stoi on.

### III

Jessica i Jakob



Jakob wchodzi za Jessicą do domu. Dziewczyna porusza się tak samo jak kiedyś. Wyprostowana, w każdym kroku maleńki, ledwo dostrzegalny podskok. A jednak jest inna. Zobaczył to już w tamtym momencie szoku, kiedy pojawiła się w jego pracy, a ich spojrzenia się spotkały. Coś przepadło. Wie co, sam czuje to samo, widzi to codziennie w lustrzanym odbiciu.

Jessica sadza go na kanapie i pyta, czy napije się kawy.

– Tak, poproszę – odpowiada.

– A może wolałbyś whisky?

Są wobec siebie dziwnie uprzejmi. Klaustrofobiczne uczucie. Jakby oboje wczepili się w fasadę normalności i nie mieli odwagi jej opuścić.

– Dziękuję, ale prowadzę.

– W takim razie wypiję za nas oboje – odpowiada, wychodząc do kuchni.

Głośno stuka drzwiczkami szafek, czajnik zaczyna szumieć, Jakob wyciera spocone dłonie o dzinsy.

– Ten dom jest naprawdę piękny – mówi, gdy ona wraca z tacą.

W jej wypełnionej po brzeg szklance z whisky pobrzękują kostki lodu.

– Dziękuję.

Stawia przed nim kubek z kawą tak gwałtownie, że trochę wylewa się na stół.

– Miło, że zajrzałeś – odzywa się.

Nie da się nie zwrócić uwagi na ton jej głosu. On uśmiecha się nerwowo.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyrzuca z siebie.

– Ja też nie. Ale to ty musisz zacząć.

Przytakuje. Zmienia pozycję.

– Opowiem, co mogę. Ale nie wolno mi powiedzieć wszystkiego.

Ma wrażenie, jakby fruwała gdzieś pod sufitem nad nimi, obserwuje ich z góry, wyraźnie widzi scenę z daleka. *Ta blizna*. Coś w brzuchu jej się wywraca, gdy myśli, jak blisko było, żeby stracił oko.

– Mogłabym ci opowiedzieć, jaki chaos wprowadziłeś w moje życie – mówi.

– Rozumiem. Cieszę się, że mimo wszystko dobrze ci idzie.

Ma ochotę rzucić mu szklanką whisky prosto w twarz. Ale bierze tylko wielki łyk.

– Poroniłam – mówi potem.

On wzdryga się, co przyprawia ją o mroczną, jakby pozbawioną radości uciechę.

– Przez ponad rok byłam na zwolnieniu, wciąż jestem na antydepresantach. Zaczęłam czuć, że wracam do życia. Ale ty znowu się pojawiłeś. A teraz siedzisz tutaj.

Bierze kolejny łyk. On wciąż nie ruszył swojej kawy.

– Wywróciłeś wszystko do góry nogami. Przez ciebie zaczęłam się zastanawiać, czy nie jestem wariatką.

Nie rozpoznaje płaskiego tonu głosu, który wychodzi z jej ust.

– Więc opowiadaj. Co tu robisz?

– Muszę być pewny, że zrozumiałaś, że nie możesz mnie szukać, gdy znowu zniknę.

– Kim jest Erik Andersson?

Wreszcie podnosi swój kubek z kawą, przełykanie sprawia mu trudność. Wygląda, jakby podejmował decyzję.

– Dostałem nową tożsamość – mówi.

W jej mózgu jakby wyłączono prąd. Odczuwa to niemal fizycznie. Coś się zamyka.

– Dlaczego?

Brzmi jak bardzo logiczne pytanie.

– Nie wiem, czy pamiętasz. W ten sam weekend... W weekend, kiedy zniknąłem, zastrzelono dwie osoby w barze w Göteborgu.

Ona przytakuje.

– Byłem tam – ciągnie. – Znałem jednego z nich. Nie, żebyśmy się kumpłowali, ale widywaliśmy się na mieście. Ja i inni pracujący w knajpach zawsze trafialiśmy po pracy w te same miejsca.

Czeka.

– Nigdy wcześniej nie byłem w jego barze. Rozumiesz? To potworny, idiotyczny przypadek, że akurat wtedy tam poszedłem. Miałem wolny wieczór, chciałem się napić piwa.

– Więc...

– Byłem świadkiem. W barze było dwóch gości i jakiś facet z personelu. Ale nikt oczywiście nic nie widział. Mafia, tak nazwano ich w gazetach. Ten, którego znałem, był uzależniony od gier, był im winien kasę. Mnóstwo kasy.

Jessica opróżnia szklankę z whisky i w milczeniu czeka na ciąg dalszy.

– Podjęto decyzję, że tej samej nocy, kiedy wybuchła strzelanina, dostanę chronioną tożsamość. Wywieźli mnie na drugi koniec kraju i trzymali pod strażą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet nie było mnie na rozprawie, nagrali moje zeznania.

Jessica wyciąga rękę, ostrożnie dotyka blizny. Nie jest tak chropowata, jak się spodziewała. On się cofa.

– A to?

– Pół roku potem i tak mnie znaleźli. Gość, którego wysłali, był tak napalony, że nie... Udało mi się uciec. To po tym zdarzeniu dali mi nowe nazwisko. Znowu trzeba było mnie ukrywać i chronić, zanim podjęto decyzję o nowej tożsamości. Zajęło im to z miesiąc. Nie wolno mi było nawet wyjść po gazetę.

– Zamknęli ich? Tych, przeciwko którym świadczyłeś?

– Tak. Ale wiedziałem, że to bez znaczenia. Zorganizowana przestępczość jest naprawdę świetnie zorganizowana.

Sili się na ironiczny uśmiech.

– Więc było warto? – pyta Jessica.

Jej mózg wreszcie zaczyna rozumieć, że nie ma halucynacji. Że to naprawdę Jakob tu siedzi. Jest zajęta przetwarzaniem tego faktu. To, co on mówi, jest na drugim planie. Teraz musi dostać wszystkie odpowiedzi, potem je przemyśli.

Czy było warto? Jakob chciałby bez wahania odpowiedzieć, że tak.

Na komisariacie w Göteborgu była jedna kobieta, której udało się go przekonać do złożenia zeznań. Powiedziała mu, czego podejrzani dopuścili się wcześniej. Co prawdopodobnie zrobią w przyszłości, jeśli się ich nie zamknie – rzeczy, które to on miałby na sumieniu. Starał się znaleźć jakieś wyjście. Stawiał pytania, o których dziś wie, że były naiwne. Była to najtrudniejsza decyzja w jego życiu, porzucenie wszystkiego. Ale wciąż nie potrafi odpowiedzieć na pytanie Jessiki.

Sądził, że dobrze zrobił, zostawiając Jessicę bez wyjaśnień. Nikt jej nie zastraszał. Zdawało się, że w ogóle o niej nie wiedzą. Widział szansę oszczędzenia jej tego wszystkiego. Z pewnością znienawidzi go, wkurzy się. Pomoże jej to o nim zapomnieć.

Ale jak mogłaby zapomnieć? Przecież myślał o niej każdego dnia przez te wszystkie lata. To on nie mógł o niej zapomnieć. Najmniejszy szczegół wciąż jest czysty jak kryształ. Wtedy zdaje się bardziej rzeczywiste niż teraz. W jego życiu nie ma nic, co byłoby cokolwiek warte, nic poza wspomnieniami.

Jest jednym z niewielu Szwedów żyjących pod najostrzejszą formą ochrony świadka. Nawet jego rodzice nie wiedzą, ani gdzie się znajduje, ani kim jest. Raz do roku kupuje nową kartę SIM, żeby do nich zadzwonić. Mówi, że żyje. Sprawdza, jak oni się mają.

To trudne rozmowy, obawia się ich przez długi czas, zanim zadzwoni. Jego mama stara się być silna, wesoła. Tata nie mówi zbyt dużo, ale nie chce odłożyć słuchawki. A jego siostra cały czas płacze. Siostra ma dwoje dzieci, których nigdy nie spotkał, prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł ich zobaczyć.

Po tych rozmowach samotność jest gorsza niż przed nimi.

Po prostu nie może dopuścić do siebie nikogo. Erik Andersson jest miły, ale bezosobowy. Nigdy nie pije i nigdy nie chodzi na imprezy. Kiedy pracował w sklepie ogrodniczym, rzadko jadał lunch z pozostałymi pracownikami, trzymał się z dala, zjadał swoją porcję pochylony nad książką. Po latach stał się ekspertem odmawiania w uprzejmy sposób. Z lekkością, niemal niezauważalnie, a jednak niedwuznacznie zaznacza, że chce być sam. Na początku było trudno, brakowało mu towarzystwa. Potem przyzwyczał się do niewidocznej izolatki, która stała się jego miejscem życia.

Nie da się utrzymywać bliskiej relacji z nikim, jeśli jednocześnie trzeba kłamać o tym, kim się jest. Związek miłosny i przyznanie się do czegoś, co byłoby choćby zbliżone do prawdy, wykluczają się. Kto wie, co może się stać po rozstaniu.

Ostrzegano go, jak łatwo doprowadzić do tego, że była dziewczyna, w procesie godzenia się ze stratą, zaczyna opowiadać prawdę swoim najbliższym przyjaciółkom, które z kolei mówią to komuś następnemu, i szybko taka historia potrafi dotrzeć do tych, przed którymi się ukrywa.

Jak łatwo to rozpędzić i jak trudno zatrzymać. Dlatego pies jest jego jedynym towarzyszem. Oraz paranoja wisząca nad nim od rana do nocy. Za każdym razem, gdy nieznane auto przejeżdża ulicą. Za każdym razem, gdy jakiś nieznajomy napotyka jego wzrok. Rzecz jasna, że natychmiast dostrzegł śledzące go srebrne auto.

– A więc było warto? – pyta ponownie Jessica.

Jakob wygląda, jakby właśnie wybudził się ze snu. Wzrusza ramionami, ale nic nie mówi.

– Teraz rozumiesz, dlaczego nie chciałem cię w to wciągać? – odzywa się w końcu.

Jessica wstaje, podchodzi do barku i odstawia butelkę. Jakob idzie za nią. Ona zbiera się w sobie, odwraca się i patrzy na niego.

– Jak mogłeś po prostu zniknąć? I ten cholerny list...

– Rozumiem, że jesteś wkurzona.

– Przestań, kurwa, być taki wyrozumiały! Nic nie rozumiesz! Co ty w ogóle sobie myślałeś? Że tak po prostu o tobie zapomnę?

– Wydawało mi się, że robię dobrze. Pytałem ekspertów o radę, tych, którzy od dawna zajmują się podobnymi sprawami.

– Ekspertów? Kurwa, Jakob, to ty byłeś ekspertem ode mnie. Powinieneś wiedzieć, że chcę znać prawdę. Pojechałabym z tobą.

– A potem co? Mielibyśmy identyczne blizny? Czy jeszcze gorzej?

Nie może dłużej na niego patrzeć.

– Wykorzystaliby cię, żeby się ze mną rozprawić – mówi.

– I tak bym z tobą pojechała.

– Dla mnie to też nie było łatwe. Zostawiłem całe swoje życie. Nie mam już nic.

Podnosi jej podbródek i patrząc jej w oczy, wskazuje na bliznę.

– Tęskniłem za tobą, ale kiedy to się wydarzyło, w pierwszej chwili pomyślałem: jakie szczęście, że nie ma tu ze mną Jessiki. Mogłem cię w to nie wciągać i tak zrobiłem. Nie mam zamiaru za to przeproszać.

– Co teraz zrobisz?

– Wyprowadzę się. Mam nadzieję, że tym razem nie będę musiał zmieniać tożsamości. Ale to zależy od ciebie, Jessico. Czy możesz obiecać, zrób to dla mnie i dla siebie, że nie...?

Prycha, dłonią zakrywa oko. Na policzku napina się mięsień.

Ona kładzie rękę na jego ramieniu. Dotyka miękkiej koszulki, czuje ciepło ciała, pod materiałem twardy obojczyk.

– Wiesz... – zaczyna.

– Muszę iść.

Jessica potrząsa głową i podchodzi bliżej. Jakob opuszcza dłoń i patrzy na nią.

– Nie idź – prosi Jessica.

– Muszę.

– Nie możesz odejść, kiedy wreszcie do mnie wróciłeś.

Pierwsze, co pamięta po przebudzeniu, jest kompletną abstrakcją. Uczucia, których nie potrafi nazwać. Rosnąca w niej tęsknota za dotykiem stała się tak silna, że przestała się w niej mieścić. Ich ciała przyłgnęły do siebie jak dwa szukające celu pociski. „Byłam taka samotna” – odzywa się ona, na co on przytakuje. Niewiele było w tym seksu, raczej desperackie przyciskanie się do siebie.

Najpierw gdy Jessica chciała go pocałować, powstrzymał ją. Ale bez przekonania, doskonale o tym wiedziała. „Jeśli to zrobimy” – zaczął, ale szybko uciszyła go pocałunkiem. Dobrze wiedziała, co chce powiedzieć. I nie chciała tego słyszeć. Ani trochę. Bo jeśli on nie mógł powiedzieć więcej na temat tego, co się zdarzyło, i jeśli nie wolno im myśleć o przyszłości, powinni przynajmniej wykorzystać obecny moment. Tak właśnie pomyślała, zanim przestała myśleć w ogóle.

Ale teraz, gdy słońce wpada przez szczelinę między firankami, rzeczy mają się inaczej. Tak łatwo było przestać myśleć po pierwszym pocałunku, nie analizować, po prostu dać się ponieść niesamowitości historii. Teraz znów znajdują się w rzeczywistości. Teraz, kiedy leży, czując oddech Jakoba przy uchu, to, co jej opowiedział, osuwa się w niej jak kotwica na dno.

Ucieka. Potwory pod jego łóżkiem są najprawdziwsze. Budzi się w niej panika. Wszystko, o czym wczoraj rozmawiali, znajduje się za oknem, to, co goni mężczyznę leżącego obok niej.

Odwraca się i patrzy na jego śpiącą twarz. Przecież jest tutaj teraz, dzięki zbiegowi fantastycznych okoliczności, i musi w tym być... sens. Zaczyna wierzyć w przeznaczenie, w ten sam sposób co babcia, kiedy po raz pierwszy spotkała dziadka.

Miałam przestać analizować? Czyż nie tak?



Jakob wciąga buty, trzęsie mu się ręka, w której trzyma kluczyki. Dzwonią w ciszy.

– Nie chcę, żebyś jechał – mówi Jessica.

– Wrócę – odpowiada Jakob. – Muszę wyprowadzić psa.

– Przywieź go tu. Zostań jeszcze jedną noc.

Mruży oczy pod słońce, uśmiecha się. Sprawia, że brzmi to tak prosto. Jak ma się oprzeć, kiedy ona tak się do niego uśmiecha?

– Jedną noc.

David Bowie biega z nosem przy ziemi w tę i z powrotem w Hagestad. Między wykręconymi bukami pozostał trop po łosiu, lisie, borsukach, tchórze... Wydmwy pełne są ścieżek i śladów, jest tam tyle fascynujących zapachów, że nie wie, za którymi podążać.

David Bowie jest syberyjskim husky, dostał imię ze względu na oczy. Jedno lodowobłękitne, drugie czekoladowe. Jakob pozwala mu biegać, jak chce. W pobliżu nikogo nie widać, ufa Bowiemu.

Ciało Jakoba wydaje się naelektryzowane. Skóra jest pełna świeżych wspomnień po niej. Jej smak na języku. Uczucie jej ciepła, które go otaczało.

Miniona noc mogła go uszczęśliwić, a to jest najbardziej niebezpieczne. Musi trzymać takie emocje na dystans, by móc robić to, co trzeba. Zainstalować się w kolejnym pustym mieszkaniu, oddzielnym od wszystkiego, co go kiedyś dotyczyło. Nauczyć się orientować w kolejnej nieznannej okolicy, znaleźć rutynę dla siebie i Bowiego. Spróbować wytrzymać bycie samotnym, co stanowi ich jedyne schronienie. Teraz będzie tym bardziej pamiętał, co stracił.

Myśli wędrują do Violi Wilcox. Widział jej portret na regale w Solbacce. Starsza kobieta była jedną z jego ulubionych klientek, chociaż nie miał pojęcia, że jest babcią Jessiki, nigdy nie usłyszał jej nazwiska. Przyłgnęła do niego, Jakob myśli, że może dostrzegła jego samotność. Co by zrobił, gdyby wiedział? Czy wyprowadziłby się już wtedy? Czy może nie mógłby się oprzeć temu tropowi do Jessiki?

Bowie wraca z patykiem, jego ogon jest dziki i pełen oczekiwań. Patyk jest gładki, oszlifowany przez piasek i słoną wodę. Ludzie, którzy uważają, że psy nie potrafią się uśmiechać, nigdy nie spotkali Bowiego.

– Znów musimy się przenieść – mówi Jakob.

W odpowiedzi dostaje wesołe szczekanie.

– Naprawdę mi przykro. Ale obiecuję, że znajdziemy miejsce, gdzie są równie fajne patyki.

Jessica wykorzystuje czas i jedzie do Borrby po zakupy. Wypełnia cały wózek, przez najbliższe dni nie ma zamiaru opuszczać domu bez potrzeby. Chce namówić Jakoba, by został, aż znajdą rozwiązanie. Musi się udać.

Gdy stoi w kolejce, jakiś spalony słońcem nastolatek prosi ją trzęsącą się ręką o autograf. Promienieje z radości, podpisując się na odwrocie jego zgniecionego paragonu.

W drodze powrotnej zmusza się, by zerkać na szybkościomierz. Stopa żyje własnym życiem, dociska pedał gazu, kiedy wydaje jej się, że jej właścicielka tego nie widzi. Jessica zachowuje się jak wariatka. Jej oczy wypełniają się łzami, emocje w niej są tak silne, że nie może się powstrzymać i pochlipuje, a zaraz głośno się śmieje. Kurczowo ściska kierownicę, wtedy dopada ją niepokój, że Jakob nie wróci.

Wreszcie wjeżdża na podwórze Solbacki, gdzie słyszy szczekanie psa. Za sekundę pies przypominający wilka podbiega do auta. Ogon stuka rytmicznie o karoserię.

Otwiera drzwi, pies szczeka radośnie, nos jest już przy niej, węszy. Język szybko liże ją po nadgarstku, a zaraz goni w stronę domu, by zawiadomić Jakoba o jej przyjeździe.

– Też mi pies obrońca – mówi, otwierając bagażnik.

Jakob jest już przy niej, całuje ją w policzek, podnosi trzy pełne siatki.

– Bowie rozpoznaje mój zapach na twoich ubraniach – tłumaczy Jakob. – Zresztą chyba już wszystko mu o tobie opowiedziałem.

Bowie kręci się wokół nich, podczas gdy znoszą zakupy do domu. Aż cud, że żadne z nich się o niego nie potknęło. Wychudzony tors Jakoba jest nagi, jej spojrzenie zatrzymuje się na małej plamce z kilkoma włoskami na klatce piersiowej.

Uśmiecha się do niej. Po raz pierwszy od niemal sześciu lat uśmiecha się

do niej. Znów go pragnie. Teraz, natychmiast.

Jessica rzuca patykiem, ten łukiem leci w powietrzu i ląduje w falach blisko brzegu. Bowie biegnie, wraca ze zdobyczą, raz po raz, mokry ogon dumnie wypięty w górę. Nigdy się nie znudzi.

Ja też nie potrafię się nią znudzić – myśli Jakob. Nie mogę się na nią napatrzeć.

Powinien móc przesunąć wszelkie decyzje o kilka dni.

Jessica trzyma patyk wysoko nad głową. Bowie skacze za nim, tańczy po piasku na tylnych łapach, wyprężając się za patykiem.

Czy można powiedzieć, że ma się wybór, kiedy nie da się dokonać ani jednego mądrego? Jakob nie wie. Nie powinno go tu teraz być. Stanowczo nie powinien sobie wyobrażać, że to się skończy szczęśliwie, że życie mogłoby płynąć jako długie pasmo takich wieczorów. Jest środek sierpnia, lato niebawem się skończy. A potem? Czy mógłby ją poprosić, by zrezygnowała ze swojego życia dla niego? Czy to sprawiedliwe, skoro ona nie potrafi sobie wyobrazić, co to oznacza?

Musieliby się wyprowadzić bardzo daleko. Gdzieś, gdzie nikt nie rozpozna jej twarzy.

Nie. Muszę ją zostawić – myśli. – Powinienem wyjechać stąd nad ranem, zanim się obudzi. Jestem jak zaraza, która infekuje tę idyllę złem całego świata.

Wszystko, czego doświadczył po rozprawie, dało mu poczucie, że jest gównem. Tak samo brudny jak ci, przed którymi się ukrywa, bo teraz jest częścią ich świata, wciągnięto go tam. Ledwo pamięta, jak było przedtem. Jak to jest: nie być w pogotowiu, nie podejrzewać najgorszego, nie zastanawiać się, co kryje nieznajoma twarz. Kryminalny świat nie jest odgradzonym miejscem w granatowo-czarnych odcieniach, jak na filmie. Jest

wszędzie. Jeśli raz człowiek to sobie uświadomił, nie potrafi o tym zapomnieć. To jak złudzenie optyczne – jeśli wystarczająco długo przyglądasz się wzorowi złożonemu z małych kropek i odkryjesz w nich obraz, ten będzie tam już zawsze.

Nie chce, by Jessica kiedykolwiek dowiedziała się tego, co on wie.

Ona rzuca mu się na szyję. Tak ładnie pachnie, zanurza nos w jej włosach, mocno przyciska ją do siebie. Pachnie szamponem i wypraną koszulką wysuszoną na sznurze, bawełnę przesiały słońce i wiatr. Bowie szczeka nieopodal, niecierpliwie go przerwa w zabawie.

W nocy nie śpią, nie mogą przestać rozmawiać, nie mogą przestać się kochać. Tyle muszą nadrobić.

Poza tym ona jest kompletnie zakochana w Bowiem. Ta miłość jest bez wątpienia odwzajemniona. W całym domu pochowała psie łakocie – za poduszkami na kanapie, w uchylonych szufladach, pod łóżkiem i w pokoju w piwnicy – chodzi za nim roześmiana, kiedy ten biega za skarbami, węsząc z nosem przy podłodze. Wkłada karmę do starych puszek, zamyka pokrywką, chce, żeby powalczył trochę, zanim dostanie się do smakołyków. Pies leży na brzuchu z łapami wokół puszek, parska zirytowany. Wieczorami, zanim Jessica pójdzie do łóżka, zatapia twarz w jego miękkim futrze, podczas kolacji Bowie kładzie się pod jej nogami, ale ona podejrzewa, że to ze względu na resztki, które tu mają większą szansę spaść pod stół.

Jessica przestała się bać. Nie jest już zamknięta w swojej głowie. Zaczęła uczestniczyć we własnym życiu, niewidzialna ściana między nią a otoczeniem zniknęła, nie ma już dystansu między jej wnętrzem a skorupą. Ma wrażenie, jakby ta prawdziwa ona kiedyś siedziała skulona głęboko w ciele, nie miała odwagi wyjść, na wypadek gdyby akurat w momencie, gdy wyjdzie, zawałiło się niebo.

Teraz wreszcie czuje się cała. Ale Jakob nie jest tą połową, której jej brakowało. Brakowało jej tej części niej, która potrafiłaby się tak czuć.

Unikają tematu, ale Jessica zauważa, że Jakob nigdy nie jest do końca swobodny. Auto zaparkował daleko od Solbacki. Prawie nie opuszczają domu, nigdy wspólnie, z wyjątkiem kilku razy, kiedy poszli na plażę. Podczas spacerów rzadko kogoś spotykają. Mimo to oczy Jakoba wciąż śledzą wszystko wokół. Wzdryga się na każde najcichsze szczekanie Bowiego. Czasem Jessice wydaje się to przesadzone. Czuje, że jest silniejsza od niego.

W nocy budzi się przez to, że on się wierci przez sen. Nad ranem jego poduszka jest mokra od potu. Po kilku dniach zaczyna brzydko pachnieć, Jakob pierze ją zażenowany, do bębna pralki wrzuca piłeczkę do tenisa.

Któregoś przedpołudnia, kiedy właśnie się obudzili, dzwoni Petra. Zakochała się. W jednym z facetów, z którym spotykała się w czerwcu. To nie architekt, ale ona zdaje się szczęśliwa. Mówi szybko, jest podekscytowana jak nastolatka.

– Nie wiem, co on do mnie czuje. Ale któregoś wieczoru byliśmy na kolacji razem z Sebastianem Stierną i jego nowym chłopakiem, wreszcie zrozumiałam, że naprawdę się w nim zakochuję. Chociaż nie wiem, od tak dawna jestem sama, że moje życie jest ułożone podług tej samotności. Nie mam pojęcia, skąd mam wziąć czas na związek przy wszystkich moich zajęciach.

– Spotkał Enza?

– Nie! Zwariowałaś?

Przerwa.

– Ale wydaje mi się, że by się polubili... Boże, sama słyszysz, nie mogę przestać!

Jessica się śmieje. Cieszy się z powodu Petry, ale cięży jej, że nie może

opowiedzieć o rewolucji, która jej samej się przydarzyła.

Leżą w hamaku. Jessica skulona po prawej stronie Jakoba przygląda się pulsowi na jego krtani.

– Zachowałam się jak świnia – mówi.

– Sądzę, że rozumieją, jak wiele musiałś przetrwać – odpowiada Jakob.

Jego głos jest trochę śpiący. Ma zamknięte oczy.

– Wiesz, nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy dowiadują się, że są adoptowani, popadają w kryzys. Zawsze wydawało mi się, że to nie ma znaczenia. Co to ma wspólnego z twoją tożsamością? Któż nie czuje się czasem zagubiony, któż się nie zastanawiał nad tym, kim jest. Myślałam zawsze: kurde, weźcie się w garść. To, co czujecie, wcale nie jest wyjątkowe, po prostu znaleźliście coś, na co zrzucacie winę. Ale teraz dostałam małą próbkę tego, jakie to uczucie. Rozumiem, jak to jest, gdy człowiekowi coś skradziono. Część mnie uważa, że to nie ma znaczenia, babcia i dziadki to wciąż te same osoby, tak samo jak ja. Ale inna część mnie... Nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Więc przestań. Na chwilę straciłaś grunt pod nogami. Zdarza się, Jessico. Powiedziałbym nawet, że to zrozumiałe.

Jakob ziewa, strzela mu w szczękę. Ona też ziewa.

– Ale złościłam się też za babcię. To ją okradziono. Może nawet sama nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Kilka razy pisze w pamiętniku, że seks nigdy nie był dla niej czymś ważnym. Ta jej część po prostu obumarła. Wmówiła sobie, że nigdy nie istniała. Najgorsze jest to, że ją rozumiem. Przez kilka lat nie znosiłam seksu.

– Trudno mi w to uwierzyć. – Jakob się śmieje.

– Mogłam stać się jak babcia, jeśli... zawczasu nie odkryłabym tego na nowo.

Przez chwilę milczą.

– Kilka razy spotkałem Violę i Billy'ego.

Jessica wyciąga rękę ku ziemi, żeby rozkołysać hamak, zamyka oczy, a on



opowiada dalej:

– Żebyś wiedziała, jakie sceny z życia małżeńskiego można zaobserwować w takim miejscu jak sklep ogrodniczy. Twoja babcia i dziadek mieli jedną z najzdrowszych relacji, jakie widziałem. Nie wiem, czy się kochali, w jaki sposób to robili, ale mieli coś ważniejszego. Zdaje się, że się lubili.

Dziwnie jest słyszeć, jak Jakob o nich opowiada. Dwa światy, których nigdy nie potrafiła sobie wyobrazić inaczej niż jako zupełnie od siebie odseparowane, nagle okazują się połączone.

– Być może pomyślałbym inaczej, gdyby nie wszystko to, co mnie się przydarzyło – mówi Jakob.

– Jak to?

– Wydaje mi się, że potrafiłbym przyglądać się życiu ludzi inaczej, gdyby moje własne mi nie przeszkadzało.

Zerka na nią ze zmęczonym uśmiechem i mówi dalej:

– A ludzie robią tak idiotyczne rzeczy. Przykre albo po prostu niezrozumiałe. Pozostają w związkach, chociaż nie mają ku temu żadnego rozsądnego powodu. I nie chodzi mi o takie oczywiste sprawy jak zdrada czy przemoc. Chodzi mi o te wszystkie pary, które dawno straciły dla siebie szacunek i nawet tego nie zauważyły. Ci, którzy cały czas sobie docinają, z uśmiechem na ustach poniżają się nawzajem, jakby to miało być śmieszne. Twoja babcia i dziadek nigdy tak nie robili. Być może nie wybrali swoich życiowych dróg najlepiej, ale postanowili zostać razem. Istniało coś, co trzymało ich razem, wydaje mi się, że było to coś bardzo pięknego.

Milknie. Jessica czeka. Czuje, że powie więcej.

– Ty i ja też jesteśmy dość niezrozumiali – mówi Jakob. – Oboje wiemy, że to dość słaby pomysł, a jednak to robimy.

Jessica nie odpowiada od razu. Nie chce kontynuować rozmowy w tym kierunku.

– Z każdym dniem będzie nam coraz trudniej.

Jessica schodzi z hamaka.

– Muszę do nich zadzwonić – mówi.

Staje w kuchni przy zlewie, zmywa, żeby zebrać myśli. Przez okienko patrzy na Jakoba, który jak zahipnotyzowany przygląda się płomieniom na grillu. Zastanawia się, o czym myśli. Ale zostawia go w spokoju, wyciera ręce w ściereczkę i wybiera numer na południe kontynentu.

– Viktor? Tu Jessica.

– Cześć, kochanie.

Jego głos jest ciepły.

– Chcę was przeprosić. Potem muszę porozmawiać z dziadkiem.

– Nie trzeba – odpowiada nieco zażenowany.

– Po prostu...

– Rozumiemy to – przerywa Viktor.

Słysząc, że najchętniej by tego uniknął, chce się zgodzić, że wszystko jest już dobrze i że nie muszą już do tego wracać. Nigdy.

– Byłam niesprawiedliwa. Chciałabym temu zadośćuczynić. Kiedy wrócicie, siądziemy we trójkę i rozmawiamy o tym. W spokoju.

– Nie ma takiej potrzeby – powtarza Viktor.

– Chcę tylko, żebyście wiedzieli, jak bardzo was kocham. I że wszystko jest w porządku.

Viktor odchrząkuje.

– Dziadek poszedł do miasta po gazetę.

– Pozdrów go, jak wróci.

– Dziękuję. A jak tam ogród? – pyta nieco bardziej dziarskim głosem.

– Świetnie. Chyba jednak odziedziczyłam po babci zielone palce.

– Viola mawiała, że dzięki temu ogrodowi osiągnęła duchowe zaspokojenie. Myślę, że on... zastąpił jej to, czego jej w życiu zabrakło.

Jessica nie ma odwagi odpowiedzieć, boi się, że przerwie mu pierwszą próbę zbliżenia się do prawdy. Dziarski ton głosu zniknął. Nagle Viktor mówi jak jakiś bardzo stary człowiek.

– Być może dla ciebie czy dla mnie to żadna rekompensata. Nigdy nie

mogłem pojąć, co takiego fantastycznego jest w grzebaniu w ziemi, ale zdawała się szczęśliwa, pełzając między krzaczkami. Rozmawiała z kwiatkami, jakby to były jej dzieci.

Jessica wybucha śmiechem, bo wyraźnie widzi tę scenę: babcia gruchająca pod rondem słomkowego kapelusza, jej dłonie zawzięcie pracują małą motyczką.

– Musisz wiedzieć, że często mówiła o tobie, Jessico. Była z ciebie taka dumna, ze wszystkiego, co osiągnęłaś w życiu.

Głos Viktora zamiera. Jego oddech drży, znów odchrząkuje, żeby to zamaskować.

– Muszę iść sprawdzić, czy kalafior się nie przegotował – mówi, po czym odkłada słuchawkę.

Jessica wraca na hamak. Jakob wciąż leży w tym samym miejscu.

Jest niedzielny wieczór, kiedy Jessica uświadamia sobie, że nie może już dłużej odkładać pracy. Redaktorzy muszą mieć jej tekst, gdy jutro rano przyjdą do biura.

– Pomyślałam, że przygotuję materiał na dwa tygodnie i wyślę im to jednocześnie – mówi, po czym szybko bierze prysznic i wychodzi z wanny.

Jakob stoi przy umywalce, szczotkuje zęby.

– To można pisać z takim wyprzedzeniem? – wypluwa pianę, jedną dłonią nabiera wodę, żeby wypłukać usta.

– Pewnie. W mailu mam mnóstwo pytań. Trochę mi to zajmie, ale będę mogła być zupełnie wolna przez te ostatnie tygodnie.

Żałuje, że tak to sformułowała, „przez te ostatnie tygodnie”. Wciąż nie wie, co się wydarzy, gdy dziadek i Viktor wrócą do domu, ale ma nadzieję, że do tej pory uda jej się namówić Jakoba, żeby wprowadził się do jej mieszkania w Sztokholmie. Jediną osobą, która wie o poszukiwaniach niejakiego Erika Anderssona, jest Petra. Może jest jakieś wyjście z tej sytuacji. Musi tylko doszlifować plan, zanim przedstawi go Jakobowi.

Dołącza do niego przy umywalce, sięga po szczoteczkę. Ich spojrzenia spotykają się w lustrze.

– Ile ci to zajmie? – pyta.

– Powinnam być gotowa koło jedenastej. Przygotujesz kolację?

Jakob przytakuje z nieobecną miną. Całuje ją w policzek i wychodzi z łazienki.

Wyjeżdża na główną drogę, Jessica włącza radio. Pogłásnia, gdy słyszy starą balladę z lat osiemdziesiątych, zaczyna śpiewać.

Telefon pika za każdym razem, gdy połączy się z siecią.

Powinna była wziąć ze sobą Bowiego, pobiegałby sobie po wielkim polu otaczającym Sjöbackę, hostel, w którym co tydzień pisze swoje teksty. Zastanawia się, czyby nie zawrócić, ale dochodzi do wniosku, że Jakob bardziej potrzebuje towarzystwa niż ona. Gdy wychodziła z domu, leżeli na przeciwnych końcach kanapy i drzemali. Uśmiecha się, gdy o nich myśli.

Kiedy zbliża się do Sjöbacki, zaczyna się zastanawiać nad pracą, którą ma do zrobienia. Jej mózg jest kompletnie odłączony od wszystkiego, co przypomina pracę. Ma nadzieję, że złapie nastrój, gdy usiądzie na swoim stałym miejscu w bibliotece, zaopatrzona w wielki kubek kawy.

Bowie krąży niespokojnie za Jakobem. Dobrze wie, że coś się kroi. Drapie pazurami po lakierowanej podłodze, Jakob będzie musiał je niedługo obciąć.

Nie posiada zbyt wiele. Kilka koszul. Parę kałesonów i skarpetki. Komórka, ładowarka, smycz Bowiego, trochę rzeczy w łazience. Wszystko mieści się w plastikowej siatce wyciągniętej spod zlewu.

Przez cały dzień próbował sformułować list, ale co miałby napisać, czego Jessica jeszcze nie wie?

– Bowie, leżeć! – Pazury drepczące mu po piętach zaczynają go wkurzać.

Pies wzdycha głośno i opada na podłogę przed telewizorem.

– Wiem. Ja też chciałbym zostać. Ale nie możemy.

Coś jest nie tak. Czuje to w tym samym momencie, kiedy siada przy biurku. Kilkoro gości ogląda się za nią z ciekawością. To nic dziwnego, a jednak... Coś wisi w powietrzu.

Ami, właścicielka Sjöbacki, nie musi pytać, tylko podchodzi z kawą do Jessiki wypakowującej komputer.

– Życzy sobie pani kanapeczkę? – pyta radośnie.

– Nie, dziękuję – odpowiada Jessica.

– Proszę dać znać. – Ami puszcza do niej oko.

Nic w tym nienormalnego.

Włącza komputer. Program długo się otwiera, w środku coś trzeszczy,

ekran miga. Niedługo trzeba będzie kupić nowy – myśli niecierpliwie. Chce od razu zacząć, skoncentrować się na pracy, zamiast się zadręczać, to pewnie tylko zabłąkane zjawy z głowy Jakoba.

Wyjmuje telefon z torby, odblokowuje ekran. Cztery esemesy. Jest wdzięczna, że ma zajęcie, otwiera je w odwrotnej kolejności, niż przyszły. Ostatni jest od Mickego, z dzisiaj, z piętnastej pięćdziesiąt siedem. „Fajnie. Naprawdę”. Tylko tyle. Wpatruje się w litery, niczego nie rozumie, decyduje, że nie odpowie. Sean wysłał wiadomość o jedenastej trzydziści dziewięć. „Nie mogę się doczekać, aż usłyszę wszystko o panu Mystery. Wracaj niedługo do miasta, już czas podciąć końcówki”. Esemes od Petry wysłany rano wrzeszczy: ZADZWOŃ WRESZCIE!

Pierwszy esemes jest ze skrzynki głosowej. Ma piętnaście nowych wiadomości.

Jessica ścisza mocno telefon. Ostrzeżenie przed katastrofą. Nie sprawdza skrzynki głosowej, wybiera numer Petry.

- Co się dzieje? – pyta natychmiast.
- To ja ciebie o to pytam!
- Przez cały dzień nie miałam zasięgu. Nie mam pojęcia, co jest grane.
- Co teraz robisz?
- Piszę. A raczej mam taki zamiar.
- Masz internet? Wejdź na stronę „Expressen”.

Jessica klika w ikonkę, żeby podłączyć się do sieci. Kolejne oczekiwanie, strzałka zamienia się w klepsydrę. Złośliwość rzeczy martwych. W sytuacji kryzysowej nie ma nic gorszego. A zaczyna przegrywać walkę z myślą, że zbliża się kryzys niepodobny do niczego, co przeżyła.

- To potrwa sto lat, Petro. Powiedz, co się stało.
- Na pierwszej stronie są twoje zdjęcia z jakimś chłopakiem.

Jessica łączy się z siecią, klika na ikonę firefoksa. Otwiera się okno przeglądarki, wreszcie, wreszcie. W linijce adresu wpisuje [expressen.se](http://expressen.se). Naciska enter, aż trzaska.

- Co się dzieje, Petro? Jak do tego doszło?

Strona otwiera się, jest tam zdjęcie, na samej górze. Otoczeni bujną zielenią, jakby fotograf położył się na ziemi na brzegu lasu, stoją przed Solbacką, ona wspina się na palcach i całuje Jakoba w policzek. On się śmieje. Jego twarz wyraźnie widać na zdjęciu.

Strach ściska serce Jessiki. Twarz Jakoba, z przodu. Solbacka w tle. Wszyscy w okolicy wiedzą, gdzie to jest.

– To zdjęcie od jakiegoś czytelnika – mówi Petra. – Pewnie ktoś z kempingu was zobaczył i zakradł się, żeby zrobić zdjęcie telefonem i zarobić parę groszy.

Tytuł artykułu bije ją po oczach – *Tajemnicza podróż miłosna gwiazdy telewizyjnej*. Potem przebiega wzrokiem przez tekst. Natychmiast odnajduje tam zarówno Österlen, jak i Borrby. Nie ma nigdzie nazwiska Jakoba. Dzięki Bogu. Ale jego twarz... Wciąż spogląda na zdjęcie. Wyglądają kompletnie beztrosko. Jakby byli zwyczajną zakochaną parą. Dobrze pamięta ten moment, to było w piątek zaraz po śniadaniu. Niczego nie podejrzewała, nie wyczuwała.

– I mówisz, że to jest na pierwszej stronie? – szepcze spanikowana do Petry.

– W każdym razie w Sztokholmie.

– Cholera. Więc tutaj tym bardziej podkreślą fakt, że jesteśmy w Skanii.

Jessice się zdaje, że kilka głów obraca się w jej stronę. Że przerwano kilka rozmów. Zamyka komputer i wkłada go do torby.

– Przeklęty sezon ogórkowy – warczy Jessica, grzebie po kieszeniach, w końcu wyjmuje banknot pięćdziesięciokoronowy i rzuca go na stół.

Mówi do Petry, że zadzwoni później, wybiega z budynku, goni przez patio i wypada przez wyjście na parking. Mocuje się z zamknięciem auta, otwiera drzwi, przekręca kluczyk i aż podskakuje, gdy włącza się radio nastawione na najgłośniejszy poziom. Szybko je ścisza, zatrząskuje drzwi. Stara się oddychać.

Pierwsze, co musi zrobić, to powiedzieć o tym Jakobowi. Boże, czuje się winna, ale teraz martwi się innymi sprawami. Dzwoni do Solbacki. Sygnał po

sygnale, jeden po drugim z niekończącymi się przerwami, poddaje się.

Odpala auto, telefon odrzuca na siedzenie obok. Nic się nie stało – wmawia sobie. – Wiedziałaś przecież, że nie odbierze.

*Trzeba było ustalić jakiś kod, jak w filmach. Sygnał, potem odłożyć, zaraz zadzwonić ponownie.*

Żwir tworzy za nią długą chmurę. Jedzie niebezpiecznie szybko w kierunku głównej drogi, nie zatrzymując się, spogląda w obie strony, a potem skręca w lewo i dociska pedał gazu.

*Ale powinien oddzwonić i sprawdzić, czy to ja dzwoniłam przed chwilą.*



Bowie zrywa się z podłogi.

– Co jest, bratku? Jessica już wróciła?

Patrzy na zegarek. Jest wpół do dziewiątej. Nie powinna być tak wcześnie. Włosy jeżą mu się na karku. Bowie stoi wyprostowany, spięty. Jakob teraz też słyszy, jakieś auto podjeżdża pod dom. Chowa siatkę z kilkoma swoimi rzeczami na półce w przedpokoju.

W domu wszystkie światła są pogaszone, na dworze panuje mrok. Jakob podchodzi do okna za kanapą w dużym pokoju, idzie najbardziej nonszalanckim krokiem, na jaki go stać. Silnik gaśnie. Bowie szczeka, Jakob odwraca się i widzi, jak ten macha ogonem. Kiedy znów patrzy przez okno, dostrzega, jak Jessica biegnie w stronę domu.

Bowie rzuca się do drzwi, kiedy je otwiera. Nachyla się, pies liże ją po twarzy.

– Zapomniałaś czegoś? – pyta.

Nie może jej spojrzeć w oczy. Już przy pożegnaniu kilka minut wcześniej trudno mu było udawać, że nic się nie stało. A teraz znów musi to zrobić.

Wtedy Jessica patrzy na niego. Kiedy widzi jej wzrok, prawie upada do tyłu. Panika, która bezpośrednio łączy się z jego własną, gorąco spływa teraz po jego plecach, robią się miękkie, trzęsą się.

– Ktoś zrobił nam zdjęcia, tu przed domem – mówi zadyszana. – Wyraźnie cię widać. Dom też.

Stoją tak przez chwilę, wpatrzeni w siebie, ręce opuszczone, wysyłają między sobą iskry paniki.

– Gdzie je znalazłaś? – wydusza w końcu.

Wyobraża sobie, że znalazła zdjęcia w skrzynce na listy. Ostrzeżenie. Ona wygląda, jakby nic nie rozumiała.

– W sieci. Są na pierwszej stronie. W drodze do domu zajechałam na kemping, widziałam... Jakob, wszyscy wiedzą, gdzie jesteśmy.

Jakob opada na kanapę. Nie może już dłużej stać na nogach. Potrafi tylko myśleć: kurwa, kurwa, kurwa. Teraz się zacznie. W końcu się wydarzy. Właśnie tak, jak myślałem, chociaż dużo gorzej, niż można to było sobie wyobrazić. Pierwsze strony... Były wszędzie przez cały dzień.

Bowie kręci się po podłodze, mruczy niespokojnie.

– Musimy uciekać – mówi.

Jessica przytakuje. Ciężko oddycha, idzie do kuchni i nalewa sobie szklankę wody. Cienka sukienka przykleja się do ciała, pod pachami i na plecach ma plamy od potu. Nawet teraz Jakob nie może przestać myśleć, że jest piękna.

– Dokąd uciekniemy? – pyta, odstawiając szklankę na blat.

– Nie wiem. Muszę pomyśleć.

– Do twojego mieszkania?

– Nie. Mogli znaleźć ludzi, którzy wiedzą, kim jestem... Czy raczej: kim jest Erik Andersson.

Jessica potakuje.

Solveig. Może mogliby pójść do Solveig.

A jeśli ktoś ich zobaczy, będzie ich śledził... Nie może jej wystawić na takie ryzyko. Jessice chce się śmiać. I robi to. Nie ma odwagi patrzeć na Jakoba. To absurdalne. To takie kompletnie nierzeczywiste.

– Ale czy jesteś pewien, że oni cały czas chcą cię złapać? – pyta, w jednej chwili wypełnia ją ognista nadzieja.

Może nie ma się czym martwić.

– Tak – odpowiada Jakob.

Jednym słowem sprowadza ją na ziemię. Do tej absurdalnej rzeczywistości.

Jessica stara się zebrać myśli. *Skąd Jakob wie, jak to się odbywa*

w kryminalnych kręgach? Oczywiście powiedziała mu o tym policja. Jej mózg podąża za kolejnym spoiwem łańcucha myśli. Policja. Musimy zadzwonić na policję. Mówi to, wreszcie Jakob zrywa się z kanapy, w portfelu szuka jakiejś kartki.

– Nie możemy po prostu zadzwonić na sto dwanaście, ryzykując, że potem godzinami będziemy czekać, aż pojawią się tu jacyś mundurowi. Muszę się odezwać bezpośrednio do mojej osoby kontaktowej w dziale kryminalnym.

Dobra, mają plan. Tylko po kolei. Uczucie snu zaczyna mijać. Jakob szarpie słuchawkę, zaczyna wybierać cyfry. Naciska na widelki, raz, drugi.

– Nie ma sygnału – stwierdza.

Jessica bierze od niego słuchawkę, stara się wejść na linię, naciskając raz po raz na widelki. Jakby telefon był jakimś wielce zaawansowanym urządzeniem, do którego obsługi tylko ona jest wyedukowana. Oczywiście nie udaje jej się go ożywić.

– Zanim przyjechałam... Słyszałeś, że dzwoniłam? – pyta

– Jak to? Tu?

– No tak – odpowiada zniecierpliwiona.

– Nie.

– W takim razie linia musiała być przerwana już pół godziny temu – odzywa się osłabiona.

Fakt ten oraz to, co on oznacza, dociera do obojga jednocześnie.

Jessica pędzi schodami w dół do piwnicy.

– Pospiesz się – woła za nią Jakob.

Jakby trzeba było ją popędzać.

Jessica szarpnięciem otwiera drzwi szafy. Wciska do torby ubrania, nie zwracając uwagi na to, co zabiera. Wkłada na sukienkę czarną bluzę. Do pralni, gdzie w suszarce leży bielizna.

I nagle go czuje. Powiew chłodnego wieczornego powietrza w wilgotnej pralni, pachnącej tanim płynem do płukania. Jessica powoli się odwraca.

Piwnica w tej części domu leży prawie całkiem pod poziomem ziemi. Ale pralnia, podobnie jak położona obok łazienka, mają maleńkie poziome okienka przy suficie. Otwiera się je do góry i na zewnątrz. I jedno z nich jest otwarte. Ten sam wiatr, który wpada teraz do środka, szumi w trawie w ogrodzie, tuż nad głową Jessiki.

Czy okno było otwarte, gdy wkładała bieliznę do suszarki? Próbuje sobie przypomnieć. *Te okna łatwo podważyć od zewnątrz. Babcia chciała już dawno je wymienić, ale nigdy się to nie udało...*

Krąży po pralni, nagle pewna, że ktoś stoi tuż za jej plecami. Ale nie. Nikogo tam nie ma. Jedyne pusty prześwit w drzwiach, mocno oświetlony korytarz, poręcz przy schodach prowadzących na górę.

Jessica powstrzymuje swój pierwszy impuls, by chwycić torbę i pędzić na złamanie karku. Podchodzi pomału do otwartego okna. Wyciąga rękę po chromową klamkę. Na przegubie dłoni czuje wieczorne powietrze. Wręcz spodziewa się, że ktoś ją zaraz złapie. Chwyta szybko klamkę, przyciąga do siebie okno i zamyka.

*A jeśli ktoś już wszedł do domu?*

Nie zdążyła zahamować tej myśli.

Jakob ściągnął plastikową siatkę z półki, teraz wypełnia ją rzeczami, które przypadkiem znalazły się w zasięgu ręki i wydają się w miarę potrzebne. Kilka jabłek, telefon Jessiki, butelka wody. Potem wkłada buty i stoi w przedpokoju z Bowiem niespokojnie krążącym wokół jego nóg.

Rzuca spojrzenie przez wielkie okna w salonie, te wychodzące na przód domu. Nie ma firanek, żeby zasunąć. Nigdy nie było takiej potrzeby, w pobliżu nie ma żadnych sąsiadów. Ale jeśli ktoś znajduje się teraz w ciemnościach ogrodu, widzi jak na dłoni, co dzieje się w środku.

Jakob podchodzi szybkim krokiem do kuchni i gasi światło nad blatem. Robi się czarno, nie widzi nic poza kominkiem, na którym lekko połyskuje białe otynkowanie. Jedyne światło sączy się ze schodów do piwnicy. Słyszy Jessicę na dole, chce do niej krzyknąć, żeby się pospieszyła, ale nie śmie nawet oddychać.

Jego oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Na zewnątrz widać księżyc, przesuwał się po nim chmurki, ciemność unosi się i opada, zagęszcza się i ulatnia. Jakby oddychała – myśli Jakob.

Wtedy uświadamia sobie, jak cicho zrobiło się w pokoju. Żadnego stukania pazurów o podłogę. Żadnego skomlenia.

Wzrokiem szuka psa i znajduje czteronogą sylwetkę przed jednym z wielkich okien.

– Chodź tu – syczy Jakob cicho.

Bowie odwraca głowę tak, że Jakob widzi go teraz z profilu. Uszy postawione do góry.

– No chodź.

I Bowie zaczyna szczekać. Samotne, głośnie szczekanie oznaczające przestrożę. Nadchodzi niebezpieczeństwo.

Bowie galopuje w stronę schodów. Jakob za nim. Jessica wreszcie wybiega z piwnicy.

Jakob klęka obok psa, dłoń przytrzymuje mu na karku.

– Ciii, ciii – stara się być spokojny.

Bowie oblizuje nos, uszy jak anteny wystawione na wszystkie strony, z obawą nasłuchują nocy.

– Ktoś jest na zewnątrz – szepcze Jakob do Jessiki.

Ona przystaje na ostatnim schodku.

– Z przodu? – pyta.

– Tak mi się zdaje. Bowie wyczuł coś za oknem w salonie.

– Przed chwilą?

Jakob wzrusza ramionami. Ma wrażenie, że przed chwilą. Albo że sto lat temu. Czas jest pojęciem względnym, nie potrafi się teraz do niego ustosunkować.

– Drzwi w piwnicy – szepcze Jessica.

– Są otwarte?

– Nie, możemy się nimi wydostać.

Jessica poklepuje Bowiego, ostatnie kroki w kierunku schodów robi na kolanach, wycofuje się w dół.

– Słyszałeś to? – pyta cicho Jakob.

– Co?

Jessica przystaje i słucha. Mięśnie za jej uszami ściągają się z napięcia.

– Ktoś jest przy drzwiach.

Teraz słyszy, lekki zgrzyt, gdy ktoś naciska klamkę. Drzwi mają automatyczny zamek, wie, że są zablokowane, ale jak długo jeszcze? Czuje,

jakby

*to nie jest prawda to nie jest prawda to nie jest*  
zaczęły się spełniać wszystkie koszmary.

– Kurwa! – dyszy, odwraca się na pięcie i pędzi w dół.

Bowie prawie ją przewraca, gdy przepycha się obok. Słyszy kroki Jakoba tuż za sobą. Jej dłoń odbija się od kontaktu, gasi światło na dole.

Głęboko z piersi Bowiego coś dudni, Jakob syczy na niego.

Na tyłach domu świeci się lampa, żółty reflektor w drzwiach do piwnicy pada na nierówną terakotę w korytarzu.

– Dokąd uciekamy? – pyta Jessica.

– Do lasu? Gdzieś, gdzie łatwo się można schować i gdzie nie dojadą samochodem.

– Na plaży złapiemy zasięg.

– Ale tam nie ma schronienia.

Odwraca się do Jakoba, widzi jego profil. Ostry kształt szczęki jest napięty, jakby gryzł coś twardego.

– Kemping – szepcze Jakob. – Chodźmy. Wśród ludzi będzie bezpieczniej.

– Racja. Tak będzie lepiej. Może recepcja jeszcze jest otwarta. W najgorszym wypadku będziemy walić w każdą przyczepę, aż...

Na piętrze słyhać wybijaną szybę. Bowie ujada, głośno i ze złością. Jakob łapie go za obrożę, żeby nie pobiegł strzec domu przed włamywaczami.

A może to tylko jeden włamywacz? Powinno być ich przynajmniej dwóch. W takim razie... Drugi stoi na tyłach domu i na nas czeka.

Na górze słyhać dźwięk rozdeptywanego szkła. Jeden krok, dwa kroki.

*nie ma czasu do stracenia*

– Biegnij – szepcze Jakob do jej ucha.

Jessica rzuca się przez korytarz, ledwo wyhamowuje przed drzwiami. Bowie drapie pazurami o dolną część szyby. *Boże, błagam, niech nikt tam nie stoi.*

Do lasu jest tylko kilkadziesiąt metrów trawnika, ale jakoś muszą się tam

dostać. Z żadnej strony nie są kryci.

Jessica bierze głęboki oddech. Otwiera drzwi. Na piętrze kroki. Nie ma czasu na skradanie się. Tylko biec, szybciej niż kiedykolwiek. Jednocześnie modłać się. *Błagam błagam błagam.*

Uderza ich wieczorne powietrze przepełnione tysiącem zapachów z ogródka babci. Jessica stawia stopę na progu, odbija się i biegnie. Wyciąga nogi, trawnik frunie pod nią. Blask księżycy odbija się od futra Bowiego, jest białą plamą w kącie jej oka. Jeszcze jeden krok, jeszcze, jeszcze... Jest przy pierwszym rzędzie wysokich sosen, przyspiesza. Las jeszcze się wokół niej nie zamknął, musi biec dalej, żeby nie było jej widać. Adrenalina jak paliwo napędza jej mięśnie.

Rzuca spojrzenie przez ramię, dom jest prawie schowany za drzewami. Ale tylko prawie. Zdaje jej się, że w oknie kogoś widzi. A pod oknem iskrzy się białe światło samotnej gwiazdy kołyszące się po ogrodzie.

Jakob dogonił ją, szarpie ją za bluzę, popędza, milcząc.

Oczywiście to nie żadna gwiazda. To latarka. Skierowana w ich stronę.



Słyszą strzał. Nie jest tak ogłuszający, jak Jessica zawsze sobie wyobrażała. Ostry szum kuli pośród pni drzew jest nieskończenie bardziej przerażający.

Ogląda się przez ramię, gdy słyhać kolejny strzał. Jakob jęczy. W momencie gdy upada na kolana, ich spojrzenia spotykają się.

– Biegnij – syczy.

Ciemna plama na jego nodze powiększa się zadziwiająco szybko. Jessica stoi. Bowie mruży wystraszony i wtula futrzaną głowę w pierś Jakoba.

– Biegnij!

Głos Jakoba jest silniejszy, bardziej zdecydowany. A ona się namyśla. Po prostu biec dalej przez las, szerokim łukiem dostać się do głównej drogi. Najszybciej dotarłaby do kempingu, biegnąc przez las wzdłuż jezdni. Może to nawet nie jest takie egoistyczne, być może to jedyny sposób, żeby go uratować. Ale nie potrafi tego zrobić. Nie potrafi go zostawić. Test Rorschacha rozkwitający na jego nodze zahipnotyzował ją.

Stoi tam nie dłużej niż sekundę, ale jej szansa na ucieczkę jest już stracona.

Oślepia ją latarka, instynktownie zakrywa dłonią oczy. Dwie bezgłowe sylwetki zaraz przy niej będą. Jedna rozpędza się jakiś metr od Jakoba, który wciąż klęczy z rękami zwisającymi wzdłuż tułowia.

Widzi stopę, która zbliża się do tyłu głowy Jakoba, przywodzi jej na myśl bramkarza, który chce kopnąć piłkę na drugą stronę boiska. Głuchy odgłos trafionej czaszki. Jakob upada do przodu, twarzą w ziemię. Westchnienie, które nie jest westchnieniem, to tylko powietrze wypchnięte z płuc przez silny upadek.

Bowie już rzucił się na ciemną sylwetkę za Jakobem. Jessica słyszy szczęki tnące powietrze. Mężczyzna upada, promień światła latarki wskazuje teraz do góry, oświetla bzyzącą chmarę komarów i kołyszące się nad nimi

gałęzie.

Jessica odwraca się, by biec, jakby wcześniej zatrzymała się w niej krew, a teraz znów zaczęła krążyć po ciele. Ale nie zdąży zrobić nawet kroku. Jakaś postać blokuje jej drogę. Twarz jest ukryta pod maską, ale oczy świecą w jej stronę. Są piękne, ale przerażająco puste. Słyszy pomrukiwania Bowiego, słyszy, jak fruważą igły i żwir. Twarda pięść w miękkich gumowych rękawicach chwyta Jessicę za szyję. Jej stopy ciągną się po ziemi. Jego i jej oczy są na sobie zafiksowane,

*nie chcę umrzeć z tym spojrzeniem na mojej siatkówce*

nie udaje jej się zobaczyć, co dzieje się potem. Czuje jedynie ciężki, palący ból promieniujący w tył czaszki, uginają się pod nią nogi. Spada przez czarną dziurę w ziemi. Tej dziury nie było tam wcześniej, ale teraz wciąga ją coraz głębiej. Spada coraz szybciej. Niech to się stanie. Oby tylko się stąd wydostać.

Pierwsze, co czuje, to mdłości. Słodki smak krwi, która powoli spływa z tylnej części podniebienia do gardła. Głowa leży na czymś zimnym i śliskim. Ktoś zdjął z niej bluzę.

Jessica próbuje otworzyć oczy, ale świat jest pokryty czerwoną błonką, oczy zaczynają swędzieć.

Jeśli się pospieszy, mogłaby znów wpaść pod powierzchnię ziemi. Tęskni z powrotem do braku przytomności, stara się zobaczyć siebie, jak stoi nad przepaścią z piętami poza brzegiem skały. Musi tylko rozłożyć ramiona i oprzeć się o pustkę. Pozwolić sobie na spadanie.

Ale strużka w przełyku pobudza odruch wymiotny. Jessica myśli, jak jej żołądek napełnia się jej własną krwią. Odkasłuje, ból, który przebiega przez głowę, zamyka otwór w ziemi. Nie ma jak spadać. Wyraźnie czuje coś twardego, śliskiego i rzeczywistego, na czym oparte jest jej ciało. Jeszcze nie potrafi zidentyfikować miejsca, wie tylko, że jest znajome, była tu tyle razy.

Słyszy jedynie swój własny oddech.

A potem. Zimna woda oblewa jej twarz. Silny strumień jak szpilki wbija się w nasadę włosów. Zaraz woda zostaje wyłączona. Słyszy, jak prysznic jest odwieszany na hak obok wanny, rozumie już, gdzie jest. Znów otwiera oczy, wciąż ją swędzą, ale czerwona błonka zniknęła. Poprzez krople wody na rzęsach rysuje się szachownica. Czarna fuga między białymi kafelkami. Kilka czerwonych bryzgnięć.

Mózg Jessiki pracuje jakoś niemrawo. Czuje się, jakby była pijana, szczeka jest rozluźniona, kiedy próbuje wydobyć z siebie słowa.

– Kim jesteś?

Wydaje jej się, że udało jej się powiedzieć to głośno, że usłyszała, jak bełkot odbił się od emalii wanny. Próbuje się rozejrzeć, domyśla się jedynie

czarnej postaci. Jakaś ręka chwyta ją za podbródek i gwałtownie odwraca. Nowy ból przewierca jej głowę.

– Czego chcecie? – warczy.

Jej wzrok się wyostrza. On stoi pochylony nad nią. Jego tęczęwki są jasnozielone, wyłożone bursztynem, jak gdyby go tam wtopiono, a potem kamień rozprzestrzenił się pięknym wzorem wokół źrenicy. Poniżej oczu poruszają się usta. Wygląda to surrealistycznie, jakby ktoś je tam dokleił. Jessica mruga, widzi otwory w masce wyszyte zygzakiem wokół oczu i ust.

– Dlaczego mnie po prostu nie zabijecie?

Język przykleja jej się do podniebienia. Jej oddech jest gorący, pachnie krwią.

– Czekamy na gości. Na kogoś, kto od dawna chce spotkać twojego nowego chłopaka. Są starymi znajomymi. Ty też go poznasz.

Głos jest męski, głęboki, słowa starannie wyartykułowane. Jest zdziwiona. Najbardziej dlatego, że potwory z jej koszmarów nigdy nie potrafiły mówić. Były milczącymi łowcami.

Próbuje podnieść rękę do czoła, unoszą się obie. Wokół nadgarstków owinięto jej kilka warstw taśmy. Delikatnie dotyka rany na czole, palce robią się mokre. Krew jest różowa, zmieszała się z wodą.

Zamyka oczy. Świat znów znika.

Ponownie budzi ją ból. Nie było jej przez sekundę? Przez całą dobę? Nie ma pojęcia. Łazienka jest pusta.

Potwornie boli ją głowa, ale jej mózg stara się pracować mimo dudnienia w czaszce.

*Jakob i Bowie. Gdzie są?*

*Pomyśl, Jessico, myśl.*

*Jeśli trzymają mnie przy życiu... to Jakob też musi żyć.*

*Będą robili z tobą różne rzeczy na oczach Jakoba. Żeby sprawić mu jak najwięcej cierpienia.*

Drzwi łazienki się otwierają, wrócił mężczyzna. Patrzy na nią przez

chwilę, nic nie mówi. Potem siada na desce od sedesu, brudne kamasze opiera na brzegu wanny tuż obok jej głowy.

Jest mniejszy, niż sądziłam – myśli Jessica. Szarpie nią dzika, szalona nadzieja.

– Dobra robota, Jakobie. Mogłeś się tu nieźle urządzić – mówi mężczyzna naprzeciwko niego, wykonując przy tym gest przez kuchnię.

Jakob nie odpowiada. Szumi mu w głowie, ale jest trzeźwy. Rana nad kolanem pulsuje.

Ręce ma związane srebrną taśmą, półyży na podłodze z rękami w górze. Mężczyzna w masce co chwila spogląda na zegar, Jakobowi zdaje się, że wie dlaczego.

– Gdzie jest Jessica? – pyta.

– Nie musisz się martwić. Czeka na ciebie tam na dole. Nie przegapisz ani trochę, gdy przyjdzie pora.

– Ona nie ma z tym nic wspólnego!

Szarpie srebrną taśmę, która go więzi. Nie da się z niej uwolnić, wie o tym, ale musi coś zrobić.

– Ależ ma. Sam o to zadbałeś.

– Nie musicie tego robić.

– Wiesz co, kiedyś jedna ciota próbowała mnie poderwać w knajpie. Siedzę sobie spokojnie z kumplami, a tu znikąd pojawia się taka parcha. Facet, który właśnie dotrzymuje towarzystwa twojej dziewczynie, wiesz, co zrobił? Czeka, aż pedał wyjdzie. Idzie za nim, udaje, że idzie z nim do domu.

Jakob dalej walczy z taśmą, próbuje wyzwolić dłonie z żelaznego uścisku. Poci się jak mysz, to śmierdzący, cierpki od adrenaliny pot, ból w nodze narasta z każdym uderzeniem serca.

– No więc przychodzą do domu, pedzio jest cały w skowronkach, wydaje mu się, że wygrał na loterii, zapala świececzki, muzyczka, z lodówki wyciąga szampan. Ta ciota nic nie czai, dopijają szampana, a wtedy mój kumpel rozwala mu butelkę na głowie i dalej go bije. Wszędzie krew. Normalnie

fontanna z AIDS.

– Gdzie... jest... Jessica?

– Chodzi o to, że ten kumpel wcale nie musiał tego robić. Ale i tak chętnie to zrobił. A teraz zapoznaje się z twoją dziewczyną.

Przerwa.

– Przestań się tak z tym szarpać. Gdybyś chciał uciekać, musiałbyś ponieść na plecach cały kominek.

Jessica siada powoli w wannie.

– Daj mi trochę wody – prosi.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Mam krew w ustach. Nie wytrzymam.

Ten wzdycha, widać, że się zastanawia, czyby jej nie pomóc. Chce tylko usłyszeć, jak ona go prosi.

– Proszę. Na umywalce stoi kubek ze szczotkami do zębów.

Mężczyzna wstaje i sięga po błękitny plastikowy kubek, zaciska na nim rękę tak, że obie szczoteczki spadają na kamienną podłogę. Potem podnosi deskę sedesu i napełnia naczynie.

– Chcesz czy nie? – pyta.

Oczy ma puste, bez wyrazu. Byłoby łatwiej wytrzymać ten wzrok, gdyby było w nim coś żywego, coś ludzkiego. Nawet poniżenie czy choćby perwersyjny humor byłyby lepsze. Podsuwa jej kubek, przechyla tak, że zawartość się wylewa.

– Nie chciało ci się czasem pić?

Jessica potakuje. Przytyka kubek do jej ust, a ona ostrożnie bierze łyk. Smakuje zatechle, czuć miętą ze starych resztek pasty do zębów. Ten pusty wzrok... Nie ma wyboru, musi coś zrobić. Teraz.

Mruczy coś niewyraźnie.

– Co mówisz?

Znowu mruczy, tym razem jeszcze bełkotliwiej. On wywraca oczami,

nachyla się.

Jedyne, z czego może skorzystać, to moment zaskoczenia, w ciągu ułamka sekundy minie. Bierze rozpęd całym ciałem, podciąga się do góry, ślizga w wannie, ale zaraz łapie równowagę. Jej ramiona oddalają się od piersi, sklezione dłonie kładzie na jego karku, tworzy teraz kosz, który łapie piłkę. Upadają na podłogę, oko w oko.

Uwięziła go, ale oznacza to też, że i ona jest do niego przyczepiona, a on ma wolne ręce. Wbija mu kolano w krocze, jednak na leżąc nie ma zbyt wiele siły. On przewraca ich o pół obrotu tak, że teraz ona jest na plecach pod nim, potem już mu dosyć łatwo się uwolnić. Siada ciężko na jej biodrach, a ona uświadamia sobie, jak prosto byłoby chwycić ją za włosy i rozbić jej głowę o kamienną podłogę.

Ale on się śmieje. Kołysze się na niej. Palcem gładzi ją po brzuchu, lekko szarpie za dekolt sukienki.



Mężczyzna przewrócił Jessicę o pół obrotu, tak że teraz przyciska jej piersi i biodra do podłogi. Siedzi na jej pupie. Ona nie ma szans na żaden ruch.

*proszę, babciu, jeśli istnieje niebo, a ty masz tam na górze cokolwiek do powiedzenia, to proszę, pomóż mi, pomóż, proszę mi pomóc*

Kroki na schodach. Lekkie pukanie do drzwi.

Mężczyzna przeklina i schodzi z niej. Ucisk znika z kręgosłupa. Podnosi głowę, dźwiga się kilka centymetrów na łokciach, walczy, by zaczerpnąć powietrza.

Wtedy ją widzi. Pod wanną leży golarka Viktora. To stary model, porządna srebrna rączka, od dawna niepolerowana, z żyletką, którą przykręca się do główki.

Żyletka jest zardzewiała. Golarka musi tam leżeć od dłuższego czasu.

Mężczyzna otwiera drzwi łazienki. Ona robi szarpane ruchy do przodu, stara się ukryć to, że jest przytomna, patetycznie jęczy. Wyciąga ramiona, jakby nie miała już siły utrzymać się na łokciach.

– Przeszkadzam? – pyta nieznany głos.

– Wszystko pod kontrolą.

Mężczyzna jest niecierpliwy. Chce być zostawiony z nią w spokoju. Mijają sekundy. Jeszcze tylko kilka centymetrów.

Palce Jessiki dotykają srebra. Przesuwa golarkę w swoją stronę, niezauważalnie, chowa ją pod dłoń. Pot ścieka jej z nasady włosów, sól drażni ranę na czole. *Widzę, co robię?* Nie śmie odwrócić głowy. Ale nic się nie dzieje. Dzięki Bogu, nic się nie dzieje.

– Ile mamy czasu? – pyta jej strażnik.

– To nie powinno potrwać dłużej niż pół godziny. Tylko bez wygłupów.

Nie wie, co odpowiada, słyszy jedynie mruczenie, które być może nie

zawiera słów, potem drzwi łazienki zamykają się. Podciąga się na łokciach, golarkę ma pod sobą.

Jakob słyszy wracające kroki.

Usłyszał rozmowę na dole. Wie, co się wydarzy. Ale nie wie, co ma zrobić. Nie wie. Co. Ma zrobić.

Jessiki nie powinno tu teraz być. Powinna siedzieć teraz gdzie indziej i pisać swoje felietony. Być może poradziliby sobie z nim przed jej powrotem. Być może zostawiliby ją w spokoju.

Śrubki są maleńkie jak w zabawce, palce Jessiki nieposłuszne. Cały czas jej się ślizgają.

Mężczyzna podciągnął jej sukienkę aż do bioder.

Jedna śrubka wreszcie się ruszyła. Idzie wolno. Musi jakoś zdobyć czas.

– Proszę, nie – błaga.

On chyba jej nie słyszy. Albo podoba mu się to. Wraca jego palec, teraz bawi się brzegiem jej majtek.

Śrubka uwalnia się, odkłada ją niemożliwie ostrożnie na podłogę. *Jeszcze tylko jedna.*

Zmusza się, żeby nie zacząć głośno dyszeć. Palec jest teraz pod majtkami, porusza się przez jej pośladki i wchodzi między nie, dalej, do środka.

– O cholera, ale sucha cipka – mówi mężczyzna.

Druga śrubka jest poluzowana. Jessica uwalnia ją, próbuje wyciągnąć żyletkę, ta wysuwa się z główki, leży teraz w jej dłoni.

Palec znika, mężczyzna wacha przesadnie głośno, żeby dokładnie zrozumiała, co on robi.

– I śmierdzi – mówi.

Pojękuje, brzmi to, jakby cicho, przeciągle chlipała, ale nie. Głęboko w niej rośnie furia, niepodobna do czegokolwiek, co wcześniej czuła. Nie ma zamiaru na to pozwolić. To nie tak się skończy. Do kurwy nędzy. Nie dla niej, nie dla Jakoba, nie dla Bowiego. Głośno dyszy, prawie nie zauważa, jak

jej majtki powoli zsuwają się po udach. Rozcina sobie opuszki palców, kiedy szarpie żyłką oporną taśmę, raz za razem. Nie szkodzi, ten ból dolewa tylko oliwy do płonącego w niej ognia.

Jakob wpatruje się w zegar na ścianie w kuchni, siłą woli próbuje zatrzymać czas. Wyraźnie to widzi, jak sekundnik ostatnim cichym tykaniem przerywa swój bieg.

Robi to, bo to jedyne, co teraz może robić.

Robi to, by nie musieć myśleć o niczym innym.

Dłonie Jessiki są uwolnione. *Muszę oddychać, więcej tlenu do mózgu i mięśni. Więcej siły.* Ale nie ma czasu. On klęczy między jej nogami, rozchyła je. Jego ciężki oddech tuż nad jej głową. Jest gotowa, kiedy słyszy dzwonięcie klamry rozpinanego paska, otwieranego rozporka. Jej ciało napina się.

*teraz teraz teraz*

Podpiera się jedną ręką o podłogę pod sobą, druga robi łuk przez powietrze, do góry i do tyłu, a za ręką cały jej tułów, podnosi biodra, cały ciężar jej ciała oparty jest tylko na jednej dłoni.

Najpierw: zdziwienie w jego oczach. Potem: oboje patrzą na wąskie nacięcie na jego klatce piersiowej. Żyłka przeszła cienką bawełnę i skórę. Jego podbródek opada, powtarza się zdziwienie w oczach. Brzegi rany rozchylają się, zaczyna lecieć krew.

*albo nigdy albo nigdy*

Udaje jej się oprzeć stopę o podłogę, rzuca się na jego ciało. Jego kark uderza w umywalkę, potem zwala się na podłogę. Wymachuje za nią rękami, kopie, jeden but utknął mu pod wanną. Widzi po jego oczach, że jest zamroczony, ale nie wiadomo na jak długo. Szybko przedostaje się przez jego ubrane na czarno ciało, które dalej stara się walczyć.

Krzyczy, to wrzask pochodzący z głębi, o której nie wiedziała, że ma ją w sobie. Między podłogą a kafelkami na ścianach roznosi się echo, rośnie, aż

w końcu to nie krzyk jest częścią jej, to ona jest częścią krzyku.

Gdy Jakob słyszy Jessicę, nie zauważa, że traci kontrolę nad pęcherzem. Przepraszam, przepraszam – szepcze w środku, mając nadzieję, że Jessica jakimś tajemniczym sposobem go słyszy. Nie ma już o co walczyć. Poddaje się zawrotom głowy, które przyływały i odpływały coraz silniejszymi falami na brzeg jego świadomości.

Jessica ciężko oddycha. Zdmuchuje włosy przyklejone do czoła. Całe ciało ją boli, rozsadza jej głowę.

Za drzwiami słyszy kroki na schodach.

Wstała. Ciało jest zmęczone, jakby przepłynęła jakiś długi dystans, a teraz wychodzi na ląd. Spodziewa się, że trup na podłodze podniesie się, jak w horrorze, siądzie i odwróci do niej głowę. Jest przy drzwiach, przekręca zamek. Zakrwawione palce są śliskie.

– Co ty tam, do cholery, robisz? – krzyczy ktoś po drugiej stronie.

Cofa się, robi krok przez cielsko – ten się nie rusza – i gwałtownie otwiera szafkę w poszukiwaniu dodatkowej broni. Palce zostawiają po sobie ślady krwi, nie ma tu nic oprócz małych nożyczek do paznokci. Jessica zamyka szafkę, przez moment jej twarz pojawia się w lustrze. Musi odwrócić wzrok, ale rana w kształcie litery T już zdążyła odcisnąć się na siatkówce jej oczu.

Walenie w drzwi łazienki nie ustaje. Teraz tak mocno, że aż nimi trzęsie. Nie ochronią jej zbyt długo.

– Wypierdalaj! – wrzeszczy.

Jest tylko jedna droga ucieczki. Wąskie okienko przy suficie.

Jessica otwiera okno nad wanną i blokuje je. Odrywa resztki srebrnej taśmy przyklejone do rąk.

– Otwórz, do diabła!

Walenie w drzwi nie ustaje. Czy on wie, że tu są okna? Ile czasu minie, zanim się zorientuje, że ona zechce przez nie uciec? Musi jak najdłużej utrzymać go w przekonaniu, że leży zwinięta w kącie łazienki, bezbronna i unieruchomiona.

– Zostaw mnie – krzyczy przez ramię, jednocześnie najciszej jak może wspina się na brzeg wanny.

Ciężkie cielsko rzuca się na drzwi łazienki. Jeszcze raz. I jeszcze. Coś pęka. Jessica odwraca się. Od framugi oderwała się szeroka listwa, odkryte drewno wygląda jak otwarta rana.

– Nic nie zrobiłam. Zostawcie mnie w spokoju...

Panika znów porywa ją jak wielka fala. Uczepia się zewnętrznego parapetu. Musi jej się udać. Na próbę opiera stopę o śliskie kafelki. Kłykcie bieleją, kiedy podciąga się do góry. Policzek na zimnej trawie ogrodu. Jeszcze kawałek. Bierze głęboki wdech, odpycha się palcami stóp od ściany. Słyszy za sobą huk pękającego drewna.

W ramionach ma teraz mnóstwo kwasu mlekowego, ale przeciska się kilkanaście centymetrów przez wąski otwór. Klamka zaczepia się o sukienkę, próbuje się uwolnić, musi wykręcić bolące ramię, jak w policyjnym chwycie. Przez moment wydaje się, że wpadnie z powrotem do łazienki. Ciężko dyszy, trawa łaskocze ją w nos, zapach ziemi późnego lata jest przejmujący.

Uwalnia się od klamki, znów zaczepia się palcami o parapet, zmusza się do wysunięcia na zewnątrz, centymetr po centymetrze. Cała klatka piersiowa jest już po drugiej stronie, potem talia. Stopy fruują w powietrzu.

Nowe ciężkie uderzenie w drzwi łazienki. Ale teraz leży już wyprostowana na biodrach opartych o parapet. Pełnie przez ostatni kawałek. Ramiona suną do przodu, poranionymi palcami rwie trawę.

Jest na zewnątrz. Przekręca się, spogląda na niebo. Chmury zniknęły, niebo zrobiło się gwiazdziste. *Gdybym tylko mogła tu teraz leżeć.*

Na sekundę świat się zatrzymuje. Ale nie może na to pozwolić. Nie może pozwolić, by dogoniły ją myśli. Wtedy nigdy by się nie odważyła.

Staje na chwiejnych nogach.

Świat na nowo się rozpędza.

Jakob się przebudza. Jest w kuchni sam. Z dołu dochodzą ciężkie, przerażające odgłosy, których nie potrafi zidentyfikować. Czy słyszał przed chwilą męski głos?

Bolą go wyciągnięte w górę ręce, podnosi się do siadu, do pozycji, w której ramiona zwisają w dół, czuje, jak powraca do nich krew.

Podłoga się kołysze. Materiał dzinsów przy ranie jest zimny i mokry, klei się do wnętrza uda.

Jakob wypada ze świadomości, a potem wraca. W tę i z powrotem w takt rozkołysanej podłogi. W pospiesznym śnie czuje na czole chłodną dłoń Jessiki. Nie śmie spojrzeć w górę, ale czuje jej zapach i wieczór na zewnątrz, gdzie świat jest taki jak wcześniej, gdzie ludzie pędzą spokojnie swoje życie, przekonani, że całe zło znajduje się w stosownej odległości od nich, w innym świecie.

Dłoń Jessiki opuszcza go, już za nią tęskni. Wie, że ona nie żyje. Ale i tak do mnie przysłała – myśli. Czują, że proszę ją o wybaczenie.

Jessica odchodzi od Jakoba, gdy słyszy, jak drzwi łazienki w końcu się poddają. Z piwnicy dochodzi wściekły krzyk. Teraz on wie. Teraz to tylko kwestia sekund. Rozpoznaje szybkie kroki w korytarzu piwnicy, ciężko przełyka. Na blacie w kuchni spostrzega zestaw noży. Kilka cięć przez srebrną taśmę i Jakob byłby wolny. Ale nie jest w stanie się stąd wydostać,

a ona nie da rady w porę go wyciągnąć, bo kroki na dole zbliżają się do schodów. Mimo że przeczy to wszelkim jej instynktom, odwraca się do Jakoba plecami. Gorączkowo szuka kryjówki. Mija ułamek sekundy. I jeszcze jeden.

*Gdzie siedziałam, gdy bawiliśmy się w chowanego? Pod stołem w kuchni. Za kominkiem. Za kanapą.*

Jessica znów ciężko przęłyka. Kryjówki z dzieciństwa nie są bezpieczne.

*Znienacka pojawiał się ktoś roześmiany i chwycił za nogę wystającą zza kanapy. Uśmiechnięta twarz zaglądała pod stół.*

*Myślałaś, że cię tu nie znajdę?*

Słyszy kroki na schodach. Szybkie. Rozgląda się przerażona.

*On ma pistolet.*

Znowu spogląda na noże. Nie zdąży tam dobiec, poza tym ta myśl wydaje jej się żalosna. Nigdy nie potrafiłaby wbić w kogoś noża.

Nie ucieknie już. Słyszy, że on jest w połowie schodów, rozpoznaje dźwięk rozchybotanej deski.

Jessica podbiega najciszej jak może do schodów, nie dojrzy jej, dopóki nie wyjdzie zza szafki i lodówki. I nie zajdzie daleko, jeśli tylko ona będzie szybsza. Jessica nie może teraz myśleć o niczym innym – ani o tym, co się stało, ani co próbuje teraz zrobić, ani jak małe ma szanse.

Słyszy, jak podeszwa jego buta robi pierwszy krok na podłodze parteru. Pędzi na niego, wyłania się zza szafki.

*ty skurwysynie pierdolona świnię nie masz prawa tu być*

Rozpala się w niej ogień. Jessica rzuca się na jego cielsko. Celuje nisko, w brzuch. Jest taranem, przez który on traci oddech.

Jessica zamyka oczy. Nie będzie miała więcej szans. Musi wytrzymać do końca. Nie przestawać. Jej stopy opuszczają podłogę. Wiszą teraz razem w powietrzu, jak na zdjęciu przedstawiającym uścisk.

Cielsko pod nią pada ciężko na schody. Jeden ze stopni, z pewnością ten rozchybotany, pęka.

Gdy ląduje na podłodze w piwnicy, wciąż ma zamknięte oczy. A potem.  
Cisza.

Rozchyła powieki.



„To nie powinno potrwać dłużej niż pół godziny”. Ma wrażenie, jakby minęła co najmniej godzina, od kiedy słyszała te słowa na dole w łazience.

Owija sobie ramię Jakoba wokół szyi, pomaga mu wstać. On mruczy coś niezrozumiale, ciężko opiera się na niej. Niezdarnie usadza go na tylnym siedzeniu auta. Jej ramiona i plecy drżą z wysiłku. Jakob późnie, ona zgina mu nogi i zamyka za nim drzwi.

– Bowie? – krzyczy niepewnie w ciemności.

– Bowie?

Desperacko rozgląda się i pociąga nosem. Powoli wracają do niej emocje, chociaż stara się od nich oderwać, jest absolutnie za wcześnie. Buzują pod powierzchnią.

Nie może się załamać, dopóki nie będą bezpieczni.

– Bowie!

Bez odpowiedzi. Tylko szum wiatru w koronach drzew.

Samochód skacze na wyboistej ścieżce. Wysoka trawa i krzaczki szurają po podwoziu. Jakob pojeżdża na tylnym siedzeniu, Jessica zerka na niego we wstecznym lusterku.

Skreca na szosę, śmiertelnie się boi, że naprzeciwko pojawi się para reflektorów. Ale droga jest pusta, więc dodaje gazu tak, że żwir sypie się za oponami.

Serce, które tak szaleńczo pędziło, prawie staje na dobre, gdy Jessica dostrzega czarne auto zaparkowane obok żywopłotu chroniącego przed hałasem głównej drogi. Ma wrażenie, że ktoś się tam czai, że zaraz zapalą się światła i zastartuje silnik. Ale nic się nie dzieje.

Jessica zwalnia, zbliża się pomału. A wtedy. Na tylnym siedzeniu widzi

białą plamę na tle czerni, jak negatyw kleksa na papierze. Srebrnoszare futro.

Nie wyłącza silnika, pędzi do obcego auta, szarpie za drzwi. Oczywiście są zamknięte. Futro w środku nie rusza się, przecież wie dlaczego. Jessica biega dookoła auta, sprawdza wszystkie klamki. Zamknięte. Nie ma szans, żeby wróciła do domu i przeszukała ich kieszenie. W świetle z volkswagena znajduje w końcu odpowiednio duży kamień. Używa ostatków siły, by go podnieść. Tłucze szybko. Robi mały otwór na środku.

*szybko!*

Odrywa odłamki, widzi, jak się kruszą pod jej zestresowanymi palcami, rozsypują się, tysiące iskrzących się kryształków lodu. Wkłada rękę do środka i czochra futro Bowiego. Ciało kołysze się pod jej ręką, ale sam Bowie się nie rusza.

*oddycha – nie oddycha – szybko – potem o tym pomyślisz*

Zastanawia się, po co marnowali czas, żeby zabrać go tu z lasu. Jej wzrok pada na trzy otwory po kulach, które go przeszyły. Tworzą idealną linię prostą. Czyżby można było wysledzić po kulach? To dlatego Bowie leży teraz tutaj? Dusi w sobie wybuch płaczu. Bowie musi tu zostać. Musi.

Jessica pokonuje ostatnie kilka metrów do głównej drogi. Na prawo jest kemping, tylko parę kilometrów stąd. Na lewo kilometrami ciągną się osiedla willowe, pole z minigolfem i wjazd na plażę. Ale potem jest Ystad.

Przez chwilę się waha. Nie ma pojęcia, w jakim stanie jest Jakob. Rana na nodze wygląda potwornie, jednak zdaje się niegroźna. Dostał mocnego kopniaka w głowę i może jeszcze kilka ciosów, których nie była świadkiem. Ale chodziło o to, żeby utrzymać nas przy życiu, aż pojawi się ich szef.

Wtedy podejmuje decyzję. Wyjeżdża w lewo na główną drogę.

– Jakob? Jakob, jak się czujesz?

Bez odpowiedzi.

– Jakob?

Mijają sekundy.

Zerka w lusterko.

Widzi, jak jakieś nieznajome auto skręca na wjazd do Solbacki.

Jessica naciska pedał gazu, jedzie niebezpiecznie szybko. Sarny często przecinają drogę w poszukiwaniu młodych sadzonek w ogrodach.

Jej wzrok pędzi między drogą przed nią a drogą, która znika we wstecznym lusterku. Ale nie widzi, żeby ktoś ją gonił. Na razie. Stara się obliczyć, ile czasu minie, zanim dostaną się do domu, odkryją, co się stało, i wrócą do auta. Powinna wtedy mieć przynajmniej kilka kilometrów zapasu.

*Pod warunkiem że nie odkryją auta ze stłuczoną szybą... ale nie, nie zobaczą go od tej strony.*

Jej telefon nagle pika. Wreszcie ma zasięg. Wybiera sto dwanaście. Jest zaskoczona, jak spokojnie brzmi jej głos, gdy zaczyna mówić.

## EPILOG

Kobieta, która zniknęła

Jest zima w Anglii.

Jessica Wilcox, która teraz nazywa się inaczej, spaceruje wzdłuż nabrzeża w Weston-Supermare, jednej z brytyjskich nadmorskich miejscowości, do której nie docierają turyści. Znajdują się tu indyjskie bary, jeden obok drugiego, zapach curry rozciąga się nad całym miastem jak niewidzialna chmura, a dla tych, którzy chcą się wykosztować, jest tylko kilka włoskich restauracji z papierowymi obrusami na stołach, wygórowanymi cenami i kelnerami żującymi gumę. Jest tu molo z kasynem i karuzelą, na której z koni schodzi farba. Jest tu morze, tak płytkie, że podczas odpływu całe molo wystaje ponad powierzchnię wody.

Tutaj, wybierając je ze wszystkich miejsc na świecie, osiadła jej mama. Nad nabrzeżem wspina się droga, która dalej ostro zakręca. Na wzgórzu poza centrum mieszka mama ze swoim nowym mężem. Dla niej Weston-Supermare jest rajem na ziemi. Być może nie ma większego znaczenia, gdzie człowiek się znajduje, jeśli odkrył własny raj. Dom jest domem.

Ona i Jakob dotarli tu w nocy, jutro muszą jechać dalej. Nie będą mogli wrócić. Jessica schodzi wąskimi schodkami i zaczyna biec po odkrytym dnie morza. Jej buty zapadają się w mokrym piachu.

*Nie bój się. W piachu są ślady.*

– Myślę, że tak długo byłam od ciebie uzależniona, że musiałam się uwolnić  
– powiedziała Jessica Petrze pod koniec rozmowy.

Żadna z nich nie chciała odłożyć słuchawki. Nie wiedziały, kiedy ani czy w ogóle będą ponownie miały okazję rozmawiać.

– Więc jeśli zachowywałam się jak nieznośna nastolatka, to wiesz dlaczego.

– A może zrobiłaś mi tylko przysługę, ćwicząc mnie. Enzo zaczął ujawniać pierwsze oznaki okresu dojrzewania.

– Jest mi strasznie przykro. Chcę tylko, żebyś o tym wiedziała.

– W porządku. Z pewnością za bardzo ci matkowałam.

– Petro, wiesz, że cię kocham?

Wreszcie mogła to powiedzieć.

Kiedy zakończyły rozmowę, Jessica wyrzuciła kartę SIM do kosza na Arlandzie.

Jej mieszkanie przy Tjärhovsgatan sprzedano przez pośrednika, po spłaconym kredycie został jej jakiś milion. Poza tym dziadek i Viktor dali jej wystarczająco dużo pieniędzy, za które będzie mogła żyć przez wiele lat. Jako zaliczkę na poczet spadku. Przyjmując je, nie miała wyrzutów sumienia. Podziękowała. I podziękowała swojej szczęśliwej gwiazdce. Za pieniądze nie da się kupić szczęścia. Ale mogli za nie kupić wolność.

Martwi się, że dziadki wciąż mieszkają w Solbacce, ale nie zamierzają opuścić domu. Ich raj na ziemi.

Zdążyła spotkać tatę, po raz ostatni zanim wyjechała do Anglii. Powiedział, że rozwodzi się z Glorią. Przykro jej było to słyszeć, dopiero później zrozumiała dlaczego. Zawsze czekała, aż on zostawi Glorię, miała nadzieję odzyskać tatę. Teraz wreszcie się to stało, ale o wiele za późno. Nie będzie mogła się z nim widywać, kiedy się rozwiodą.

Wypili razem lampkę wina, po raz pierwszy spotkali się sam na sam jako dwoje dorosłych. Tak wiele chciała powiedzieć na temat tych lat, które stracili, ale nie wiedziała jak. Przy pożegnaniu wybaczyła mu, że kiedyś wybrał Glorię. Tak naprawdę nie wybaczyła, ale ma nadzieję, że pewnego dnia tak się stanie. Patrzył w dół, poprawiając poły płaszcza.

Długo się wahała, zanim przekazała mu pamiętnik babci. Być może kilka rzeczy, które tam znajdzie, zrani go, ale czuła, że musi mieć szansę zrozumienia własnego dzieciństwa. Życzyła mu powodzenia. Potem nie było już nic do powiedzenia ani nic, co miało się nadzieję usłyszeć.

Jessica wie, że nigdy nie przeżyłaby tamtej nocy w Solbacce, gdyby nie przeczytała pamiętnika babci. Wcześniej nie miała takiej silnej woli. Kiedy przyjechała do Skanii, od dawna była żywym trupem.

Podeszwy butów chlapią o mokry asfalt, gdy wraca na nabrzeże, przecina drogę i biegnie po stromym zboczu. Małe krople deszczu spadają na policzki.

Niewiele pamięta z ostatniej nocy w Solbacce. Dowiedziała się, że kiedy dotarła tam policja, nie było już mężczyzny, którego zostawiła przy schodach, a ten w łazience nie żył. W gazecie po raz pierwszy zobaczyła jego twarz. Tylko twarz. Człowieka. Ni mniej, ni więcej. Wspomnienia kiedyś ją dopadną, ale na razie czuje się zadziwiająco silna.

Nie wie, co dalej się wydarzy, ale jest pewna, że da sobie radę, jeśli będzie żyła dzień za dniem, godzina za godziną. Da radę trwać w kłamstwie, które ją czeka, bo zna najważniejsze prawdy o swoim życiu.

Nie mogła zostać. Wiedzą, kim jest. Wiedzą, że jest dla Jakoba ważna.

Szwedzkie gazety spekulują, rzecz jasna, gdzie się podziała, więc muszą jechać tam, gdzie ryzyko spotkania Szwedów jest minimalne. Dopiero kiedy tam dotrą, mogą zacząć budować swoje nowe życie, w którym ona i Jakob dowiedzą się, jak wiele dla siebie znaczą. Ma nadzieję, że tym, co pozostanie, kiedy już przepracują wszystko inne, będzie miłość.

Przez moment czuje, że babcia jest przy niej. Jakby robiła dodatkowy wdech. A potem babci już nie ma.

Jakob, który już nie nazywa się Jakob ani Erik, czeka na nią w domu. Jest tam też mama, która właśnie smaruje ciepłe *crumpets* masłem. Jessica przystaje na moment, łapie oddech. Spogląda na stalowoszare morze, które znów zaczyna wpijać się w ląd.

Na górze w domu czekają na nią. Czekają na nią całą.

## Przypisy

[1] Po szwedzku słowa „duch” i „kaczka” są homonimami (przyp. tłum.).